

SIECI

TYLKO U NAS

MINISTER JACEK SASIN

ŹRÓDŁA
CHAMSTWA
W „ELITACH” III RP

SKĄD W PO
TAKA PANIKA
PRZED REFERENDUM

WOJNA NA UKRAINIE,
WOJNA NA DŁUGIE LATA?

OSTRZEGA PRZED
OPOZYCYJNYM

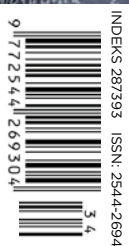
PLANEM WIELKIEJ
GRABIEŻY
POLSKI

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

Nr 34 (560) 2023
21–27 sierpnia 2023

CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)



INDeksu 287293 ISSN 2544-2694

TYLKO U NAS

TAJEMNICE WOŁOSZAŃSKIEGO

CHCE POMÓC TUSKOWI UCIEKAJĄCEMU PRZED PRZESZŁOŚCIĄ,
ALE CZY SAM ZDOŁA UCIEC PRZED SWOJĄ HISTORIĄ?

6 urodziny ■ telewizji

W POLSCE PL

Oglądaj w poniedziałek
28 sierpnia o godz. 19:00
na www.wPolsce.pl

Sprawdź, kogo nagrodzimy statuetkami **Złotych Kamer telewizji wPolsce.pl**

PARTNER STRATEGICZNY



Bank Polski

PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY



PARTNERZY WSPIERAJĄCY



Powaga i ofensywność premiuje PiS



Gdzie jest pani Joanna? Nie widać jej w TVN, nie słysząc o niej na wiecach Donalda Tuska. Czyżby postać, której dramatyczne przejścia miały wyciągnąć na ulice Warszawy milion ludzi, tak łatwo poszła w odstawkę? Dlaczego? Co się stało?

Odpowiedź jest prosta: już wiadomo, że kampania będzie jednak dotyczyła spraw realnych, istotnych, a nie sztucznej rzeczywistości medialnej. Prawo i Sprawiedliwość nie dało się złapać w pułapkę, zignorowało prowokację i narzuciło własne tematy debaty. Tematy realne, prawdziwe, odnoszące się do tego, co dla Polaków naprawdę najważniejsze. Bo szeroko rozumiana gospodarka, sprawy społeczne oraz bezpieczeństwo to są kwestie, które najbardziej zajmują nasze społeczeństwo. Reszta jest, w dużej mierze, po prostu iluzją, sztuką cyrkową. Celnie mówił o tym w czasie sejmowego wystąpienia prof. Przemysław Czarnek.

W ostatnich kilkunastu dniach PiS dokonało rzeczy istotnej: narzuciło tematy debaty. Zmusiło Tuska, by i on odnosił się do migracji, muru, prywatyzacji oraz kwestii wieku emerytalnego. Zmusiło go, by grał nie na swoim polu. I nieważne, że Tusk atakuje, że sięga po manipulację (w sprawie Lotosu) czy po cynizm (żądając szczelniejszej granicy). Nie ma to wielkiego znaczenia, ponieważ wiarygodność Tuska na tych polach jest, delikatnie mówiąc, mizerna.

Ale nic nie jest jeszcze ostatecznie rozstrzygnięte. Zdecyduje konsekwencja i odporność. Bo wszystko, co robi dziś Tusk, ma jeden cel: zniechęcić PiS do realizowania linii opisanej w pytaniach referendalnych. Taka kampania przyniesie Platformie klęskę. Jej szansą są sztuczne, medialnie pompowane tematy. Jej dorobek na polu spraw istotnych – majątku narodowego, programów społecznych, gospodarki, bezpieczeństwa – jest tak żalorny, że nie przekrzyczy tego nawet i stu Kołodziejczaków.

PiS jest silne, gdy jest partią poważną, antyestablishmentową, mówiąc do Polaków jasno i wyrażnie o sprawach ważnych. PiS, które próbuje się przebiegać w nie swoje szaty, zawsze traci, zawsze wpada w kłopoty. I jest to wniosek szerszy, nie tylko kampanijny. Jeśli obóz niepodległościowy zyska trzecią kadencję, powinien się zdobyć na działania odważniejsze na wielu polach. Nie głupie, nie agresywne, nie szalone, ale jednak odważniejsze. W interesie kraju, lecz i we własnym.

Jacek Karnowski

To niebezpieczni ludzie

Na okładce wydawanego przez niemiecki kapitał i bardzo związanego z opozycją pisma widzimy polityków Zjednoczonej Prawicy odpowiedzialnych za projekt rozbudowy polskiej armii, skutecznie go wdrażających, przebranych za bohaterów serialu „Czterej pancerni i pies”, z tym że według redaktorów mamy do czynienia z czterema pancernymi i kotem.



Termin wybrany precyzyjnie – tuż przed Świętym Wojska Polskiego, przed zaplanowaną na ten dzień wielką defiladą. W czasie, kiedy z Rosji dochodzą kolejne pogroźki zapowiadające, że Moskwa na razie wprawdzie chce połknąć Ukrainę, ale gdy tylko będzie mogła, spróbuje się dobrać i do Polski. W momencie, gdy sojusznik Putina, białoruski dyktator, rzuca na polską granicę już nie tylko migrantów i własne służby, lecz także unurzana we krwi bandę tzw. wagnerowców.

Plonie Ukraina, krwawi sąsiedni naród. Na okupowanych terytoriach gwałty, zbrodnie, tortury i egzekucje. A im wysiłek odbudowy armii kojarzy się z komunistycznym serialem. Dla redaktorów to wszystko nieważne, oni mają zabawę. A potem się oburzają, gdy ktoś mówi, że nie widzi tam śladu patriotyzmu.

Na szczęście większość Polaków patrzy na to inaczej. Jak wynika z niedawnego badania pracowni Social Changes, w odpowiedzi na pytanie: „Jaką armię powinna mieć Polska?”, aż 68 proc. badanych odpowiada, że „taką, która umożliwi samodzielne odparcie ataku”. 32 proc. wybrało odpowiedź, według której armia powinna „umożliwić obronę, dopóki nie nadejdzie pomoc”.

Aż 51 proc. ankietowanych ocenia też, że Grupa Wagnera, która niedawno zaczęła prowadzenie działań na terytorium Białorusi, stanowi zagrożenie dla Polski. I to mimo wcześniejszych kpin Donalda Tuska, że „wygląda na to, że PiS szuka pomocy wagnerowców ze strachu przed wyborami”.

Tam niemiecka gazeta dla Polaków, tu lider głównej partii opozycji – ale mianownik wspólny: wyszydzanie zagrożenia, granie na podział nawet w sferze bezpieczeństwa.

Dlatego tak zabolala ich wtorkowa defilada. Każdy Polak zobaczył, że mamy silne Wojsko Polskie! Wielki skarb dla narodu i państwa w naszym położeniu geograficznym, w tej sytuacji politycznej w Europie.

I to próbowali wykić. Ci ludzie są skrajnie niebezpieczni dla każdej polskiej rodziny. Ceną za oddanie im Polski może być nie tylko nędza Polaków, bo wszystko przekażą w ręce obcego kapitału, wywołają znowu potężne bezrobocie, lecz i tragedia porównywalna z ukraińską. Dla nich polskie bezpieczeństwo to tylko jakaś cyniczna gra. Dla nich to przebieganka na okładkach. Tak patrzą na to w Berlinie, tak opisują to ludzie wysłani tu przez Niemców dla spacyfikowania Polaków. W razie czego zwięź stąd w pięć minut. I swoje koty też zostawiają na pastwę losu.

Michał Karnowski


36

Sami swoi
Marcin Wiko


45

Miłość i polityka
Dorota Łosiewicz


59

**Z Mateuszem Szpytmą
o beatyfikacji rodziny
Ulmów**
*rozmawia Jaromir
Kwiatkowski*

NA POCZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 CZTERY PYTANIA I POGRZEB**
Krzysztof Feusette
- 9 TUSK NAJWIŻSZY!**
Dorota Łosiewicz
- 10 ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski
- 12 UROCZYŚCIE UNIEWAŻNIĆ TUSKA!**
Jan Pietrzak
- 12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort
- 13 TRWAŁA BLISKOŚĆ**
Bronisław Wildstein
- 14 WALIZKA MARCINA WOŁSKIEGO**
Michał Korsun
- 16 OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki
- 17 ZMIANY W PRAWIE SPADKOWYM**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 18 PO CO NAM PAŃSTWO?**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 20 KIEPSKI AGENT Z TELEWIZJI**
Piotr Gontarczyk
- 25 Z BOGUSŁAWEM WOŁOSZAŃSKIM**
rozmawia Wojciech Biedroń

KRAJ

- 26 Z JACKIEM SASINEM**
rozmawia Michał Karnowski
- 32 PANIKA PRZED REFERENDUM**
Stanisław Janeczek
- 36 SAMI SWOI**
Marcin Wiko
- 38 PAJĘCZYNA GIERTYCHA
NIE WYSTARCZYŁA**
Jakub Augustyn Maciejewski
- 40 FAŁSZYWE TONY NIEZNOŚNEGO
MORALISTY**
Maciej Walaszczyk
- 42 HODOWLA ELIT**
Konrad Kołodziejski
- 45 MIŁOŚĆ I POLITYKA**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 48 WOJNA NA LATA**
Marek Budzisz

51 NIEGODZIWA TRANSAKCJA CZY PLAN POKOJOWY?

Jan Rokita

OPINIE

54 JAK ZMIENIAŁ SIĘ POLSKI PRZEMYSŁ OBRONNY W OKRESIE OSTATNICH 8 LAT?

Arkadiusz Siwko

56 Z PROF. ARMANDEM GOŚU

rozmawia Małgorzata Wołczyk

HISTORIA

59 Z MATEUSZEM SZPYTMĄ

rozmawia Jaromir Kwiatkowski

62 LOJALNI WOBEC CZECHOSŁOWACJI

Grzegorz Majchrzak

SIECI KULTURY

65 AMERYKANIN W WERSALU

Jolanta Gajda-Zadworna

68 EZOCOACHING

Robert Tekieli

69 WOJNA CYWILIZACJI

Robert Tekieli

70 POLECA

Łukasz Adamski

KUCHNIA

74 MOJE SMAKI: MATEUSZ MIRCZYŃSKI

Jolanta Gajda-Zadworna

75 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

76 PYTAŃ JEST WIĘCEJ

Wojciech Reszczyński

77 PRZED I PO

Aleksander Nalaskowski

78 MATEMATYK DONALD TUSK

Jerzy Jachowicz

79 NIEWIDOMY GENIUSZ

Adam Ciesielski

80 DWA CYTATY

Ryszard Makowski

81 NORWID NA POCIECHĘ

Leszek Długosz

82 WYŚCIG NA PATRIOTYZM

Katarzyna i Andrzej Zybortowiczowie

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com



KGHM
POLSKA MIEDŹ

Sygnalista nadaaje

„Tusk to personifikacja zła w Polsce, to jest czyste zło!” – powiedział w Uniejowie prezes PiS **Jarosław Kaczyński**. I wyjaśnił: „On poszedł w tę stronę, że broni ubeków, gromadzi pod swoimi sztandarami ciemne elementy tylko po to, żeby wygrać, zrealizować plan, który nie jest polski, tylko biurokracji brukselskiej, który będzie prowadził do tego, że we własnym kraju będziemy tym, co bardzo często można od nich usłyszeć [...]. Oni o Polakach mówili »ludność« i teraz chcą doprowadzić do tego, żebyśmy wszyscy stali się »ludnością«, a my chcemy być obywatelami, przedstawicielami dumnego narodu, Polakami”. Tak, to jest istota wyboru, przed którym naród stanie 15 października. I wybierze Polskę.

Słowa prezesa PiS „eksperckiej” ocenie poddała Agnieszka Holland. „Lżyć go, pomawiać, używać w stosunku do niego najbardziej obrzydliwej mowy nienawiści jest poniżej jakiegokolwiek poziomu demokratycznej debaty. Choć o debacie w ogóle nie można mówić. W tym nie ma nic merytorycznego. To jest po prostu ściek”. Żałosna ślepotą jednooczną. To Tusk zaczął kampanię totalną, mówiąc o rządzie PiS jako o „seryjnym mordercy kobiet”, opisując przeciwników jako „smród i truciźnę”. To są jego decyzje, a reszta to tylko proste konsekwencje faktu, że zamiast argumentów położył na stole maczetę.

Tomasz Lis widzi sprawy podobnie jak Agnieszka Holland: „Nawet nasi nie prowadzili wobec żadnej konkretnej osoby takiej nagonki, jak PiS-owcy wobec Tuska. To już obłęd. Absolutny psychiatryk”. Odpowiedział szef sztabu PiS Joachim Brudziński: „Pan Lis ku uciesze

innych oczadziały z miłości do Tuska może porównywać nas do nazistów. Obarczają nas od lat najbardziej ryszotkowymi epitetami, Frasyniuk, Lempart, Janda, Seweryn, et consortes. Sam Tusk nie lepszy, jak im »delikatnie« odpowiemy, to POchlipują jak pensjonarki”. Bo to są pensjonarki. Wniosek jest w istocie szerszy: nie można się godzić na rolę bezradnej ofiary przemocy domowej, która dochodzi do przekonania, że najlepiej nic nie mówić, bo będzie bolało. Nigdy.

Prof. Jan Hartman miał kandydować z listy Lewicy do parlamentu. Dostał jedynkę w okręgu nowosądeckim. Kampanię zaczął odważnie, deklarując: „Do opłacanych przez PiS za publiczne pieniądze trolli: Tak! Pedofile też mają prawa! Jak wszyscy inni przestępcy! Żadnego człowieka nie wolno piętnować – nawet pedofila!”. Tego było za dużo nawet dla Lewicy, która kandydaturę Hartmana szybko wycofała. Szkoda. Im więcej ludzi głoszących otwarcie prawdziwe poglądy światowej lewicy, tym lepiej dla Polski.

Prof. Hartman – zanim odszedł – naszkicował też linię kampanii opozycji: „Pisowcy rozpowiadają, że na 1.09 szykują prowokację na Tuska. Nie wiem, w co chcą go zrobić, ale zaczyna się rzeźnia. Opozycja musi podjąć to wyzwanie i sięgnąć po maczugi. Z troglodytami inaczej się nie da”. Oczywiście nikt żadnej prowokacji nie planuje, to wymysł. A maczugi opozycja już dawno wyjęła. W istocie zrobiła to jesienią 2005 r., po klęsce Donalda Tuska w wyborczej walce z Lechem Kaczyńskim. Wszystko, co zdarzyło się potem, to jedynie wariacje tej samej strategii.

Strategia opozycji jest dziś jasna: za pomocą manipulacji, sztuczek

Październikowe wybory rozstrzygną także o kwestii reparacji. „Widzimy pewne złamanie w niemieckiej klasie politycznej dyplomatów. Oczywiście część mówi: absolutnie nie rozmawiamy, sprawa jest zamknięta, ale widzimy pewne pęknięcia, pewne rysy” – ocenia Arkadiusz Mularczyk. I dodaje: „W Niemczech na pewno trwa dyskusja i analiza, co z tym tematem zrobić. Na razie czekają na wybory, licząc, że może w Polsce zmieni się władza i temat zejdzie z agendy”. Do stawki tych wyborów trzeba więc dołożyć 6,2 mld dolarów, które są nam winni Niemcy.

i ostrych ataków próbuje zmusić do rezygnacji z własnej agendy politycznej, opisanej w pytaniach referendalnych. Typowa jest wypowiedź Tuska w sprawie bariery granicznej: „Ponieważ przez płot Błaszczaka przedostaje się do Polski codziennie rekordowo dużo migrantów, właściwe pytanie powinno brzmieć: czy jesteś za budową prawdziwej bariery na granicy z Białorusią?”. Odpowiedział wywołany do tablicy szef MON: „Bariera działa, Panie Tusk! Od strony białoruskiej zatrzymuje tłumy nielegalnych imigrantów, a od polskiej wyprawy posłów PO z pizzą i torbami reklamowymi”. I to jest właściwa postawa. Jeśli kampania będzie o bezpieczeństwie, opozycja przegra. I nie pomogą nawet najlepsze bon moty.

Na referendum Tusk zareagował przewidywalnie: ogłosił, że je „uroczyście unieważnia”. Odpowiedział premier Mateusz Morawiecki: „Unieważniać, panie Tusk, to pan może sobie referendum w Niemczech, jak przyjaciele z Berlina panu pozwolą. Tu jest Polska i my przeprowadzimy referendum zgodnie z wolą Polaków”. Ogłaszając bojkot, Tusk jednak rozczarował. Wybrał rozwiązanie najprostsze, najłatwiejsze, ale jednocześnie dla opozycji politycznie bardzo kosztowne.

Dlaczego kosztowne? Łukasz Pawłowski, prezes Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, wyjaśnił: „Bojkot referendum to strasznie trudny temat komunikacyjny. Jednocześnie trzeba mówić, że to najważniejsze wybory i trzeba iść głosować, ale jednocześnie, żeby nie brać udziału w referendum. Wy tłumaczenie samej procedury, jak nie wziąć karty do referendum, ale zagłosować skutecznie do Sejmu i Senatu, nadaje się na małą książeczkę. Może to ludzi odstraszać od głosowania, zniechęcać”. Celne. PO stanęła w rozkroku, a to, jak wiadomo, pozycja bardzo niewygodna.

I jeszcze jeden cytat z Łukasza Pawłowskiego, człowieka raczej z obozu opozycji: „Najgroźniejszy dla opozycji jest temat wieku emerytalnego, bo tu sprzeciw jest powszechny, także w elektoracie opozycji. Bojkot tego pytania to zasianie niepewności, nawet jeśli wśród 1 proc. wyborców, że coś jest na rzeczy, a to znowu 1 proc. do przodu dla PiS. Nie da się też zbojkotować częściowo referendum”. Nie da. To zresztą zasadne pytanie: dlaczego opozycja nie chce powiedzieć „4 X NIE”? Czyżby miała poczucie, że jasna deklaracja zwiąże jej ręce, gdy znowu przyjdą instrukcje z Brukseli?

W trakcie debaty nad referendum **prof. Przemysław Czarnek** wskazał na ważny kontekst sporu o imigrację: bezpieczeństwo kobiet. „Drogie lewaczki, drogie kobiety lewicowe, drogie liberałki.

Powiedzcie, dlaczego chcecie nielegalnej imigracji w Polsce? Dlaczego chcecie, żeby kobiety polskie były gwałcone jak Francuzki, Belgijki, Niemki? Dlaczego chcecie z kraju najbezpieczniejszego dla kobiet w Europie i na świecie zrobić ruinę?” – pytał retorycznie minister edukacji narodowej. I dodawał: „Wy każecie wierzyć ludziom, że wszyscy zajmują się aborcją, związkami partnerskimi, in vitro. [...] Polacy chcą mieć silne państwo i je mają. Tym się zajmują, a nie bzdurami”. Ważne słowa. „Kwestia kobieca” – tak jak ją opisuje lewica – to sztuczna rzeczywistość.

Ryszard Petru nie chce już startować do Senatu. Ma inny pomysł. „Oferuję mój start do Sejmu tam, gdzie będzie startował Sławomir Mentzen. Chcę z nim walczyć – twarzą w twarz. Po to, aby przekonać jak największą część obecnych wyborców Konfederacji. Wyborców, którzy są przez to ugrupowanie po prostu oszukiwani. Chciałbym, żeby wszyscy zrozumieli, jak wysoka jest stawka tych wyborów. O wolność trzeba walczyć. Zrobimy razem wszystko, aby zatrzymać czarno-brunatny marsz na Polskę!”. Petru chce się mierzyć z Mentzenem, bo jedną debatę z nim – w Radiu RMF – rzeczywiście wygrał. Co więcej mówi o Mentzenie niż o Petru.

Jarosław Kaczyński odniósł się do znanego hasła Konfederacji. „Są tacy nasi konkurenci jednej partii, którzy mówią: »rodzina, dom, dwa samochody, grill i wyjazdy na wakacje«. Czy my jesteśmy przeciwko temu? Nie, my jesteśmy za tym. Chcemy, żeby każdy z Polaków mógł tak żyć, żeby każda polska rodzina to miała, tylko kto potrafił do tego Polskę przybliżyć w ciągu ostatnich lat w sposób bardzo znaczny – oni czy my?” – pytał lider PiS w Zawichoście. Rzeczywiście, twierdzenia Konfederacji, że zapewni Polsce szybki wzrost gospodarczy, brzmią u nas absurdalnie. Bo rośniemy szybciej niż ktokolwiek, szybciej niż Chiny. Po co to psuć? Po co ryzykować?

Prof. Magdalena Środa w komentarzu dla „Gazety Wyborczej” podzieliła się wrażeniami z defilady, która 15 sierpnia przeszła ulicami Warszawy. Zaskoczenia nie ma. Defilada zrobiła na pani profesor „upiorne wrażenie”. Jak dodała, wcale nie z powodu „upału, objazdów i niszczenia nawierzchni ulic”. „Obawiam się żyć w państwie, które – z naszych podatków – wydaje trzy razy więcej na zbrojenia niż na edukację, naukę, kulturę i ochronę zdrowia” – przekonuje Środa, dodając, że „zasmuca ją ten radosny bellicyzm i gremialne zadowolenie z tego, że potrafimy lepiej zabijać i więcej zadawać cierpienia”. W obecnych warunkach rządy formacji lewicowo-liberalnej stają się groźne dla naszego życia i bezpieczeństwa. Dosłownie, konkretnie, namacalnie. 



Nie idę na żadne wybory. Głowa mnie bolała. Jak oni chcą to łączyć z referendum, to już wolę sam się zbojkotować, jak Kidawa-Błońska. Czy nikt nie widzi, że to pułapka?! Dzwoniłem do Ursuli, Olafa, Franza, Emmanuela, nawet do Pawła Grasia: „Czy wam nie przeszkadza, że w wolnym kraju, w wolnej Europie, ktoś chce o coś pytać tak zwanych obywateli? Czy wam to nie pachnie faszyzmem? Czy Hitlera nie wybrano demokratycznie?!”. Tego ostatniego już nie powiedziałem, bo mnie oświeciło, że bez sensu dziękowałem Niemcom „za wszystko”. Obejdzie się bez zagranicy. Narracja jest prosta jak konstrukcja cepa, który stoi na końcu przekazu Manfreda. Referendum, jako takie i w całej swej rozciągłości – w opinii wybitnych konstytucjonalistów oraz niezależnych sędziów spod znaku ośmiu gwiazdek, także rzecznika praw obywatelskich, kolegi Bodnara – już w swej istocie jest zamachem na demokrację. Zwłaszcza w takim społeczeństwie jak polskie, które wiadomo, jak ostatnio wybierało. Po co pytać jeszcze raz ludzi, którzy już wszystko powiedzieli? Ja nie jestem z tych populistów, co uważają, że każdy głos waży tyle samo. Czy kazałbym dzieciakom od szóstego roku życia biec do szkoły, mimo że zdecydowana większość rodziców była przeciw? Kładłbym łapę na OFE, żeby przykryć stan finansów? To nie lepiej mnie zapytać? Przecież pamiętam, ilu było „za”, ilu „przeciw”, i że dziewięciu na dziesięciu podwyższenia wieku emerytalnego nie chciało. To oni teraz pytają: „Czy jesteś za podwyższeniem?”. Osobiście przeszedłem na szybszą emeryturę, kosztem kilku tysięcy miesięcznie, ale zawsze i wszędzie będę powtarzał, iż podwyższenie to konieczność oraz że nigdy tego nie zrobimy. Mam nadzieję, że to wystarczy, a już na pewno pani Dobrosz-Oracz, bo takie dobro orać (przypominam: będąc chrześcijaninem, nie masz prawa głosować na PiS) tylko ona potrafi.

Kolejne pytanie: „Czy popierasz wyprzedz państwowych przedsiębiorstw?”. Znowu podchwytliwe. Bo co znaczy: państwowych? Pisowskich? Wyprzedawać, aż furczy. Ale od publicznych wara, bo co my potem będziemy sprzedawać? Na Orlen już mi się czterech Katarczyków ustawiło, z czego trzech płynnie po rosyjsku. Zbrojeniówka pójdzie od ręki. Banki wystarczy przywrócić w odpowiednie ręce, to i kredyty się znajdą, i ochotnicy do szparagów. Ależ mój syn się ucieszy, Bąk Józek, jak usłyszy, że LOT znowu jest na sprzedaż. Nam akurat linie lotnicze nie są do niczego potrzebne, bo i tak już nie latam co czwartek do domu, gdyż nie jestem premierem. Może i dobrze, bo co ja miałbym powiedzieć Europie? Że nie chcemy migrantów? Jak miałbym w Brukseli odczytać pytanie: „Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imi-

Cztery pytania i pogrzeb



KRZYSZTOF FEUSETTE

grantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?”. Mnie by się od tego włosy zrobiły, jak flaga europejska, granatowe z rzyżymi gwiazdkami. Przecież myśmy za premier Kopacz

zagłosowali za przymusem już w 2015 r.

Pies trącał takie referendum. Już nawet Komorowski się zagotował, że to będzie plebiscyt dla idiotów. To czemu bojkotuje? Sam, kiedy przegrał I turę prezydenckich, ogłosił referendum tylko po to, żeby wyborców Kukiza przyciągnąć, na które poszło 7 proc., a teraz eksperta różnie? Jak sobie pomyślę, że my, jako Platforma Obywatelska, innego prezydenta nie mieliśmy, to mi się płakać chce jeszcze bardziej niż z newsa, że Kierwiński wybiera się na ministra obrony. Ciekawe, jak by wtedy mur z Białorusią wyglądał? Nie mówiłem, że z biegania po granicy nic dobrego nie wyniknie? Sterczewski z siateczką? Szczerba z pizzą? Jakaś Iwonka błagająca, żeby ich przyjąć, a potem się zobaczy? Co zobaczy, kobieto?! Który gwałci, który krad-

nie, a który jedzie do Niemiec? Owszem, byliśmy przeciw budowie muru, ale lewica i Hołownia też byli. Taka była mądrość etapu, a teraz jest inna, referendalna. To tak, jak była „Gazeta Wyborcza” na pierwsze półwolne wybory, a dziś jest wyborcza gazetka na każde wybory. Jak sobie pomyślę, że milion ulotek wydrukowali ze zdjęciem Trzaskowskiego, to mi się w głowie nie mieści, że przegrał.

No i co to jest za pytanie: „Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?”? Szczyt perfidii. Raz – że wiedzą, iż byliśmy przeciwko budowie. Dwa – że ten, już się nie wyrażę, „Reset” trochę za dużo ujawnił, a wszystkiego na tego biedaka z Chobielina nie zwale. Trzy – że nasi ludzie na granicy za pajaców Łukaszenki robili, a białoruskie media to wykorzystywały. Cztery – że jednostki wojskowe likwidowaliśmy (zapisać: zadzwonić do „Kierwy”, bo nic nie wie). Pięć – że rozbiórka muru sporo by kosztowała, a nas nigdy na nic nie stać. Poza ciepłą wodą w Czajce. Tyle, co zaoszczędzimy na 800+, 13. i 14. emeryturze czy wyprawkach, to wystarczy na Orliki i może kaucję za Giertycha. Więc mur zostanie.

Najlepiej by było o nic ludzi nie pytać. A potem normalnie, tradycyjnie nawet, można powiedzieć, czyli sprzedajemy bogatszym, oni przejmują zyski, kasy w państwie jest mniej, więc ludzie muszą dłużej pracować, żeby nie umrzeć z głodu. Czy to nie jest Polska waszych marzeń? Nie, źle to brzmi. Czy to nie jest kraj naszych snów? A nie, jakieś tam referenda!

W mordę jeża, a jakby to w ogóle unieważnić? Tak uroczyscie? W białej koszuli? I niech mnie w budkę pocałują. Tylko czy ogłosić to od razu, czy może lepiej już po wyborach... Nie, no teraz. Potem może wyjść za śmiesznie.

Po raz kolejny Donald Tusk publicznie powiedział, że ma w nosie zdanie Polaków. Do tego już nas lider PO przyzywał, ale żeby tak się z tym obnosić?

„O jednej sprawie muszę powiedzieć głośno. Uroczyscie, przed wami, unieważniam referendum. To referendum jest nieważne w najgłębszym i najszerszym tego słowa znaczeniu. Niektórzy udają, że jest to gra polityczna, a PiS robi sobie kampanię za państwowe pieniądze” – powiedział Donald Tusk podczas Rady Krajowej PO. Oceniał, że pytania referendalne to „akt oskarżenia wobec PiS”. To już kolejna w tej kampanii deklaracja sprowadzająca się do tego, że lider Platformy nie zamierza wziąć pod uwagę zdania Polaków, choć Konstytucja RP jasno mówi, że jeżeli w referendum ogólnokrajowym wzięła udział więcej niż połowa uprawnionych do głosowania, wynik jest wiążący. A o ważności referendum lub jego nieważności decyduje Sąd Najwyższy, którym szef PO chyba jeszcze nie jest.

O to, żeby nie był wiążący, już od kilku tygodni zabiega stacja TVN, która zaprasza kolejnych ekspertów tłumaczących, co zrobić, by wziąć udział w wyborach, ale nie wziąć udziału w referendum, tak by frekwencja nie przekroczyła 50 proc. Jednym z nich była prof. Ewa Łętowska, sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku oraz pierwsza rzeczniczka praw obywatelskich, która instruowała w „Faktach po Faktach”: „Proszę sobie wyobrazić, jak się zachowujemy w lokalu wyborczym. Przychodzimy, są trzy listy: Sejm, Senat i referendum. Normalnie jesteśmy przyzwyczajeni, że nam bardzo często przy wyborach daje się kilka kartek. W związku z tym my machinalnie bierzemy te kartki. Kwitujemy, co nam dano. A później postępujemy z nimi tak, jak chcemy zagłosować. Ale uwaga, w referendum jest inaczej. Bo w referendum, jeżeli my weźmiemy kartkę i wobec tego ją pokwitujemy, to już żeśmy wzięli udział w referendum, w ważności tego refe-

Tusk Najwyższy?

Lider PO już teraz zapowiada, że gdy wygra wybory, nie weźmie pod uwagę wyniku referendum, zignoruje wolę Polaków



rendum. Bez względu na to, co my zrobimy z tą kartą”. Profesor wyjaśniła, że w sytuacji, w której nie chcemy wziąć udziału w referendum, musi zostać to odnotowane jako „odmowa” lub informacja „nie wziął” w miejscu, gdzie kwituje się spis wyborców. Po Ewie Łętowskiej taką instrukcję powtarzali kolejni eksperci. Zresztą nie tylko w stacji TVN24.

W mediach liberalnych trwa zakrojona na szeroką skalę akcja zniechęcenia Polaków do wzięcia udziału w samym referendum. Na portalu Wirtualna Polska podobnych instrukcji udzielał także Wojciech Hermeliński, były szef Państwowej Komisji Wyborczej. WP zapytała go, co zrobić, żeby nie uczestniczyć w referendum. Zdaniem Hermelińskiego nie można nikogo zmusić do przyjęcia karty z pytaniami referendalnymi. „Tutaj problemem jest, że odmówić trzeba w jakiś sposób na forum publicznym, przed komisją” – tłumaczył Hermeliński.

Donald Tusk zapowiada, że gdy wygra wybory, nie weźmie pod uwagę wyniku referendum. Przyzywał nas już zresztą do ignorowania woli Polaków. Tak było z podniesieniem wieku emerytalnego. Stało się to wbrew woli większości, bez należytych konsultacji społecznych. Tak było z przymusowym wysłaniem sześciolatków do szkół. Mimo głośnych protestów środowisk rodziców klamka zapadła, choć pod presją opinii publicznej rząd opóźnił reformę o rok. Na przemiał poszły także zbierane w 2004 r. podpisy pod projektem referendum w sprawie zmian w konstytucji. Akcja nosiła nazwę „4 razy TAK”. Politycy PO chcieli wówczas zmniejszenia liczby posłów o połowę, likwidacji Senatu, zniesienia immunitetu parlamentarnego i wprowadzenia ordynacji większościowej. Po latach Andrzej Olechowski, wówczas polityk PO, tak tłumaczył zniszczenie podpisów: „To były głównie ćwiczenia skierowane do aktywistów partyjnych, żeby nie kisił się w domach, tylko wyszli na miasto i coś robili”.

I tak to jest z Donaldem Tuskiem oraz z wolą Polaków.

Dorota Łosiewicz

W argentyńskich prawyborach, wstępnym, obowiązkowym głosowaniu powszechnym, które wyłoniło kandydatów w zapowiedzianych na październik wyborach prezydenckich, odnotowano sensację. Najwięcej głosów zdobył Javier Milei, ekonomista opowiadający się za radykalną terapią wolnorynkową, która jego zdaniem pozwoli wyjść Argentynie z chronicznego kryzysu.

52-letni Milei domaga się m.in. rozwiązania banku centralnego, likwidacji wielu ministerstw i urzędów, a także przejścia na dolara amerykańskiego, który miałby zastąpić stale tracące na wartości peso. Polityk zdobył 31 proc. głosów i wygrał w 16 z 24 argentyńskich prowincji, co jest o tyle zaskoczeniem, że przedwyborcze sondaże nie dawały mu takiego wyniku. W wyborach będzie on rywalizował z Patricią Bullrich, byłą minister sprawiedliwości, reprezentującą centroprawicową koalicję Razem na Rzecz Zmian. Szanse kandydata rządzących peronistów, którzy zdobyli nieco ponad 26 proc. gło-

Czarny koń wyborów

 **Argentyna**

sów i mają wystawić ekonomistę Sergio Masę, wydają się mniejsze.

Milei okazał się atrakcyjną opcją głównie dla młodych wyborców, zmęczonych życiem w kraju, w którym inflacja przekroczyła właśnie 116 proc. w skali roku i jest jedną z najwyższych na świecie (nie licząc Wenezueli, Zimbabwe i Libanu). Kryzys zepchnął już 10 proc. Argentyńczyków poniżej progu ubóstwa, a państwo od 2018 r. balansuje na krawędzi niewypłacalności. Na tym tle Milei zaprezentował się jako antysystemowy ekscentryk. Podczas kampanii kolportował m.in. informacje, jakoby od 13. roku życia miał się nie czesać, a jego towarzyszami życia jest jedynie pięć

psów rasy mastiff, z których cztery zostały nazwane na cześć znanych ekonomistów. Za jego wizerunek odpowiadała siostra Karina, którą polityk publicznie przyrównywał do Mojżesza.

Ewentualne zwycięstwo Mileia może zdaniem obserwatorów oznaczać wejście Argentyny w fazę zawirowań politycznych. Jego niewielka partia ma bowiem jedynie dwa miejsca w 257-osobowym Kongresie i ani jednego w Izbie Wyższej. Nawet jeśli popierająca go koalicja wygra zapowiedziane również na październik wybory parlamentarne, które mają zmienić 1/3 Senatu i wyłonić 157 nowych deputowanych, to trudno oczekiwać, aby nowy układ polityczny był w stanie szybko wyrugować wpływy lewicowych peronistów, którzy przez ostatnie 20 lat rządili Argentyną. Nie sprzyjającą okolicznością jest również fakt, że większość krajów Ameryki Południowej jest obecnie rządzonych przez polityków związanych z lewicą.

Marek Budzisz

Jedna osoba zabita i osiem ciężko rannych – to bilans krwawej walki pomiędzy chorwackimi i greckimi kibicami piłkarskimi, do której doszło dwa tygodnie temu w Atenach. Biatyka doprowadziła do ochłodzenia stosunków chorwacko-greckich.

Konflikt wybuchł między kibicami zagrzebskiego klubu Dinamo i ateńskiego Panathinaikos z jednej strony, a kibicami AEK, innego klubu piłkarskiego z Aten – z drugiej. Do walki doszło po treningu drużyn Dinama i AEK, które we wtorek 8 sierpnia miały rozegrać pierwszy mecz eliminacji Ligi Mistrzów. Bad Blue Boys (tak nazywają się kibice Dinama) starli się z AEK, po czym 29-letni kibic ateńskiego klubu Michalis Katsouris został zaszyty łotewany.

Śledztwo w sprawie zabójstwa zostało zawężone do pięciu osób – jednego Chorwata, trzech Greków oraz Albańczyka, który również brał udział w bójce. Mimo to aresztowano aż 94 chorwackich fanów, którzy od dwóch tygodni przebywają w greckim więzieniu i prawdopodobnie pozostaną tam przez jakiś czas.

Choć wydaje się bardzo prawdopodobne, że Grek został zabity przez jednego ze swoich rodaków, greckie media od dwóch tygodni prowadzą zacieklą kampanię przeciwko chorwackim kibicom, przedstawiając ich jako jedynych winnych bójki. Z ko-

 **Chorwacja**

Wojna kibiców

lei w Chorwacji zwraca się uwagę, że aresztowano 94 Chorwatów i tylko kilku Greków. Chorwacka opinia publiczna nie ma wątpliwości, że chuligani, którzy przybyli do Aten dzień przed meczem, tylko po to, aby wziąć udział w bójce, powinni zostać ukarani. Jednocześnie jednak wyraża się wątpliwości co do sprawiedliwego osądu ze strony greckiego wymiaru sprawiedliwości. Istnieje też poważna obawa, że zatrzymani chorwaccy kibice mogą zostać zaatakowani w greckich więzieniach przez licznych tam serbskich przestępców.

Głos w tej sprawie zabrał nawet prezydent Chorwacji Zoran Milanović. „Ci ludzie zostali schwytani jak na wojnie. To nie ma nic wspólnego z prawem. [Grecy] mieli kilka dni na odseparowanie podejrzanym, a teraz wysyłają ich wszystkich do aresztów śledczych, gdzie mogą być bici lub gwałceni” – powiedział polityk.

Grecki premier Kyriakos Mitsotakis chłodno odpowiedział na krytykę Milanovicia. „Winni zostaną znalezieni i ukarani. Grecja to państwo prawa i ma swoje zasady. Sądownictwo jest niezależne” – stwierdził. Chorwatów jednak nie przekonał, a emocje, które towarzyszą tej sprawie, mogą negatywnie wpłynąć na relacje między oboma bałkańskimi państwami.

Goran Andrijačić





Ghana

Zgubne pragnienie bogactwa

Ghana, do niedawna najszybciej rozwijająca się gospodarka Afryki Zachodniej, cierpi z powodu dotkliwego kryzysu gospodarczego. Jedną z jego przyczyn są gwałtownie rosnące koszty energii, które napędzają inflację i prowadzą do wzrostu zadłużenia państwa. Przypadek Ghany jest ciekawy, pokazuje bowiem, że bariery rozwoju państw afrykańskich często tkwią w nich samych.

Początkowo wszystko szło doskonale. Ghana miała spory potencjał, który przełożył się na relatywnie wysoki – jak na standardy afrykańskie – wzrost gospodarczy. W latach 90. ubiegłego stulecia przeprowadzono tu reformy w mocno liberalnym duchu, m.in. sprywatyzowano sektor państwowy i dokonano radykalnych cięć wydatków socjalnych. Kraj po wielu latach rządów junty wojskowej wszedł na drogę demokratyczną. Od ponad dekady wydobywa się tutaj ropę naftową i gaz ziemny, które obok produkcji kakao oraz turystyki stanowią fundamenty gospodarki państwa. Ghana zaczęła nawet budować własny sektor technologiczny, czego symbolem było otwarcie w Akrze afrykańskiej siedziby Twittera. Bank Światowy w 2018 r. szacował, że prawie cała ludność miejska oraz dwie trzecie ludności na prowincji ma dostęp do energii elektrycznej, a niemal 40 proc. mieszkańców jest podłączonych do internetu.

Nieoczekiwanie jednak afrykańskie marzenie zaczęło się rozwiewać. Szybki rozwój zwiększył zapotrzebowanie na energię elektryczną, którą w Ghanie wytwarza się przede wszystkim z gazu ziemnego. Własne zasoby nie wystarczały, więc rząd zakupił duże ilości za granicą. I tu pojawił się problem. Kontrakty zawarto w formule „bierz lub płać”, co oznacza zobowiązanie do zakupu z góry określonej ilości gazu, nawet jeśli później okaże się, że zamówiono go za dużo. Tak było w przypadku Ghany. Podpisując kontrakt, nikt bowiem nie zauważył, że nie posiada ona wystarczającej liczby gazociągów. Zapłacono więc za ilość paliwa, której nie dało się dostarczyć do elektrowni. Dlatego, choć gazu było pod dostatkiem, prądu nadal brakowało. Doprowadziło to do gwałtownej podwyżki cen energii, które w ciągu ostatniego roku wzrosły aż dwukrotnie. Stracili na tym również rodzimi producenci gazu, którzy zostali zmuszeni do spalania jego nadwyżek.

W tej chwili Ghana buduje terminal LNG oraz sieć gazociągów, którymi popłynie paliwo dostarczane przez koncern Shell. Koszty inwestycji są jednak wysokie dla pogrążonego w kryzysie państwa, które znów musi ciąć inwestycje w rolnictwie, służbie zdrowia oraz wydatkach socjalnych. Chaotyczny pęd do bogactwa stał się dla Ghany przyczyną biedy.

Konrad Kołodziejski



Kryzys w partii Vox

W Hiszpanii mimo afrykańskich upałów niemal wszystkie media żyły przez wiele dni analizą nagłego wycofania się z polityki jednego z założycieli partii Vox, jej rzecznika prasowego i sekretarza do spraw międzynarodowych – Ivána Espinosa de los Monteros (wywiad z nim opublikowaliśmy w czerwcu).

Swoją decyzję o odejściu z zarządu partii, pozostaniu jedynie szeregowym jej członkiem i powrocie do świata biznesu Espinosa wyjaśnił względami osobistymi. Jego pożegnalna konferencja prasowa stała się jednak powodem wybuchu kampanii medialnej skierowanej przeciw obecnemu zarządowi Vox. Zgodnym zdaniem wielu analityków, również tych, którzy wcześniej kibicowali Vox, wycofanie się z polityki błyskotliwego i charyzmatycznego Espinosa jest wynikiem czystek partyjnych zaprowadzanych przez eksfalangistę, a dziś eurodeputowanego Vox – Jorge'a Buxadé. Spekuluje się, że to już nie Santiago Abascal zarządza partią, lecz właśnie Buxadé i jego ekipa, a fatalny wynik w lipcowych wyborach parlamentarnych jest efektem przyjętej przez niego strategii przekształcenia partii konserwatywno-liberalnej w formację skrajnie prawicową, czemu ponoć przeciwstawiał się Espinosa i dlatego został zmuszony do odejścia.

Rzeczywiście, część deputowanych poprzedniej kadencji uznawanych za bardziej liberalnych nie znalazło się na ostatnich listach wyborczych Vox, a w partii coraz większą karierę zaczęli robić politycy, którym imponuje model polityki uprawianej przez Viktora Orbána na Węgrzech. Partia usiłuje się bronić przed stawianymi jej zarzutami, dowodząc, że jej program nie zmienił się od 2019 r., kiedy nieoczekiwanie dla wszystkich zdobyła 52 mandaty w parlamencie i stała się trzecią siłą polityczną w Hiszpanii. Jednak utrata aż 19 posłów w ostatnich wyborach, w tym kilku cenionych intelektualistów, nie przyniosła refleksji ani analizy popełnionych błędów, tylko nasiliła retorykę obłąkanej twierdzy i wojnę partii z niemal wszystkimi mediami. Dla niemałej lewicowej części Hiszpanii kryzys w Vox jest wymarzoną prezentem przed zbliżającą się inauguracją kolejnej kadencji parlamentu.

Małgorzata Wołczyk

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Uroczyście unieważnić Tuska!



**Jan
Pietrzak**

Wygląda na to, że w związku z ogłoszonym przez rząd referendum opozycja żąda wstępnego referendum (prereferendum) z jednym pytaniem: czy rząd może zrobić referendum z czterema pytaniami? Prawo raczej nie zabrania tego rodzaju dialogu władzy ze społeczeństwem. Natomiast opozycja zabrania i jest bardzo zdesperowana. Jak to ona, wrzaskliwie, histerycznie protestuje przeciwko zadawaniu pytań Polakom. Akceptuje co najwyżej pytania prejudycjalne do władz unijnych, które na tym kontynencie są jedynym źródłem praw wszelakich według „polskiej” kasty.

Główny tenor przeciwników referendum brzmi tak, że przecież przedstawione tematy są dobrze znane i wszyscy wiedzą, o co chodzi! Otóż nie wszyscy wiedzą to samo w sprawach: relokacji imigrantów, obrony granic, emerytur i wyprzedaży przedsiębiorstw. Polacy dobrze życzący swemu krajowi mają zupełnie inną wiedzę niż Niemcy, których tu pełno. Mają tu swoje partie, fundacje, wpływowo media, biznesmenów w rodzaju hitlerowca Hansa G., zaprzeczanych historyków, polityków, sędziów itd. To towarzystwo od dawna u nas się panoszy, bryluje, pociąga za sznurki... i chce dużo więcej.

Prominentny polityk Weber zapowiada wojnę z polskimi wrogami za pomocą „zapory ogniowej”, a polityczka Barley zamierza po prostu Polaków zgłodnić. Przywołując w pamięci ludzkie szkielety za drutami Auschwitz, nie wątpimy, że Niemcy potrafią to zrobić. To tylko dwa najbardziej znane tematy, które mają po wyborach wprowadzać Tusk i jego komando. Z tego powodu wskazane jest oficjalne, zgodne z prawem, postawienie Szanownemu Elektoratowi węzłowych pytań dotyczących przyszłości. Czy mamy jeszcze coś do gadania, czy oddajemy Polskę pod zarząd wnukom Wehrmachtu? Bardzo dobry moment na głębszą refleksję przy okazji wyborów.

Znany kandydat na gauleitera, protestując przeciwko prostym pytaniom, oświadczył, że „uroczyście unieważnia” to niesłychane referendum. I cóż my, biedaki, mamy z tym fantem zrobić, skoro nie tylko odpowiedzi, lecz nawet pytania, nie podobają się Tuskiowi? Mam świetny pomysł: uroczyście unieważnić Tuska! Wiem, jak to zrobić. Oczekuję propozycji.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Papież wymierzył Polsce policzek. Boli

Gdyby ktoś miał wątpliwości, jakie znaczenie ma dla papieża Franciszka nasza ojczyzna, a zarazem ojczyzna św. Jana Pawła II, niech sprawdzi, kogo ostatnio Pontifex Maximus, czyli Najwyższy Kapłan Kościoła, powołał na nuncjusza w Polsce. Otóż jest to były przedstawiciel Watykanu w Nigerii.

Dla tych, którzy nie wiedzą: w Nigerii jest nie więcej niż 10 proc. katolików. Muzułmanów ponad 40 proc. Dla Kościoła to prowincja prowincji, tam się zsyła mało znaczących dyplomatów Stolicy Apostolskiej, takich, którzy szans na poważne znaczenie i karierę nie mają, ale trzeba się ich z Rzymu pozbyć. Nuncjusz w Nigerii trafiając do Polski, otrzymuje wielki awans. Ale dla Polski taki dyplomata żenada to demonstracyjne pokazanie przez papieża, że nasz kraj jest wart tyle samo, co nic nieznaczące dla Kościoła powszechnego odległe islamskie państewko w Afryce.

Chciałbym bardzo, aby polscy hierarchowie, aby polskie duchowieństwo, aby polscy szeregowi katolicy (tacy jak ja) – których niestety jest coraz mniej – zrozumieli, zauważyli, jak obecny papież traktuje ojczyznę swojego poprzednika, św. Jana Pawła II. Żeby pojęli, że ją nieprzypadkowo, ale intencjonalnie deprecjonuje, że ją stawia daleko „za Murzynami”, że chce



**Dominik
Zdort**

jej ująć wagi, ważności i – nie bójmy się tego słowa – świętości, której jesteśmy współuczestnikami dzięki pewnemu wadowiczaniowi.

Parę dni temu zabrałem mojego syna do Rzymu. Zapytałem przed wyjazdem, czy mam zarezerwować miejsca na śródową audiencję generalną. Nie był zainteresowany. Pewnie z innych powodów niż ja – ale słusznie. Po co my mamy spotykać się kimś, kto ma nas, Polaków, w głębokiej pogardzie. Tak już w historii bywało, papieże nie rozumieli naszych narodowych aspiracji, powstań, wręcz je krytykowali. Dziś jesteśmy dla Ojca Świętego Franciszka tylko przykrą przeszkodą, przez którą nie może się uściskać z prezydentem Włodzimierzem Putinem i jego wiernym funkcjonariuszem Cyrylem-Kirylem.

A wszystko to dzieje się w czasach, gdy Rzeczpospolita stała się „przedmurzem”, i to nie tylko chrześcijaństwa jak kiedyś, ale całej zachodniej cywilizacji, najważniejszą opoką Ukrainy w jej starciu w moskiewskim barbarzyństwie. Nie wiem, jak polski Kościół i jak obywatele Polski powinni się do tego odnieść. Papież Franciszek wymierzył nam policzek. Boli, bardzo boli.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

BRONISŁAW WILDSTEIN

Trwała bliskość

Bar szpitalny. W kolejce przede mną małżeństwo, ok. czterdziestki. Wymęczona terapią kobieta kładzie ogoloną, przesłoniętą chustką głowę na ramieniu męża. Ten obejmuje ją. Pyta, czy nie wolałaby usiąść, on wszystko załatwi. Obserwuję ich, a nawet troszkę podsłuchuję. Tzw. zwyczajni ludzie. Ich naturalna czułość i opieka zdrowego nad chorą podnosi na duchu.

Na pierwszy rzut oka doświadczenia onkologicznego szpitala nie mogą budzić entuzjazmu. Choroba, cierpienie i widoczna nieomal nadchodząca śmierć nie należą do przyjemnych.

Nie krytykuję tego konkretnego medycznego kombinatu, który szczególnie w zderzeniu z wyzwaniem, z jakimi musi się mierzyć, funkcjonuje naprawdę dobrze. W ludzkich miarach, które nie pozwalają liczyć na doskonałość. Kolejki są wszędzie, ale inaczej nie sposób organizować ogromnych, nieustannie przepływających przez szpital rzeszy chorych i towarzyszących im bliskich. Przyjrzenie się relacjom między nimi, trosce, jaką rodziny otaczają pacjentów stanowi antidotum na zjawiska sfery publicznej. A przecież ma ona znaczenie podstawowe i nie bez racji antyczni Grecy osobę nią nie zainteresowaną nazywali idiotą.

W polityce chodzi o władzę, gdyż tylko po jej uzyskaniu realizować można właściwe idee, trafne pomysły, odkrywcze rozwiązania. Im więcej dobra chcemy uczynić, na tym większe kompromisy w jego imię jesteśmy gotowi. Szybko orientujemy się jednak, że polityczne cele możemy osiągać tylko częściowo, a ich cena jest wysoka. Każdy uczciwy polityk musi ciągle ważyć koszty swoich przedsięwzięć. Dobrze, jeśli w ogóle o tym pamięta, walcząc o władzę, a często wyłącznie o zniszczenie konkurenta. Znaczy to jednak, że nie tyle powinniśmy zapomnieć o polityce, co tym uważniej w niej uczestniczyć. Nie dawać nabierać się opowieściom o gronie mędrców, którzy z Brukseli lepiej się o nas zatroszczą; nie pozwalać zwodzić wizjom sprawiedliwości, która zapanuje, kiedy całość naszego życia kontrolowała będzie kasta sędziów; nie wierzyć w profesjonalistów, którzy za pomocą naukowych algorytmów zaplanują dla nas doskonałą przyszłość.

Obserwacja życia publicznego każe zachować daleko idącą rezerwę do naszego gatunku. Zwłaszcza dziś, w dobie triumfu odwracającej znaczenia ideologii i powszechnej manipulacji, która uzyskuje coraz skuteczniejsze metody działania. Inaczej bliźnich oceniać zaczynamy w szpitalu, widząc opiekujących się sobą małżonków, dzieci troszczące się o rodziców czy tych ostatnich poświęcających wszystko dla swojego potomstwa. Problemy potęgują się wraz z oddalaniem się od bliskiego otoczenia człowieka, w przedsięwzięciach na skalę szerszą,

siłą rzeczy bardziej abstrakcyjnych. W sprawach osobistych, bezpośrednio nas dotyczących potrafimy zachowywać się przyzwoicie i rozumnie.

Dla mentalności nowożytnej koncentracja na najbliższych budzi wątpliwości. Zmusza do preferowania członków rodziny kosztem innych, być może bardziej wartościowych; zamyka w tradycyjnym układzie, który krępuje naszą wolność i możliwości samorealizacji. Nie po to budujemy państwo opiekuńcze, które każdym powinno zająć się zgodnie z profesjonalnymi standardami, jednakowo, bez osobistych sentymentów. A przecież nie do pozazdroszczenia jest sytuacja pacjenta, którym zajmuje się wyłącznie, choćby najlepiej wykwalifikowany personel szpitala. I nie chodzi o pomoc w fizycznej opiece, którą pracownicy medyczni potrafią wypełniać w sposób wystarczający.

Troska rodziny nie musi mieć charakteru konkretnych gestów, chociaż w nich się wyraża. Chodzi o bliskość, która wiąże jej członków i potrzebna jest w tym samym stopniu chorym, co ich opiekunom. Człowiek jest istotą społeczną, jego środowisko naturalne ma charakter wspólnotowy, a wyższe uczucia, duchowe potrzeby budzą się w nim wobec innych.

Jesteśmy bytem ograniczonym, nie potrafimy jednakowo kochać wszystkich – ktoś, kto to deklaruje, zwykle nie kocha nikogo. Nie wolno nam czynić zła innym, powinniśmy starać się im pomagać, ale otoczyć troską potrafimy tylko wybranych; prawdziwym uczuciem darzymy nielicznych. Rodzina buduje trwałość naszych związków i zobowiązań. Jeśli zakwestionujemy ją w imię równego traktowania oraz powszechnego dobra zniszczymy to, co najbardziej wartościowe dla większości z nas.

Mężczyzna, który odprowadza żonę do stolika mógłby zdać się na profesjonalną opiekę. Jego obecność w szpitalu nie przekłada się na skuteczniejszą terapię, może nawet przeszkadza w sprawnym działaniu ośrodka. On sam potrafiłby ten nieefektywnie spędzony czas wykorzystać dla aktywności, które przyniosłyby wymierną korzyść nie tylko jemu. Czy gdyby nie byli małżeństwem i nie obiecali (przed Bogiem? Społeczeństwem?), że „będą ze sobą trwali w zdrowiu i chorobie”, byłby tu z nią, a ona miałaby komu położyć głowę na ramieniu? 





Walizka Marcina Wolskiego

pisarza, dziennikarza, satyryka

Podróżuję właściwie od czasu, gdy stało się możliwe. Tak na dobre wyjazdy zaczęły się wraz z wolną Polską, z posiadanym paszportem i wymienialną walutą. Przeważnie są to podróże prywatne z rodziną lub przyjaciółmi. Wcześniej były artystyczne wyjazdy z kabaretem „60-tka” po Australii, Stanach i Kanadzie. W większości przypadków – ze wstydem wyznaję – korzystam z wyjazdów organizowanych przez biura podróży albo przez zaprzyjaźnionego operatora, który mi wybiera destynacje. Tak że ja przyjeżdżam, a na lotnisku czeka facet z napisem „Mr Wolski” i kieruje mnie dalej. To oczywiście nie pozbawia niespodzianek, które się zdarzają, ale niespodzianki też powinny być zaplanowane. W sumie przez te wszystkie lata odbyłem ponad 160 podróży do ponad 120 krajów według zasady: nie lecieć dwa razy do tego samego miejsca. Z ekstremalnych miejsc byłem na Galapagos, Wyspach Wielkanocnych, Papui Nowej Gwinei, w Nepalu. Nie zawsze hotel, w którym się zatrzymuję, musi być ekskluzywny, ale staram się, żeby miał internet, żebym mógł utrzymywać zawodowe kontakty.



JEANSOWA KURTKA

Może jest niezbyt elegancka, ale spełnia kilka funkcji: chlebaka, plecaka, pojemnika na dokumenty. Wszystko, co ważne, mam w takiej kurtce. Czasami gdy już jest bardzo tropikalnie, to mam bezrękawnik.

PŁETWY

To syn namówił mnie na nurkowanie i tak od początku lat 90. odbyłem ponad 200 głębokich nurkowań w najbardziej fascynujących akwenach, m.in. na Morzu Karaibskim, Czerwonym czy Malediwach.





PELERYNA

Pogoda na Kostaryce
zmusiła mnie do jej nabycia.
Opady w deszczowych lasach są tak intensywne, że
moja kurtka z Polski przemakała w jednej chwili.

KSIĄŻKI

W przypadku krótkich
podróży, zabieram jedną
książkę na jeden dzień.
Ciekawe, beletrystyczne
pozycje jestem w stanie
wchłonąć w trzy godziny.
Jeżeli jest arcyciekawa
i powtarzam sobie fragmenty,
to bywa, że aż cztery.



KSIĄŻECZKA NURKOWA

Jest tak ważna
jak certyfikat
i jest wymagana
przez coraz więcej
centrów nurkowych jako dowód doświadczenia, ponieważ
dostarcza namacalną informację o historii nurkowań.
Umieszczam w niej informacje o warunkach panujących
pod wodą, prądach, widoczności, możliwych zagrożeniach
i napotkanych okazach. Są to dane przydatne także dla
innych miłośników podwodnych wrażeń.



BUTY

Uniwersalne na błoto, na deszcz, na
śnieg. Czasami, jeżeli wymaga
tego bal kapitański na
statku, zabieram parę
eleganckiego obuwia.



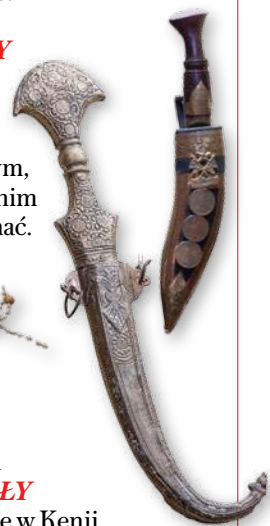
LORNETKA

Jak zapasowe okulary,
czasami się przydaje.



KINDŻAŁY

Z Bliskiego
Wschodu. Z nożem
jest jedna święta zasada,
żeby nie znalazł się w bagażu podręcznym,
bo na odprawie celnej można się z nim
pożegnać.



KAMERA GO-PRO

Podarunek od zięcia.
Ostatnio przeważnie robię
zdjęcia telefonem, ale jeżeli
mi szczególnie na czymś
zależy, a zwłaszcza pod wodą,
ta mała kamerka bardzo mi się przydaje.



KOMPUTER DO NURKOWANIA

Informuje jak głęboko jestem i jak
należy gospodarować czasem przy
wynurzaniu, aby zapobiec reakcji
na nadmierne stężenie azotu we
krwi. Dawniej trzeba było stosować
skomplikowane wyliczenia.



FUTERAŁ

Jedyny przyodziewek mężczyzny
na Nowej Gwinei



SWETER

Z Islandii, z owczej wełniany. Ponieważ
izoluje ciepło, chłodzi latem, a grzeje
zimą. Proszę nie zapominać, że na
Saharze w nocy temperatura
spada poniżej zera.
Z kolei w Ugandzie podczas
poszukiwań goryli na
wysokości 2 tys. m n.p.m.
było już chłodnawo.



TARCZA I STRZAŁY

Zakupione w Kenii
od przystojnego
i bardzo gładkiego
Masaja, którym
zachwyciła się moja
żona.



Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

OGNIEM NA WPROST

Aligator w ogniu

Po upadku wsi Urodzajne na Zaporozu Ukraińcy przeszli do szturmowania Robotyne. Powoli posuwają się naprzód, krusząc pierwszą linię obrony Moskali. Według ostatnich doniesień północna część wioski jest już w rękach Sił Zbrojnych Ukrainy. Amerykański „Forbes” pisze, że do akcji w Robotyne Tryzuby rzucili doborową 82. Brygadę Desantowo-Szturmową. Jednostka ta dysponuje w pełni zachodnim sprzętem. Poza czołgami Challenger 2 (z dodatkowym wzmocnieniem na bokach) na wyposażeniu liczącej ok. 2 tys. żołnierzy 82. Brygady Desantowo-Szturmowej znajdują się też m.in. transportery opancerzone Stryker dostarczone przez Stany Zjednoczone oraz niemieckie bojowe wozy piechoty Marder. Challenger 2 to brytyjski czołg podstawowy trzeciej generacji. Maszyna dorobiła się miana „niezniszczalnej”, gdyż znane są przypadki, kiedy ruszała z miejsca po trafieniu kilkunastoma pociskami. Swoją odporność na ogień nieprzyjaciela zawdzięcza wielowarstwowemu pancerzowi, który w momencie wejścia tej maszyny do służby (1994 r.) miał opinię najlepszego na świecie. Na razie od maja na pierwszej linii walczy 14 Challengerów 2 i do tej pory żaden nie został zniszczony. Pojazd jest uzbrojony w gwintowaną armatę L30A1 kal. 120 mm, co też wyróżnia go na tle innych czołgów mających gładkolufowe działa.

Zdobycie Urodzajnego daje siłom ukraińskim możliwość wyjścia zarówno na południe w stronę Staromłynówki, jak i na wschód, w celu obejścia rosyjskich pozycji pod Nowodoneckiem. Ruscy komentatorzy podkreślają, że przyczyną ich odwrotu na Zaporozu był brak rotacji oddziałów i przewaga zasięgu artylerii po stronie ukraińskiej, co wykluczyło Moskalom możliwość walki kontrbaterijnej. Tak trzymać, panowie Kozacy!

Natomiasz na północy inicjatywę starają się przejąć Moskale. 1. Armia Pancerna naciera w kierunku Kupiańska. Najcięższe walki toczą się pod Bilołohoriwką. Kijów mówi, że sytuacja powoli staje się poważna. W rzeczywistości jednak pod Kupiańskiem Kacapy kosztem dwóch pułków piechoty, dwóch batalionów pancernych i pięciu dywizjonów artylerii posunęli się na jednym krótkim odcinku 100-kilometrowego frontu o... 200 metrów. Bez hysterii, panie i panowie.

Wracamy na front zaporowski, bo tam Tryzubom udało się strącić kolejnego Aligatora, czyli najnowocześniejszy ruski śmigłowiec bojowy Ka-52. Informacja i zdjęcie pochodzą od ukraińskiej 47. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej. Biuro prasowe tej jednostki donosi o zniszczonym Ka-52 w rejonie Robotyne w obwodzie zaporoskim, gdzie obecnie toczą się ciężkie walki. Śmigłowiec został strącony z użyciem przenośnego przeciwlotniczego zestawu rakietowego (ang. MANPADS). Nawigator miał zginąć, a dowódca ocalać życie, katapultując się. Aligator to jedyny śmigłowiec na świecie, z którego w razie zagrożenia można w sposób dość skomplikowany się katapultować. Mniej więcej w tym samym czasie pod Bachmutem udało się strącić Tryzubom kolejnego Aligatora (Moskwa potwierdziła zestrzelenie). Według portalu Oryx na 130 tego typu śmigłowców zaczynających wojnę 42 zostało strąconych. Ponieważ maszyna cieszy się dobrą opinią u Moskali i jest najnowocześniejsza, wykorzystuje się

ją do najtrudniejszych misji. Stąd tak duże straty. Niestety nie wiemy, ile szkód narobiły Kacapy Ukraińcom, zanim straciły ponad jedną trzecią Aligatorów. Był taki film „Helikopter w ogniu”. Może Ruscy zrobią po wojnie wzorem Hollywood superprodukcję pod zmienionym już tytułem „Aligator w ogniu”.

Ukraińcy wypuścili do sieci reportaż o obozie dla rosyjskich jeńców. Zapewne nie jest tam tak sielsko, jak pokazali w filmie, chociaż Ukraina jest pod taką kontrolą instytucji międzynarodowych, że raczej na pewno nie jest tak źle, jak w obozach dla jeńców SZU na terenie Kacapii. Ale w czwartej minucie filmu pojawia się Moskal, z którym realizator nawiązuje dialog następującej treści: „Nadal uważasz, że jesteście nazistami?”. „Tak” – odpowiada боец. Po czym dodaje: „Ale cywilizowanymi nazistami”.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

Zmiany w prawie spadkowym

Za trzy miesiące wejdą w życie przepisy ustawy nowelizującej zasady dziedziczenia. Nowe przepisy porządkują i upraszczają ustawowe zasady spadkobrania obowiązujące w przypadku, gdy nie sporządzono testamentu, spadkobiercy spadek odrzucili, nie mogą go przyjąć albo dokument ten okazał się nie spełniać przewidzianych przez prawo wymogów i został uznany za nieważny.

Testament może sporządzić osoba pełnoletnia i taka, która nie została ubezwłasnowolniona. Osoba, która posiada testament w chwili uzyskania informacji o śmierci spadkodawcy, staje się obowiązana do złożenia go w sądzie lub u notariusza. Istnieją różne dopuszczalne przez polskie prawo rodzaje testamentów. Najprostszym z nich jest testament holograficzny, czyli sporządzony własnoręcznie przez testatora, podpisany i opatrzony datą. Popularną formą omawianego oświadczenia woli jest testament notarialny, czyli sporządzany przez notariusza, który uznawany jest za trudniej podważalny z racji jego urzędowego charakteru. Warto pamiętać, że testament notarialny w świetle prawa nie posiada większej mocy niż testament własnoręczny i może być odwołany poprzez późniejsze sporządzenie testamentu holograficznego lub w innej dopuszczalnej formie. W razie występowania obawy rychłej śmierci można dokonać rozporządzenia testamentowego w formie ustnej, ale konieczna jest obecność trzech świadków. Testament podróżny można sporządzić na pokładzie samolotu lub statku w obecności dwóch świadków. Należy go jednak spisać, podpisać i opatrzyć datą. Istnieje także wojskowa forma testamentu zarezerwowana dla członków sił zbrojnych. Jeżeli spadkodawca pozostawił kilka testamentów, to za podlegający dalszej weryfikacji uznaje się ten z najpóźniejszą datą. W razie stwierdzenia nieważności lub braku testamentu należy się odwołać do regulacji zawartych w przepisach prawa spadkowego.

Zgodnie z przepisami, które zaczną obowiązywać za trzy miesiące, krąg spadkobierców ustawowych będzie zawężony, osoby małoletnie zyskają większą ochronę przed dziedziczeniem długów, a spadkodawca będzie mógł uznać za niegodną dziedziczenia osobę, która uporczywie zalega z alimentami.

Asesorzy, a więc osoby, które ukończyły aplikację sądową, ale nie zostały jeszcze mianowane na stanowisko sędziów, obecnie nie mogą orzekać w sprawach rodzinnych, ale za trzy miesiące zyskają uprawnienia do orzekania w sprawach o zezwolenie na dokonanie czynności przekraczającej zakres zwykłego zarządu majątkiem małoletniego lub ubezwłasnowolnionego całkowicie w postaci przyjęcia albo odrzucenia spadku, w toku prowadzonego przez siebie postępowania o stwierdzenie nabycia spadku.

Kolejne novum dotyczy terminów w przypadku, gdy spadkodawcami są np. osoby małoletnie. W sytuacji, gdy złożenia oświadczenia o przyjęciu lub odrzuceniu spadku wymaga uzyskanie na to zezwolenia sądu, bieg terminu był zawieszony do chwili uprawnienia się takiego postanowienia. Po ustaniu okoliczności uzasadniających zawieszenie terminu będzie biegł dalej od chwili, w której nastąpiło zawieszenie.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Nowela zmienia zasady dziedziczenia w przypadku, gdy jeden z dziadków spadkodawcy nie dożył otwarcia spadku. W takiej sytuacji wyłączeni od dziedziczenia zostaną dalsi zstępni dziadków spadkodawcy, czyli tzw. cioteczne lub stryjeczne wnuki i dalsze pokolenia. Usunięci z kręgu osób uprawnionych do spadkobrania zostaną dalecy krewni, z którymi spadkodawca nie utrzymywał żadnych relacji, a więc rodzinna jest znikoma albo w ogóle nie powstała. Zaproponowana zmiana wyklucza konieczność często czasochłonnego poszukiwania dalszej rodziny zmarłego spadkodawcy.

Ustawodawca uzupełnił przesłanki niegodności dziedziczenia w postaci uporczywego niewykonywania obowiązku alimentacyjnego określonego co do wysokości orzeczeniem sądowym, ugodą zawartą przed sądem lub innym organem albo inną umową wobec spadkodawcy lub uporczywego uchylania się od wykonywania obowiązku pieczy nad spadkodawcą. Pozostali spadkobiercy zyskają uprawnienia do wyłączenia ze swego kręgu osób, które za życia zmarłego nie wykonywały obowiązków wynikających z prawa rodzinnego i zasad współżycia społecznego, mimo realnej możliwości ich spełnienia.



Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

**ŚP.
WOLFGANGA
ŻMUDZIŃSKIEGO**

*Ojca
Julii Przyłębskiej
Prezes Trybunału Konstytucyjnego.*

*Nestora polskich notariuszy,
byłego prezesa Stowarzyszenia Notariuszy RP,
wieloletniego działacza międzynarodowej Unii Notariatu Łacińskiego.*

Rodzinie i Bliskim składam wyrazy głębokiego współczucia

*Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów*

Po co nam państwo?



**Samuel
Pereira**

Spiny, piarowe sztuczki, polityczne przedstawienia i zaronania w internecie. Patrząc na współczesną debatę w Polsce, można dojść do wniosku, że życie publiczne tylko do tego się sprowadza. Szybko jednak przychodzi świadomość, gdy dzieje się coś złego, gdy w obliczu zagrożenia nie tylko szukamy jedności, lecz i schronienia. Takim właśnie azylem z założenia jest państwo.

Mogą się różnego rodzaju liberałowie nadymać, że bogiem jest wolny rynek, prywatność i każdy sobie niech rzepkę skrobie, jednak takie podejście jest samobójcze nawet na bezludnej wyspie, bo przecież od wody coś ją otacza. Tym bardziej jako obywatele byłibyśmy bezbronni w tym konkretnym regionie Europy, w którym się znajdujemy. Znałe i powtarzane wielokroć słowa Józefa Piłsudskiego o tym, że „niepodległość nie jest Polakom dana raz na zawsze”, to nie frazes, szczególnie gdy Polska od kilku lat jest krajem, który wyjątkowo niektórym sąsiadom przeszkadza. Chcąc nam zaszkodzić, wrogowie ze Wschodu i z Zachodu będą szukali wszelkich metod, żeby – po pierwsze – skłócić Polaków, po drugie – osłabić nasze państwo, a po trzecie – obniżyć zaufanie obywateli do niego.

Najwygodniejszym narzędziem do osiągnięcia tego ostatniego jest skrajne sklejenie różnych instytucji czy ważnych elementów państwa z politykami. Propagandyści, chcący wzbudzić nieufność obywateli do polskiego państwa, zamiast mówić o zaporze na polskiej granicy i granicy Unii Europejskiej, będą mówić „plot Kamińskiego” albo „plot Błaszczaka”. Wojska Obrony Terytorialnej? „Bojówki Maciejewicza”. Zamiast mówić o prokuraturze, mówią „prokuratura Ziobry”. Trybunał Konstytucyjny, ważny organ konstytucyjny RP? „Trybunał Przylębskiej”. Co z tego, że zasiada w nim 15 sędziów, z których każdy podejmuje autonomiczne decyzje, czego dowodem są również stanowiska sędziów wybranych przez większość sejmową, a będące na przekór woli obozu rządzącego? Tu chodzi o obsmarowanie i rozkręcenie nagonki na najsilniejszy z elementów w tej instytucji, kobietę, prezes TK. To są oczywiście sztuczki prymitywne, acz bez odpowiednio zdecydowanej obrony przed nimi – bardzo szkodliwe. W tym tkwi również misja mediów, żeby te zagrywki demaskować. 

Autor jest dyrektorem TVP Info

Będzie ciekawie i zaskakująco

*Z aktorką **Gabriela Chojeką** rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna*

Od czego zaczęła się twoja filmowa przygoda?

Gabriela Chojeka: Miałam 14 lat, kiedy trafiłam na plan „Powidoków” Andrzeja Wajdy. Dostałam tam małą rolę, ale pracowałam z mistrzem. Zafascynował mnie wtedy świat filmu, zaczęłam częściej chodzić na castingi.

Rola, z którą telewizzowie najmocniej cię kojarzą, to...?

Audre z „Korony królów”. Postać, którą grałam przez dłuższy czas. Trochę dzikuska, córka serialowej znachorki. Przyjechała na Wawel z Litwy. Pracowała w królewskiej kuchni i w karczmie, ale też biegła z lukiem. Dziewczyna zupełnie inna od Sandry z powstającego właśnie sitcomu „Tylko nie piątek!”.

Kim jest bohaterka, dla której tak zmieniałaś wygląd?

To typ blondi. Zależy jej na stylizacjach i dobrze zrobionych paznokciach. Marzy o karierze i aktorki, i tancerki, i piosenkarki, i influen-

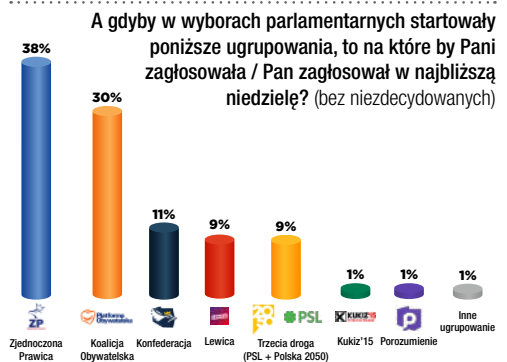
cerki. Myśli, że jeden blog czy drugi już będzie sukces, ale w tym momencie pracuje jako kelnerka w knajpce Rock & Roll Edek.

Serial „Tylko nie piątek!” zapowiada się na produkcję dosyć zwiariowaną.

Momentami też abstrakcyjną, ale i refleksyjną. Napewno w Rock & Roll Edek niejedno się zdarzy. Od inwazji kosmitów po odwiedzin historycznych postaci czy m.in. takich celebrytów jak Sławomir. Sporo dzieje się także pomiędzy nastoletnimi bohaterami. Odcinki są bardzo różnorodne. Już w trakcie zdjęć widać, że na ekranie będzie ciekawie i zaskakująco. 

Czytaj też str. 74





Odpowiedź	Procent
Zdecydowanie tak	6%
Raczej tak	14%
Zdecydowanie nie	28%
Raczej nie	19%
Trudno powiedzieć	33%

Odpowiedź	Procent
Zdecydowanie tak	25%
Raczej tak	13%
Zdecydowanie nie	21%
Raczej nie	16%
Trudno powiedzieć	25%
Tak (łącznie)	38%
Nie (łącznie)	37%

Zakres czasowy badania 11–14 sierpnia 2023 r.

Kiepski agent z telewizji



PIOTR GONTARCZYK

Akta Bogusława Wołoszańskiego to jedna z najmarniejszych historii, jakie można znaleźć w archiwach IPN. Niewiele mówią one o działaniach komunistycznego wywiadu, ale sporo o ich bohaterze i jego karierze w PRL

W 2007 r. w „Rzeczpospolitej”, kierowanej wówczas przez Pawła Lisickiego, opublikowałem tekst ujawniający, że znany dziennikarz i publicysta był agentem Departamentu I (wywiadu) Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Ben. Z oczywistych względów (ograniczona objętość) tekst za-



Warszawa 9.10.85

Wyrażam zgodę na rozpowszechnienie
z Wywiadem PRL. Na czas
współpracy obieram pseudonim „BEN”

[Signature]

wierał tylko niektóre elementy tej historii, którą dziś można opisać dokładnie i lepiej umiejscowić w historii PRL.

W WOJSKOWEJ PROPAGANDZIE

Bogusław Wołoszański urodził się w 1950 r. w Piotrkowie Trybunalskim, ale jako dorosły człowiek nie miał z tym miastem wiele wspólnego. Studia ukończył na Uniwersytecie Warszawskim i wiele wskazuje na to, że od lat 70. bardzo chciał zrobić karierę. Mimo przynależności do PZPR i różnych pomysłów sprawa szła opornie. Ale – podobnie jak w przypadku kilku innych dziennikarzy, nie tylko z TVN – pewnym przełomem okazał się stan wojenny. W 1982 r. znany hunwejbini komunistycznej propagandy Jerzy Putrament miał zamówić u Wołoszańskiego felieton do pisma „Literatura” na temat „militarystycznej polityki Ronalda Reagana”. „Literatura” nie została jednak odwieszona przez władze, więc materiał trafił do Głównego Zarządu Politycznego ludowego WP, gdzie na jego podstawie miano stworzyć film propagandowy. To ważna informacja. Ta instytucja, kierowana wówczas ręcznie przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego, twardo stała na pryncypialnych, marksistowskich pozycjach, za zdrajców mając „liberalnych” działaczy KC PZPR. Jeszcze w latach 80. wydawała broszury o „niemieckiej” zbrodni w Katyniu.

Wedle akt agenta o ps. Ben materiał miał obejrzeć sam gen. Jaruzelski, co mogło być elementem decydującym dla dalszej kariery Wołoszańskiego w PRL. Szef GZP WP gen. Tadeusz Szacillo otworzył dziennikarzowi drogę do ważnych dokonań. Miał on stworzyć cykl materiałów na temat polityki NATO, za które otrzymał nagrody od swoich nowych patronów. Krok w kierunku szybkiej kariery na ekranie został wykonany.

NA SZNURKU SB

Kiedy w 1985 r. towarzysz Wołoszański miał jechać jako korespondent do Londynu, funkcjonariusz SB zaprosił dziennikarza do warszawskiej

restauracji Budapest (tam od lat jest obecnie „Przystanek Historia” i sala wystawienniczo-konferencyjna IPN), gdzie 9 października 1985 r. jego rozmówca ochoczo podjął się nowych zadań i własnoręcznie sporządził zachowane zobowiązanie do współpracy pod pseudonimem Ben.

Co ciekawe, jeszcze w okresie zbierania podstawowych informacji na temat swojego przyszłego agenta bezpieczeństwa już trochę o nim wiedziała. Kiedy informacja o zainteresowaniu wywiadu

„Ben” donosił o awanturach u sąsiadów albo o tym, że obserwują go zachodnie służby, a jego mieszkanie naszpikowane jest aparaturą podsłuchową. Skąd to wiedział? Bo jego dziecka nie działał samochód na baterię kierowany radiem

Wołoszańskim dotarła do Wydziału IV Departamentu III MSW, zajmującego się rutynowo „zabezpieczeniem operacyjnym telewizji”, gdzie pracował wówczas Wołoszański, szef tej jednostki przesłał do Departamentu I MSW wyjątkowo niepochlebną opinię o nim od jednego z agentów tkwiących w tym środowisku, o ps. Jowisz. Zawierała ona fundamentalne zastrzeżenia do „postawy etyczno-zawodowej” przeszłego „Bena”: „Wołoszańskiego interesuje wyłącznie jego pozycja zawodowa i chęć zrobienia kariery. Kariera dla niego nie jest naturalnym następstwem zawodowego rozwoju, dziennikarską i ludzką samorealizacją, ale merkantylnym celem”. Taka opinia nie odwidła SB od przygotowywania „Bena” do misji zagranicznej. 5 grudnia 1985 r. o godz. 7.40 Wołoszański z żoną i dwójką dzieci poleciał do Londynu.

AGENT „BEN” NA ROBOCIE

Przed wyjazdem z kraju „Ben” dostał szeroki zakres zadań dotyczących m.in. rozpracowania „wrogich” środowisk polonijnych. Ale sprawa jakoś nie poszła. Jako dziennikarz „Ben” był w Londynie zupełnie nikim, nie miał też żadnych znajomości wśród Polonusów. Proponował wprowadzić SB wykorzystanie rodzinnych kontaktów jego żony i teściowej do podjęcia kontaktów na tym terenie, ale

na to nie wyraziła zgody sama SB. Z mocno katolickimi, polonijnymi ośrodkami nie szło się po prostu dogadać: z jednej strony światły i nowoczesny członek PZPR, a z drugiej, jak pisał sam „Ben”, środowisko nieufnych, przywiązanych do „celebry”, „zacietrzewionych kleryków”.

Głównym zadaniem „Bena” miało być jednak przeniknięcie do znaczących placówek mających wpływ na kształtowanie polityki brytyjskiej, których listę otrzymał wraz z innymi ambitnymi zadaniami wywiadowczymi tuż przed wyjazdem z kraju. Czego tam nie było: pozyskiwanie wartościowych informacji dotyczących polityki Wielkiej Brytanii, dotarcie do Londyńskiej Szkoły Nauk Ekonomicznych

i Politycznych, Międzynarodowego Instytutu Studiów Strategicznych, Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych itp. Tymczasem Wołoszański jako nieznany dziennikarz z PRL nie miał żadnych możliwości wykonywania tego rodzaju zadań w Londynie. Jego kwalifikacje mniej pasowały nawet do redaktora Maja z „Życia na gorąco”, a bardziej przypominały możliwości dyplomatów w Paryżu z filmu Barei „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”. Poza informacjami o przygodnych spotkaniach z różnymi dziennikarzami, których nie udawało się pogłębić, zestawem banałów możliwych do znalezienia w prasie, własnych obserwacji i teoryjek „Ben” nie miał wywiadowi nic, ale to zupełnie nic, do zaoferowania. Obsługujący go rezydent wywiadu PRL stwierdził po kilku miesiącach, że „Ben” unika

ZATWIERDZAM

185 10.14

Warszawa, 85-10-10

T A J N E

Egz. poj.

NACZELNIK WYDZIAŁU III DEPARTAMENTU I
PLK S.KWIATKOWSKIR A P O R T

z pozyskania do współpracy KO ps. "BEN"

WOŁOSZAŃSKI Bogusław, s. Mariana
i Ireny, ur. 1950-03-22 w Piotrkowie
Tryb. Narodowość i obywatelstwo -
polskie.Wykształcenie wyższe - absolwent Wydz. Prawa
i Poddyplomowego Studium Dziennikarskiego UW. Znajomość jęz. obcych:
rosyjski i angielski.

żonaty, dwoje dzieci.

Członek PZPR.

Zatrudniony: Komitet ds. Radia i Telewizji, zam.: Wwa, ul. Żmłowa 8/12.

*tel. dom. 438745*Dane biograficzne:

Po ukończeniu studiów wymieniony rozpoczął pracę zawodową w TVP na stanowisku młodszego redaktora. Kolejno, awansował na stanowiska:

- 1980r - kierownika Naczelnej Redakcji Programów TV o Krajach Socjalistycznych,
- 1983r - z-cy redaktora w Naczelnej Redakcji Programów Oświatowych i Dziecięcych TV,
- 1983-09 - p.o. z-cy dyrektora Programu II TV,
- 1985-01 - p.o. z-cy dyrektora Programu III TV.

W 1982r odznaczony został Brązowym Krzyżem Zasługi, w 1983r uzyskał nagrodę II stopnia Przewodniczącego Radiokomiteu oraz wyróżnienie Ministra Obrony Narodowej.

Za granicę wyjeżdżał do: Austrii, Jugosławii, Grecji, RFN, Włoch, Rumunii i Bułgarii - w większości na podstawie posiadanego konta dewizowego; w 1985r - służbowo do Wlk. Brytanii i ChRL.

Dane o rodzinie:

Percepcję sobie na osobistą refleksję: te dwa fakty wymagają politycznego zdyskontowania.
Najbliższe misie stanowią najlepszy okres dla efektywności naszej dyplomacji. Sądząc, że jest to czas aby powrócić do sprawy niemieckiej min. Ociekowskiego w N. Brytanii.

3. Zwracano uwagę na to, że Polska stoi przed dalszą modernizacją gospodarki (a zwłaszcza systemu zarządzania) podkreślając, że reforma gospodarcza ma wiele precedensów w Tonie Władze (wymieniano min. Pichowskiego i Szałaję). Dominował również pogląd, że następne lata przyniosą poważne ograniczenie centralizmu w zarządzaniu organizacją.

4. ~~Wskazywano~~ Wskazywano się między innymi do zdyskontowania przychodu Partii, zaufania społeczeństwa do organizacji partyjnych.
Był to bardzo często powtarzany motyw w korespondencjach Rogera Boyce'a ("The Times")

PODSUMOWANIE:

X zjazd zakończył się wieloma komentarzami i politykami. Próby morderstwa całej propagandy na sprawy "solidarności" nie udało się. (W dniu otwarcia obrad "The Times" wydrukował I str. listu R. Boyce'a o "Popiełusce")

Donos na ówczesnego korespondenta "The Times" w Polsce Rogera Boyce'a, który narażał go na retorsje ze strony władz PRL i Służby Bezpieczeństwa

kontaktów, bo po prostu nie ma nic interesującego do przekazania. „Uzasadnione [...] wydaje się przypuszczenie, że realia brytyjskie przekraczają możliwości źródła”.

Jednak taką opinię rezydenta wywiadu PRL w Londynie Zbigniewa Bako, krypt. Brig, zakwestionowali jego przełożeni. Po przyjeździe Wołoszańskiego do Warszawy i nawiązaniu z nim kontaktów przez funkcjonariuszy Departamentu I MSW, „Ben” rozciągał szerokie perspektywy ważnych kontaktów, które nawiązał do tej pory. W centrali wywiadu uznano więc, że „Ben” właściwie aklimatyzuje się w Wielkiej Brytanii, dobrze rokuje, a za niewielki uzysk z jego dotychczasowych kontaktów może odpowiadać sam rezydent „Brig”. Jest taka scena w filmie „Wielka wyspa”, kiedy jeden z głównych bohaterów – funkcjonariusz SB – dostaje absurdalne polecenia od przełożonych. Swoich kolegów SB opatruje krótkim komentarzem: „Debil na górze, debil na dole”. Nieprzynosząca żadnych korzyści współpraca z agentem „Benem” musiała więc trwać dalej.

„TAKAHARI” WYWIADU PRL

W świetle dostępnych akt nie ma większych wątpliwości, czym kierował się „Ben”, mając swoimi możliwościami funkcjonariuszy wywiadu PRL. Chodziło o jak najdłuższe trwanie w Londynie. Przez następne miesiące tamtejszą rezydenturę wywiadu PRL zalewały informacje dostarczane przez agenta „Bena”. Większość z nich można zdefiniować jako „węglowy miar”, który nie przynosił większych zysków wywiadowi. „Ben” szeroko informował o spotkaniach z różnymi dziennikarzami, przy czym był w stanie podać tylko ich najprostsze charakterystyki, miejsce pracy albo jedynie nazwisko, jak w przypadku Japończyka o nazwisku „Takahari”, który mógł być postacią autentyczną albo kojarzyć się „Benowi” ze znanym szpiegiem z czasów I wojny światowej. Informacje polityczne w zasadzie nie

przekraczały poziomu wiedzy powszechnie znanej lub dostępnej w prasie, okraszonych uwagami i wnioskami „Bena”, które nawet w warszawskiej centrali uważano za niedorzeczne.

Wszystko to można opisać jako błędną więcej na takim samym poziomie jak ostatnie dekady programów Wołoszańskiego w TVP. Niektóre z tych informacji już wtedy w warszawskiej centrali uznano za niewiarygodne. Ale strumień informacji o jawnych i ukrytych mechanizmach politycznych NATO, USA, Wielkiej Brytanii oraz ich polityce wobec PRL i Związku Sowieckiego płynął. „Ben” donosił

„Wołoszańskiego interesuje wyłącznie jego pozycja zawodowa i chęć zrobienia kariery. Kariera dla niego nie jest naturalnym następstwem zawodowego rozwoju, dziennikarską i ludzką samorealizacją, ale merkantylnym celem”. Taka opinia jednego z agentów nie odwiodła SB od przygotowywania „Bena” do misji zagranicznej

o awanturach u sąsiadów albo o tym, że obserwują go zachodnie służby, a jego mieszkanie naszpikowane jest aparaturą podsłuchową. Skąd to wiedział? Bo jego dziecku nie działał samochód na baterię kierowany radiem. Nie wiadomo, jak traktować tego rodzaju informacje. Może to rzeczywistość, a może jednak przejaw skrajnej megalomanii?

Stosunkowo oryginalne jest w tej dokumentacji doniesienie „Bena” na temat percepcji w kołach brytyjskich wyników X Zjazdu PZPR z 1986 r. Wedle

agenta obrady miały być śledzone dzień po dniu, a ich wyniki miały ogromny wpływ na postrzeganie PRL. Konkluzje wyciągnięte w czołowych brytyjskich gazetach miały oznaczać: „wzmocnienie pozycji gen. Wojciecha Jaruzelskiego [...]”. Skład władz partyjnych uznano za przejaw dalszej konsolidacji najwyższych ogniw. [...] Powtarzały się próby zdyskredytowania wpływu Partii, zaufania społeczeństwa do organizacji partyjnych. To bardzo często powtarzany motyw w korespondencjach Rogera Boyesa z »The Times«”.

Uwagę zwraca fakt, że ta informacja stanowiła realne zagrożenie dla brytyjskiego dziennikarza pracującego wtedy w Polsce, a więc będącego w zasięgu bezpieki. Podobnie szkodliwe i potencjalnie groźne były informacje przekazane na temat innych osób, np. o tym, że jeden z brytyjskich dziennikarzy jest homoseksualistą. W innym meldunku pojawia się informacja, że poznany w ambasadzie PRL brytyjski biznesmen jeżdżący do Polski jest z pochodzenia Żydem.

Generalnie jednak meldunki przynieszone przez „Bena” znać można za informacyjne śmieci, za które agent coraz częściej oczekiwał pieniędzy, tłumacząc to wydatkami na lunchy z zachodnimi dziennikarzami. Czasem służba odmawiała, uzasadniając to brakiem zysku ze spotkania, czasem wypłacała agentowi po kilkadziesiąt funtów. Łącznie na skutek swoich próśb o „zwrot kosztów” (agent nigdy nie przedstawił rachunków) „Ben” „wyprosił” w Londynie ok. 500 funtów. Analiza tej sprawy, jak widać, nie pozwala lepiej poznać tajników wywiadu. To głównie sugestywny obraz przedstawiciela „elit dziennikarskich” PRL.

„DOKTRYNA WOŁOSZAŃSKIEGO”

Kiedy w 2007 r. opublikowałem w „Rzeczpospolitej” ledwie sygnałne informacje na temat tej historii, jej bohater zareagował wedle obowiązujących wówczas byłych peerelowskich agentów schematów: „wszyskiemu zaprzeczaj, a jak złapią za rękę, krzycz,

że to nie twoja ręka”. Bogusław Wołoszański zwołał konferencję prasową, zapowiadając pozew sądowy za „zniesławienie”. Ale nigdy go nie złożył. Potem były inne historyjki, na przykład, że współpracował, ale nie ze Służbą Bezpieczeństwa, tylko z „wywiadem”. Kłopot w tym, że ten wywiad to właśnie Departament ISB Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Potem gdzieś pojawił się motyw uzyskania paszportu. Tymczasem ten zaufany towarzyszy-dziennikarz od lat spokojnie jeździł po świecie. Ostatecznie chyba stało na wersji, że chodziło o poznanie tajników służb specjalnych. W świetle zachowanych akt oraz widocznej w nich życiowej postawy naszego bohatera i tę historię można włożyć między bajki.

W każdym razie tuż po ujawnieniu sprawy w jednej ze stacji radiowych Wołoszański z przejściem mówił, iż ma „głębką, pełną świadomość, że naprawdę nikogo nie skrzywdził, na nikogo nie doniósł”. Otóż doniósł na wiele osób, i to raczej z mało wysublimowanych pobudek. A jego wypowiedź kilka dni po moim tekście w ostrych słowach skomentował w ówczesnej „Rzeczpospolitej” wspomniany już dziennikarz Roger Boyes.

Ostatnio media donoszą, że Bogusław Wołoszański został wręcz demonstracyjnie wystawiony jako „jedyńka na liście” wyborczej przez jedną z partii w Piotrkowie Trybunalskim. Ma to być „jedyńka przeciwko”, bo nowy patron dziennikarza postawił przed nim zadanie „zdekonspirowania” jego głównego rywala Antoniego Macierewicza. Po prawej stronie polskiej sceny politycznej pojawił się zgiełk, że wystawianie byłego agenta SB Bogusława Wołoszańskiego to zwykle świństwo i przejaw politycznego zdziczenia. To opinie bezzasadne. Przecież on się świetnie komponuje z otoczeniem choćby znanej demaskatorki syjonizmu Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej, startującej z tej samej listy z sąsiedniej Łodzi. I po co to oburzenie? Już wszyscy zapomnieli istotę „doktryny Neumanna”?

Autor jest pracownikiem IPN.

Artykuł odzwierciedla wyłącznie jego obserwacje i poglądy

Zostałem wrobiony

Z Bogusławem Wołoszańskim rozmawia Wojciech Biedroń

W 2007 r. ujawniono pana współpracę z Departamentem IMSW PRL w czasie, gdy przebywał pan w Wielkiej Brytanii w latach 1985–1986. Jaki jest pana stosunek do tej sprawy dzisiaj, gdy oficjalnie wszedł pan do życia politycznego?

Bogusław Wołoszański: W 2007 r. zostałem wrobiony, gdyż Prawo i Sprawiedliwości strasznie nie podobała się Unia Europejska. Ponieważ byłem wtedy twarzą akcesu Polski do UE, musieli wykorzystać to przeciwko mnie. I tak się stało. Ale to im się nie udało.

Tymczasem z pana teczki wynika, że otrzymywał pan pieniądze od SB i miał pan donosić także na jednego z brytyjskich dziennikarzy przebywających wtedy w PRL?

To jest stek bzdur, które wymyślono, aby mnie, przedstawiciela Unii Europejskiej, zohydzić całkowicie.

Czy mam rozumieć, że materiały operacyjne służb PRL i pana teczkę spreparowano? Jaki cel miałyby bezpieka, by pana dyskredytować w drugiej połowie lat 80.?

Myślę, że te materiały spreparowano. Podejrzewam, że tak się właśnie stało.

Nigdy nie rozmawiał pan z funkcjonariuszami SB? Nie składał pan raportów?

Ze Służbą Bezpieczeństwa nie współpracowałem.

A z komunistycznym wywiadem?

Współpracowałem z wywiadem, gdyż chciałem zobaczyć, jak to wygląda od środka. Na nikogo nie donosiłem, nikomu krzywdy nie zrobiłem. Nie przekazywałem żadnych informacji, o które Prawo i Sprawiedliwość mnie oskarża.

Pytam więc jeszcze raz: czy współpracował pan ze służbami specjalnymi PRL? Materiały zgromadzone w pana teczce wskazują, że przeby-

wając w latach 80. w Wielkiej Brytanii, miał pan donosić na jednego z brytyjskich dziennikarzy przebywających wówczas w Polsce, przekazując, że jest homoseksualistą, a znajomy biznesmen jest Żydem. Te informacje są dziś dostępne dla historyków i dziennikarzy. Materiały są spreparowane?

[Głośny śmiech] Nie potrafię panu dokładnie odpowiedzieć, bo tych materiałów nie widziałem. Mogę jednak zeznać pod przysięgą, że na żadnych dziennikarzy brytyjskich nie donosiłem.

Na nikogo innego pan nie donosił?

To są totalne bzdury.

Ale miał pan przecież świadomość, że rozmawia z przedstawicielami tajnych służb PRL.

No oczywiście, że tak, ale co oni potem napisali, to ja oczywiście nie wiem.

Przyjmował pan od nich pieniądze? Przez cały pobyt w Wielkiej Brytanii miał pan otrzymać ok. 500 funtów. Ile?

500 funtów – tak wynika z materiałów operacyjnych SB.

[Głośny śmiech] Już słyszałem wyższe kwoty, ale oczywiście, że nie. Chcieli mnie wrobić, no i mnie wrobili.

A czy to nie będzie przeszkodą dla pana działalności politycznej? Zamierza pan ją przecież podjąć jako kandydat na parlamentarzystę RP.

Od 20 lat mi to nie przeszkadzało i nie sądzę, by teraz mi to przeszkadzało. Czuję, że pan szuka jakiejś sensacji.

Nie jest to moim zamiarem. Chcę jedynie, by pan, jako przyszły polityk, skonfrontował się z materiałami operacyjnymi SB z lat 80.

Sensacji jest dużo, ale odgrzewane kotlety sprzed 20 lat nie są tematem.

Tusk jest niebezpieczny

Ich plan wielkiej grabieży Polski pozostaje aktualny. Jeśliby przejęli władzę, puściliby nas w skarpetkach. Raz, dwa wyprzedzą, co mamy, i po sprawie

*Michał Karnowski rozmawia z **Jackiem Sasinem**,
ministrem aktywów państwowych, politykiem Prawa i Sprawiedliwości*

Poznaliśmy już wszystkie cztery pytania referendalne. To w tej kampanii istotny polityczny zwrot?

Jacek Sasin: Zasadniczy. Kampania teraz startuje. Opozycja usłyszała: „Sprawdzam”. Przez ostatnie osiem lat opowiadała wszystkim, że jest „opozycją demokratyczną”, konstytucyjne prawa są dla niej świętością, a my jesteśmy rzekomo „reżimem”, który boi się głosu ludzi. Mają okazję udowodnić to swoje przywiązanie do demokracji. Pytamy przecież o sprawy najważniejsze, fundamentalne dla przyszłości Polski i życia Polaków.

Opozycja i jej media rzuciły się do udowadniania, że pytania uderzają w próżnię.

Jest odwrotnie. Pytania dotyczą konkretów i opisują kluczowe różnice pomiędzy oboma obozami politycznymi. Stosunek do majątku narodowego, dziś chronionego, za Tuska wyprzedawanego. Wiek emerytalny, wcześniej drastycznie podniesiony, za naszych rządów obniżony. Przymusowa relokacja migrantów, na którą rządy PO-PSL się zgodziły, której chcą, a którą my w 2015 r. w ostatniej chwili zatrzymaliśmy i dziś skutecznie odrzucamy. Zaporę chroniącą granicę wschodnią, którą my zbudowaliśmy,

a oni chcą to teraz rozbierać. Kampania opozycji miała być oparta na kwestiach ideologicznych i fałszywych wrzutkach działających na emocje. Nie daliśmy się wciągnąć w tę pułapkę. To będą wybory wokół spraw naprawdę ważnych dla Polaków, a więc bezpieczeństwa i gospodarki. Dlatego tak się miotają.

Szukają wyjścia. Donald Tusk postanowił referendum unieważnić. Da radę?

Martwię się o stan umysłu przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Poczucie własnej boskości, przypisywanie sobie nadzwyczajnych mocy to niedobre sygnały. Może uderzyło mu do głowy, że jednocześnie trzymają za niego kciuki

Aleksander Łukaszenka i Manfred Weber?

Będą próbowali namawiać Polaków do bojkotu referendum. Nie obawiacie się tego?

Kiedyś namawiali żołnierzy, by nie wykonywali poleceń ministra obrony narodowej. Był czas, gdy chcieli zablokować wybory prezydenckie. Polacy są dużo mądrzejsi, niż sądzą sztabowcy opozycji, i w zdecydowanej większości także tu dostrzegą, kto jest prawdziwym demokratą, a kto chce pozbawić ich głosu. Dla mnie jako ministra aktywów państwowych szczególnie istotne jest w tym referendum pytanie o wyprzedaż majątku narodowego. Wiem dokładnie, ile

skarbów narodowych poszło za ich rządów pod młotek. Widzę, że nie mogą się doczekać, by znowu zacząć tę zbrodniczą grabież dorobku polskich pokoleń.

Jaka była skala wyprzedazy majątku narodowego za Tuska?

Wszyscy wiemy, że niesłychana, szkodliwa i rabunkowa. Popatrzymy na liczby. Transakcji zbycia udziałów lub akcji skarbu państwa w okresie ośmiu lat rządów PO-PSL było ponad 1,2 tys. A to nie obejmuje aktywów zbytych niebezpośrednio przez skarbu państwa, ale

Martwię się o stan umysłu przewodniczącego PO. Przypisywanie sobie nadzwyczajnych mocy to niedobre sygnały. Może uderzyło mu do głowy, że jednocześnie trzymają za niego kciuki Łukaszenka i Weber?



Fot. Andrzej Wiktoria

przez jego spółki, jak PKP Energetyka czy Polskie Koleje Linowe, które zostały sprzedane przez PKP S.A.

Oni twierdzą, że państwo nie musi mieć fabryki cukierków.

Po pierwsze, państwowa fabryka cukierków jako część dużego holdingu spożywczego, który ma być elementem stabilizacji rynku, ma już sens. Po drugie, nie sprzedawali fabryk cukierków, ale perełki, takie jak PKP Energetyka, które zbyli tuż przed utratą władzy, rzutem na taśmę. My tę firmę, ważną też dla bezpieczeństwa państwa, niedawno odkupiliśmy. Pod młotek szły udziały

skarbu państwa w przedsiębiorstwach mniejszych, ale cennych, jak Zakłady Górniczo-Hutnicze „Bolesław” S.A. w Bukowni, Kopalnia Węgla Brunatnego „Konin” w Kleczewie S.A., Kieleckie Kopalnie Surowców Mineralnych S.A., Remag S.A. Wyzbywali się udziałów w spółkach strategicznych, takich jak PGE Polska Grupa Energetyczna S.A., Tauron Polska Energia S.A., Jastrzębska Spółka Węglowa, Powszechny Zakład Ubezpieczeń S.A., PKO BP. O planach sprzedaży Lotosu Rosjanom, które na szczęście nie doszły do skutku, nie wspomnę. A dziś to my słyszymy, że rzekomo oddaliśmy go w obce ręce, pod-

czas gdy w rzeczywistości już widać, że utworzenie koncernu multienergetycznego było dobrym ruchem i przynosi dobre efekty. Ponad 1,2 tys. transakcji zbycia akcji lub udziałów skarbu państwa, gdy w Ministerstwie Skarbu Państwa zasiadali nominaci rządu PO-PSL, opiewało na niecałe 60 mld zł.

To dużo?

W porównaniu z wartością majątku, wpływami z dywidendy, gdy firmy te są dobrze zarządzane, to były grosze. Sprzedaż szła także przez giełdę, gdzie za śmieszne pieniądze, jak alkoholik potrzebujący na zaspokojenie nalogu, wyprzedawali akcje KGHM, PKO BP, ENEA, PGE, Tauron. Wyzbyli się nawet Polskich Kolei Linowych! Za naszych rządów udało się je odkupić. Za śmieszną kwotę 8 mln zł oddali kapitałowi zagranicznemu prawa do utworów największych gwiazd polskiej estrady, które należały do Polskich Nagrań. To mało?

Jak alkoholik?

W tym nie było żadnego pomysłu, żadnej strategii, poza szybkim pozyskaniem gotówki, której też jakoś nie było, bo przecież ciągle słyszeliśmy, że „pieniędzy nie ma i nie będzie”. Nie było na pomoc dla polskich rodzin, na programy takie jak 500+ czy na 13. i 14. emeryturę, na nic nie było i praktycznie w nic nie inwestowali. Zamiast wziąć się za walkę z mafiami VAT-owskimi i paliwowymi, woleli kreować dziury budżetowe, a następnie pod tym pretekstem oddawać wszystko, czego Polacy jako społeczeństwo z takim trudem się dorobili. Część majątku udało się odzyskać – choćby w sektorze bankowym. Kolejne takie wyzwania przed nami.

Opozycja zderzona z tymi faktami chwytą się argumentu, że to rządy Zjednoczonej Prawicy „sprzedały Lotos”.

W świetle faktów jest jasne, że to czyste kłamstwo. W procesie budowy wielkiego koncernu multienergetycznego, który jest Polsce niezbędny, by można przeprowadzić konieczne gigantyczne inwestycje w system energetyczny, Komisja Europejska zażądała wymiany aktywów z podmiotami zagranicznymi.



Zostaliśmy w ten sposób zmuszeni, by oddać część stacji benzynowych w kraju, co szybko nadrobimy, pozyskując sieci stacji za granicą. Przed utworzeniem koncernu multienergetycznego udział skarbu państwa w Orlenie wynosił ok. 27 proc., istniało więc ryzyko przejścia spółki przez innych akcjonariuszy. Dziś w Orlenie połączonym z Lotosem udział skarbu państwa wynosi prawie 50 proc., co czyni polską własność dobrze zabezpieczoną. Nawet Najwyższa Izba Kontroli kierowana wówczas przez Krzysztofa Kwiatkowskiego potwierdziła przecież, że prywatyzacja za czasów PO-PSL była pełną patologią.

Gdyby przejęli władzę, robiliby to samo?

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że robiliby gorzej, w przekonaniu, że już nic nie może zostać w polskich rękach, by żaden PiS nigdy już nie mógł nas podnieść, by rząd w sytuacji kryzysowej nie mógł tworzyć żadnej tarczy. By nie mógł po wybuchu wojny sprowadzić węgla. O czym mówił dr Bogusław Grabowski, ekonomiczny guru Platformy?

Kampania opozycji miała być oparta na kwestiach ideologicznych. Nie daliśmy się wciągnąć w tę pułapkę. To będą wybory wokół spraw naprawdę ważnych dla wyborców. Dlatego tak się miotają

O wyprzedaży nie tylko firm, lecz i portów, dróg, kolei, lotnisk. Wszystkiego! W ich wizji mamy zostać państwem-wydmuszką, które zostanie pozbawione nawet infrastruktury. Nędzarzami Europy. Nie ma państwa bez własności państwowej, nie ma gospodarki bez polityki gospodarczej.

Według liberalistów kapitał nie ma narodowości, a prywatne jest zawsze lepsze niż państwowe.

Pierwsze jest całkowitym kłamstwem, drugie – nieprawdą. Polacy dosko-

nale już wiedzą, że ma ogromne znaczenie to, czy coś jest w rękach polskich, czy niemieckich albo rosyjskich. Nie ma wolności bez własności. Jesteśmy w momencie, w którym dalsza wyprzedaż byłaby dla naszego państwa, dla nas wszystkich, śmiertelnie niebezpieczna. Czyniłaby nas całkowicie bezbronniymi. Państwo straciłoby ważne narzędzia skutecznego działania. Atakują Orlen za zyski. Ale dziś są one wypracowywane w ogromnej części za granicą. W kraju benzynę mamy jedną z najtańszych w Europie. Dzięki dobremu zarządzaniu Orlen zamroził też ceny gazu dla gospodarstw domowych.

Ktoś czyha na ten polski majątek?

Dla mnie to jest oczywiste. Gdyby tak nie było, Tusk powiedziałby po prostu: „OK, też jestem przeciw wyprzedaży”. Nie może tego zrobić, bo takie zadanie dali mu mocodawcy. Nie przypadkiem niemiecka prasa pytanie referendalne o wyprzedaż majątku narodowego oceniła jako skierowane przeciw Tuskiemu i Berlinowi. Skąd im to przyszło do głowy?

No właśnie, skąd?

Powiem panu tak: wiedzą, że polski sektor państwowy jest dobrze zarządzany, że nasze firmy nie tylko dobrze sobie radzą w kraju, lecz również skutecznie konkurują w Europie. Orlen, budujący swoją sieć sprzedaży w Niemczech, przejmujący aktywa na Węgrzech, na Słowacji, w Czechach, nie jest im na rękę. Nie zdusili polskiej gospodarki, Polacy nie są już wyłącznie tanią siłą roboczą, a Polska pokazała ambicje i skuteczność na wielu polach, rośnie gospodarczo, politycznie i militarnie. To wszystko bardzo ich niepokoi. Zadanie Tuska jest proste: zatrzymać ten polski rozwój. Stąd otwarta już wrogość Berlina wobec naszych rządów, otwarte wezwania niemieckich polityków do obalenia tego rządu. Z troski o Polskę chcą nam posłuszny sobie rząd instalować? Nie sądzę. Każdy Polak powinien rozumieć ten niemiecki plan.

Oni odpowiadają: baju, baju, wy powasadzaliście koleś na stolki i nie chcecie tego stracić. Wożą po Polsce jakieś tekturowe „aleje pisowskich milionerów” i mówią: „Wstydzcie się”. Są powody do wstydu?

I to jest właśnie jedno z tych kłamstw Platformy, bo fakty są takie: menedżerowie wskazani przez nasze rządy zarabiają znacznie mniej, niż zarabiali ich poprzednicy za PO-PSL, a wyniki mają wielokrotnie lepsze. Gdy ktoś się

nie sprawdza, reagujemy zdecydowanie! Reszta to propaganda opozycji i kłamstwa. Powiem wprost: Tusk wrócił do kraju, by przejąć władzę i sprze-

Jak alkoholik potrzebujący na zaspokojenie nałogu, wyprzedawali akcje KGHM, PKO BP, ENEA, PGE, Tauron. Wyzbyli się nawet Polskich Kolei Linowych!

dać Niemcom to, co jeszcze pozostało w polskich rękach. Ta wielomiesięczna, zakłamana kampania o rzekomych „pisowskich tłustych kotach” jest przygotowaniem do tej operacji. Ludzie Tuska rozwijają tę kampanię, by zohydzić obywatelom polską własność i tym samym umożliwić potem kolejną fazę rabunku Polski.

Na pana też spadła lawina hejtu za to, że z prezesem Grupy Enea Pawłem Majewskim wręczył pan o. Tadeuszowi Rydzykowi miecz z czasów Mieszka I, który trafi do Muzeum „Pamięć i Tożsamość” im. św. Jana Pawła II w Toruniu. Był tam jakiś błąd?

Żadnego. Tam była tylko nienawiść do katolików. Na przestrzeni ostat-

nich 30 lat spółki z udziałem skarbu państwa przekazały polskim muzeom wiele niezwykle cennych eksponatów i były sponсорami dziesiątek wydarzeń ważnych dla kultury narodowej. Nikomu to nigdy nie przeszkadzało, bo to przecież część ich misji. A teraz nagle wściekła nagonka. Zestawmy to z pełnym uznaniem mlaskaniem, gdy u prezydenta Trzaskowskiego stawia się w teatrach pomniki żeńskich organów płciowych. Ale nie damy się zastraszyć, Polska jest wspólna, środowisko toruńskie ma takie same prawa jak każde inne. Jeśli zbudowano tam ważne muzeum, mamy prawo je wesprzeć.

Czy podobnie nie jest w przypadku Lasów Państwowych? Potężna operacja propagandowa mająca zdyskredytować polskich leśników, a jednocześnie przygotowania w Brukseli do „przejęcia kontroli” nad polskimi lasami. Dziwna zbieżność.

Dokładnie tak. Nie ma tu przypadków. Nie uważajmy naszych przeciwników politycznych za ludzi nieświadomych. Wiedzą, po co to robią, rozumieją, jaki mają cel do wypełnienia. Podkreślam: najpierw polską własność zohydzają, by potem pod byle pretekstem oddać ją za bezcen w ręce kapitału zagranicznego, co w naszej sytuacji oznacza kapitał niemiecki. Plan wielkiej grabieży Polski pozostaje aktualny. Jeśliby przejęli władzę, puściliby nas w skarpetkach.

GO W SPORCIE?

**OGLĄDAJ WE WTORKI O 12.35
W TELEWIZJI W POLSCE PL**

Sponsor programu



epiast.pl/zeol4n000

Raz, dwa wyprzedają, co mamy, i po sprawie. Donald Tusk jest politykiem niebezpiecznym dla każdej polskiej rodziny. Moim obowiązkiem jest przestrzec Polaków i prosić, by głosując w wyborach i referendum, pomogli nam to niebezpieczeństwo oddalić.

Jak dzisiaj, w drugiej połowie sierpnia, widzi pan minister szanse na uzyskanie reelekcji?

Tak jak powiedział Jarosław Kaczyński w tygodniku „Sieci”: „Czas dyskusji o kierunku naszej kampanii się skończył. Teraz czas na wdrażanie tego, co przyjęliśmy”. Wszyscy wiemy, że to będzie trudna batalia i będziemy musieli ciężko walczyć. Z pokorą prosimy Polaków o dalsze zaufanie, ale bezwzględnie będziemy zwalczać kłamstwa naszych przeciwników politycznych i pokazywać prawdziwą stawkę wyborów. Gdyby do władzy ponownie doszedł Tusk, zdemolowałby polskie bezpieczeństwo, a Polaków uczyniłby nędzarzami.

Media mu przychylne przekonują, że on się zmienił.

Doprawdy? Jeśli się zmienił, to na gorsze. Przyniósł jeszcze większą brutalność, jeszcze więcej chamstwa, hejtu, nienawiści i cynizmu. To on jest twórcą polityki nienawiści w Polsce, to on ją rozpoczął, nie mogąc się pogodzić z porażką w wyborach prezydenckich w 2005 r. Widziałem to z bliska.

Jak ocenia pan sondaże, poziom poparcia dla PiS?

Jest chyba bardzo dobrze, jeśli po ośmiu latach rządów, mimo pandemii i wojny, pozostajemy zdecydowanym liderem. Sądzę, że przy konsekwentnej realizacji założeń kampanii możemy liczyć na ponad 40 proc. głosów. Walczymy o samodzielną trzecią kadencję. Na naszą korzyść przemawia dorobek ośmiu lat: mimo kryzysów rozwijamy się dynamicznie; bezrobocie, tak potężna społeczna plaga za Tuska, jest jednym z najniższych w Europie; budujemy najsilniejszą armię lądową na Starym Kontynencie. Pozytywne efekty widać na każdym kroku.

Zna pan partię Prawo i Sprawiedliwość od podszewki, współtworzył pan ją. Jest mobilizacja?

Pełna. Choć oczywiście taką już polską cechą, że największa mobilizacja pojawia się w obliczu zagrożenia. Powrót Tuska – wszystko, co ten polityk ze sobą niesie – uzmysłowił ludziom PiS, ale – co najważniejsze – także naszym wyborcom, jaka jest stawka tych wyborów. Ewentualne rządy Tuska będą skrajnie niebezpieczne dla Polski i Polaków, dla każdej rodziny, każdej uczciwej firmy. Do kości obetną wszystko, co będą mogli, zdemontują, wyprzedadzą, zlikwidują. Dokręca śrubę, zlikwidują

Sądzę, że przy konsekwentnej realizacji założeń kampanii możemy liczyć na ponad 40 proc. głosów. Walczymy o samodzielną trzecią kadencję

programy prorodzinne, podniosą wiek emerytalny. Zgodzą się na zbudowanie scentralizowanego europejskiego państwa z faktyczną centralą w Berlinie, odsłonią nas przed zagrożeniem z Rosji. Znowu zatem musimy odpowiedzieć na pytanie: Czyja będzie Polska? W pytaniach referendalnych jest to zawarte precyzyjnie.

Czy rzeczywiście linia politycznego podziału jest tak ostra? Krytycy takich tez podnoszą, że są przecież Lewica, Hołownia, PSL, Konfederacja.

Może rzeczywiście Konfederacja jest trochę czymś innym, ale u pozostałych różnice są pozorne. Na poziomie tego pytania: „Czyja ma być Polska?”, zasadniczo odpowiadają tak samo jak Tusk. I ten jego plan, niestety, wesprą.

Konfederacja jest wam bliska?

Nie. Oni jedynie mówią, że są czymś innym niż partie III RP. Ale czy lepszym? Ich recepty nie są nawet liberalne, to libertarianizm. Okrutny społecznie Balcerowicz to przy ich propozycjach

pikuś. Te rozwiązania, gdyby ktoś je chciał w pełni wdrażać, cofnęłyby nas pod względem społecznym do XIX w. Największą cenę zapłaciliby emeryci i renciści oraz zwykli pracownicy. Zyskaliby może już i tak bogaci. To środowisko ma też niestety duży problem z jasnym opowiedzeniem się po stronie wolnego świata, wobec straszliwej agresji rosyjskiej na Ukrainę. Są antyunijni, a jednocześnie prorosyjscy. My myślimy i działamy inaczej: chcemy powrotu Unii Europejskiej do korzeni i zdecydowanie odrzucamy imperialne plany Moskwy. Wszystkich, którzy mają poglądy propolskie, a patrzą z takich czy innych powodów życzliwie na Konfederację, proszę, by się zastanowili, na co i na kogo naprawdę chcą oddać głos.

To się niełoży w koalicję?

Taka koalicja jest niemożliwa. Poglądy Prawa i Sprawiedliwości są skrajnie odmienne. Trudno znaleźć więcej niż trzy sprawy, w których byśmy się zgadzali. Taki sojusz byłby jakimś potworkiem. Dużo bardziej prawdopodobne jest zatem to, że głos na Konfederację oznacza głos na powrót Donalda Tuska do władzy. Zresztą otwarcie powiedział o tym ostatnio Przemysław Wipler.

Z zainteresowaniem obserwowałem test, jaki politycy Konfederacji przechodzili po pierwszych sondażach. Ciekaw byłem, czy pokażą pokorę czy pychę. I pokazali jednak pychę: marzenia nie tylko o udziale we władzy, lecz również wizje zastąpienia PiS w roli siły prawicowej.

Nikommu nie odbieramy prawa do marzeń, ale wiele wody w Wiśle jeszcze upłynie, zanim to się stanie. Także dlatego, że program Konfederacji jest skrajnie inny niż Prawa i Sprawiedliwości. Wiedza o tym zaczyna się przebiegać. Sytuacja jest jasna: kontynuacja tej linii wzmocnienia Polski, którą prowadzimy od ośmiu lat, popełniając jak każde zbiorowisko ludzkie błędy, ale z dobrą wolą i jednak skutecznie, jest możliwa tylko w przypadku naszego zwycięstwa pozwalającego na samodzielną utworzenie rządu. I przy wspólnym wysiłku, przy mobilizacji to jest naprawdę możliwe. 

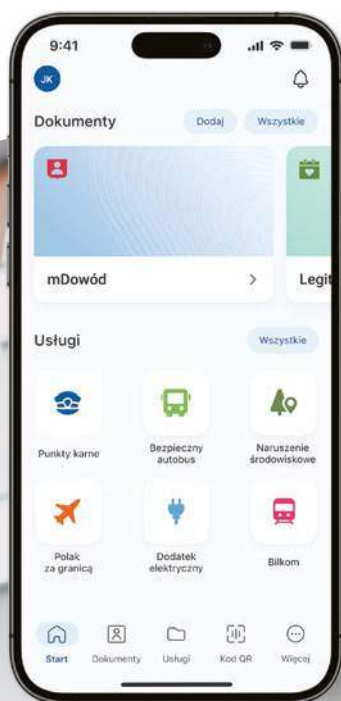


mObywatel 2.0

zrób to prościej

Najważniejsze dokumenty i usługi w jednej aplikacji

Nowoczesna aplikacja mObywatel 2.0 jest już dostępna do pobrania. Wśród innowacji, które ułatwią życie codzienne jej użytkownikom, są między innymi mDowód, Bezpieczny autobus czy Tymczasowe elektroniczne prawo jazdy. Właśnie dzięki tym usługom można w Polsce szybciej załatwić sprawy urzędowe, zadbać o bezpieczeństwo najbliższych czy wsiąść za kółko od razu po zdanym egzaminie. mObywatel 2.0 – oficjalny projekt Ministerstwa Cyfryzacji – to cyfrowa możliwość korzystania z usług administracji publicznej, która pozwala nie tylko zaoszczędzić czas, ale także zrobić to prościej.



mDowód

Zdarza Ci się zapomnieć dowodu osobistego? To już przeszłość! mDowód masz zawsze przy sobie – w swoim smartfonie. Możesz bezpiecznie wylegitymować się nim prawie w każdej sytuacji: w urzędach, w przychodni, na poczcie czy zawierając umowy. Od 14 lipca mDowód działa niemal jak tradycyjny dowód osobisty!



Bezpieczny autobus

Szybko i wygodnie sprawdzisz stan autokaru, którym Ty lub Twój bliscy wyruszą w podróż. Wystarczy, że w aplikacji wpiszesz numer rejestracyjny, a otrzymasz informacje o badaniach technicznych oraz polisie OC.



Tymczasowe elektroniczne prawo jazdy

Pozwala świeżo upieczonym kierowcom na jazdę samochodem bez czekania na plastikowy dokument. Wystarczy kilka kliknięć, aby go aktywować.



Aplikację mobilną mObywatel 2.0 pobierzesz bezpiecznie i bezpłatnie ze sklepu Google Play i App Store.





*Atak Donalda Tuska na referendum może zagrozić
pozycji lidera PO. Dlaczego? Bo stanie się ono plebiscytem
w sprawie jego dalszego istnienia w polityce*

Panika przed referendum



STANISŁAW JANECKI

Opozycja, a szczególnie Platforma Obywatelska i jej media, wpadły w panikę po zapowiedzi zorganizowania powszechnego referendum. A już połączenie referendum z wyborami parlamentarnymi 15 października 2023 r. spowodowało coś znamionującego rozstrój nerwowy i pokarmowy. Nic więc dziwnego, że po ujawnieniu referendalnych pytań panika zamieniła się we wściekłość. Pytania wywołują gorączkę i strach, gdyż dotyczą fundamentalnych kwestii bezpieczeństwa: materialnego, socjalnego, infrastrukturalnego, osobistego, militarnego. Oznaczają wybór między Polską bezpieczną a Polską permanentnie zagrożoną na wielu poziomach. A to zagrożenie nie pozwala Polakom ani czuć się bezpiecznie dziś, ani pla-

nować przyszłości własnej i swoich dzieci. Bez poczucia bezpieczeństwa wszystko inne jest wtórne i ma mniejsze znaczenie. Opozycja to pojęła, dlatego reaguje tak nerwowo. Donald Tusk, Platforma Obywatelska i reszta opozycji mają świadomość, że sprawa bezpieczeństwa jest fundamentalna i ten, kto je zagwarantuje może liczyć na poparcie, zaś ten kto bezpieczeństwu zagraża może liczyć tylko na odrzucenie.

Panika, wściekłość i rozstrój z powodu referendum sprawiają, że pomysł zorganizowania najbardziej demokratycznej formy uczestnictwa obywateli w życiu państwa i społeczeństwa jest traktowany jako największe zagrożenie dla demokracji, choć jest zagrożeniem wyłącznie dla opozycji i jej planów przejęcia władzy. Donald Tusk na referendum zareagował tak, że je „uroczyście unieważnił” (podczas posiedzenia Rady Krajowej PO 16 sierpnia 2023 r.). Ale zanim doszło do tego groteskowego przejawu cancel culture Tusk przekonywał, że referendum „nie ma żadnego znaczenia. Najważniejszym referendum są wybory”.

Nawet dyspozycyjne wobec Tuska i PO media uznały, że Tusk popełnia „fundamentalny błąd”. Ale lawina ruszyła, więc politycy opozycji i jej media próbują za wszelką cenę referendum zdyskredytować, ośmieszyć i do niego zniechęcić, a wręcz wmówić, że udział w nim jest niemal zbrodnią. A wszystko to wywołały cztery proste pytania, choć skomponowane w zestaw o bardzo dużym, by nie powiedzieć piorunującym znaczeniu:

1. Czy popierasz wyprzedaż majątku państwowego podmiotom zagranicznym, prowadzącą do utraty kontroli Polek i Polaków nad strategicznymi sektorami gospodarki?
2. Czy popierasz podniesienie wieku emerytalnego, w tym przywrócenie podwyższonego do 67 lat wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn?
3. Czy popierasz likwidację bariery na granicy Rzeczypospolitej Polskiej z Republiką Białorusi?
4. Czy popierasz przyjęcie tysięcy nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki, zgodnie z przymusowym mechanizmem relokacji narzucanym przez biurokrację europejską?

ZŁE I DOBRE REFERENDUM

„Ponieważ przez płot Błaszczaka przedostaje się do Polski codziennie rekordowo dużo migrantów, właściwe pytanie powinno brzmieć: Czy jesteś za budową prawdziwej bariery na granicy z Białorusią?” – w swoim stylu pytał Donald Tusk. Zanim zbudowano na wschodniej granicy zaporę, a nie żaden „płot Błaszczaka”, Tusk kpił, że taka instalacja nigdy nie powstanie, a gdyby nawet, to najlepiej, żeby podłączono ją do prądu. Były premier wykazał się absolutną ignorancją, bo w pełni szczelne nie są zapory w hiszpańskich enklawach w Maroku – Ceucie i Melilli, dużo potężniejsze od tej na polsko-białoruskiej granicy (rekord padł w 2019 r., gdy te mury przekroczyło 7,9 tys. osób). Nie jest całkiem szczelna zaporą na granicy USA i Meksyku (konstrukcja ograniczyła nielegalną migrację o 20-30 proc., ale jej nie zatrzymała). Nie jest szczelna potężna fortyfikacja zbudowana przez Izrael na granicy ze Strefą Gazy i innymi terenami zamieszkałymi przez

Palestyńczyków, choć betonowe płyty zagłębiają się na kilka metrów w ziemię (żeby uniemożliwić podkopy). Czyżby „prawdziwa bariera” Tuska miała być nie tylko podłączona do prądu, ale też zaopatrzona w automaty samostrzelające, jak Mur Berliński na odcinkach poza miejską zabudową?

Tusk chciał wykipić czwarte pytanie referendalne, a zakpił z samego siebie. Inni politycy opozycji dyskredytują sam pomysł referendum. Były prezydent Bronisław Komorowski (w rozmowie z Polsat News) stwierdził: „Na pewno nie pójdę, bo uważam, że to jest poniżej serio traktowania obywateli. To jest traktowanie obywateli jak idiotów, no bo nikt nie mówi o likwidacji tego płotu Kaczyńskiego na granicy z Białorusią, no więc dlaczego państwo polskie zadaje takie pytanie. No chyba, że sam rząd ma zamiar zlikwidować tę barierę i pyta obywateli o zgodę”. Ten „nikt” to ogromna część opozycji, która nie chciała, żeby zaporą powstała (121 posłów Koalicji Obywatelskiej głosowało przeciw, podobnie jak 46 po-

słów Lewicy oraz sześciu posłów Polski 2050). Ten „nikt” rozebrałby zaporę równie ochoczo jak eurodeputowana Janina Ochojska, tylko ma świadomość, że robienie tego w czasie wojny mogłoby być ryzykowne dla chętnych do takiej rozbiórki, ale to tylko chwilowa taktyka.

Bronisław Komorowski nie był „poniżej serio traktowania obywateli”, gdy 11 maja 2015 r. ogłosił zamiar przeprowadzenia ogólnopolskiego referendum, w którym Polacy mieli odpowiedzieć na trzy pytania: czy opowiadają się za wprowadzeniem jednomandatowych okręgów wyborczych; za likwidacją finansowania partii politycznych z budżetu państwa; za wprowadzeniem zasady rozstrzygania wątpliwości podatkowych na korzyść podatnika”. Wówczas „chodziło o to, aby to obywatele rozstrzygnęli parę istotnych kwestii”. Obecnie Komorowski jest przeciw, ale pewnie dlatego, że „jego” referendum (przeprowadzone 6 września 2015 r.) przeszło do historii: frekwencja 7,8 proc. była najniższa w dziejach



Prezes Trybunału Konstytucyjnego

**JULII
PRZYŁĘBSKIEJ**

I NAJBLIŻSZYM

wyrazy współczucia z powodu śmierci

OJCA

*składają sędziowie
Trybunału Konstytucyjnego*



*Z żalem i smutkiem przyjęliśmy
wiadomość o śmierci*

OJCA

Prezes Trybunału Konstytucyjnego

**JULII
PRZYŁĘBSKIEJ**

Wyrazy głębokiego współczucia

*składają pracownicy
Trybunału Konstytucyjnego*

Polski i Europy po 1945 r. Dlatego „raczej by obśmiać to wszystko i spróbować sprowadzić do absurdu”.

BOLESNE PYTANIA

„Ten pomysł [referendum] wydaje mi się wyrazem nie tylko pogardy dla wszystkich obywateli Polski, ale także wyrazem jakiegoś złego mniemania PiS o własnym elektoracie” – mówił w „Faktach po Faktach” prof. Aleksander Hall, minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Podobno „pytania są absurdalne i obrażają naszą inteligencję”. Zapewne nie obrażałyby te, które dotyczyłyby „zaskazu działania Prawa i Sprawiedliwości” albo „ustanawiały dożywotnie rządy Donalda Tuska”. Prof. Ireneusz Krzemiński, socjolog z UW, uznał, że referendum „to jest kolejny trik, który powoduje, że te wybory stają się nie do końca równe i wolne”. A „pytania nie mają niczego rozstrzygać, to są pytania czysto propagandowe, sugerujące”. Problemem jest to, że pytania są jak najbardziej rozstrzygające, tylko prof. Krzemiński obawia się, iż rozstrzygnięcie będzie niesłuszne.

Wojciech Hermeliński, były przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej i sędzia w stanie spoczynku Trybunału Konstytucyjnego, zadeklarował, że „nie pobierze karty referendalnej”, a nawet doradzał jej „przedarcie”. Problemem jest jednak artykuł 248 Kodeksu karnego, w którym przewiduje się karę trzech lat pozbawienia wolności za „niszczenie, uszkadzanie, ukrywanie, przerabianie lub podrabianie protokołów lub innych dokumentów wyborczych albo referendalnych”. Podobno „pytania są tak porażające, jest taki poziom, że [Hermeliński] wstydziłby się głosować w ramach tego referendum”. I w ogóle nie jest to referendum, tylko „rodzaj plebiscytu: czy wolisz być bogaty i młody, czy stary i biedny”. Oczywiście w żadnym pytaniu nie ma podobnego wyboru, ale chodzi tylko o to, żeby twierdzić, iż „treść tych pytań jest porażająca i to byłoby śmieszne, gdyby nie to, że to jest tak sprytnie przedstawione”. Po prostu sędzia Hermeliński przeraził się spodziewanego wyboru

Polaków oraz konsekwencji tego, że referendum mogłoby być wiążące. Sędzia Hermeliński mógł też zrozumieć to, o czym mówi europoseł Suwerennej Polski Patryk Jaki: „Tusk chciał mieć referendum na temat PiS-u? Bo on chciał to wszystko sprowadzić do PiS-u, do ośmiu gwiazdek itd., to będzie miał teraz referendum na temat siebie samego”.

Pułapkę, jaką na samego siebie zastawił Donald Tusk zauważyła też Agnieszka Kublik z „Gazety Wyborczej”: „Celem referendum ma być Tusk, czyli ugruntowanie »nienawiści« do niego za to, że »Niemcy chcą go osadzić w Polsce w imię interesów brukselskich elit«”. Nienawiść do wzorowego Europejczyka? Za to, że jest częścią „brukselskich elit”? A może jednak Niemcy

Biedronia: „Szach mat, premierze Morawiecki. Sens referendum Kaczyńskiego przysł”. A przysł dlatego, że Ylva Johansson, komisarz ds. wewnętrznych UE, zapewniła Biedronia, iż „Polska miała prawo być zwolniona z przymusowej relokacji. Ten mechanizm jest dobrowolny”. Skoro „do Polski napłynęło ok. miliona uchodźców z Ukrainy, nasz rząd może złożyć wniosek o zwolnienie z przymusowej relokacji i prawdopodobnie ten wniosek zostanie rozpatrzony pozytywnie”. Sam Biedroń sobie zaprzecza, gdyż coś, co jest tylko prawdopodobne, nie ma żadnego znaczenia jako zasada. Jeśli przywilej nie jest gwarantowany automatycznym mechanizmem, niepodlegającym interpretacji i niezależnym od woli urzędników, nie ma żadnej wartości.

Choć Platforma Obywatelska na razie nie opowiedziała się oficjalnie za bojkotem referendum, robi wszystko, żeby je dyskredytować. Na razie głównie głosami „swoich” mediów

SAM TEGO CHCIAŁŚ, GRZEGORZU DYNDALO

Wedle medialnych grupiejs PO i Tuska w referendum ma chodzić o „zablokowanie pracy komisji wyborczych za granicą – jeśli komisje nie policzą głosów w ciągu 24 godzin, to głosowanie uznaje się za niebyłe”. Zwykle za granicą głosuje do 300 tys. osób, więc problem jest kompletnie wydumany. Zabawny jest natomiast argument polityków PO, że PiS drży ze strachu przed Tuskiem, bo tylko on jest w stanie doprowadzić do wyborczego zwycięstwa opozycji i wysadzić w powietrze ideę referendum. Już we wrześniu 2010 r. Andrzej Halicki obwieścił światu, że „Tusk jest Mojżeszem, który przeprowadza nasz lud przez Morze Czerwone”, więc co to dla niego wygranie wyborów i pogniębienie referendum. Ale w ten sposób to sami politycy PO, ich intelektualiści oraz medialni robotnicy stawiają Donalda Tuska w centrum całej polskiej polityki, co jest bardzo wygodne dla rządzących. Tym bardziej, że wszystkie problemy, których dotyczą referendalne pytania można łatwo połączyć z Tuskiem i wyborcy zapewne będą tak robić. Dlatego Tusk faktycznie stanie się przedmiotem referendum, nawet wbrew intencjom jego apologetów i obrońców. Ale sam tego chciałś, Grzegorzu Dymdało.

KRYNICA FORUM 2023

13-15 września



em
po
wer
ing THE
REGION

Najważniejsza konferencja tej jesieni – zapraszamy do Krynicy-Zdroju

- Debata głów państw CEE – gości Prezydenta RP Andrzeja Dudy
- Forum Koreańsko-Polskie z udziałem premiera Korei i licznej delegacji z Seulu
- Energetyka jądrowa, zbrojenia, bezpieczeństwo strategiczne
- Dyskusje przedsiębiorców i polityków o odbudowie Ukrainy
- + 100 paneli z liderami polityki, gospodarki i nauki
- więcej na www.krynicaforum.pl

 MAŁOPOLSKA



Sami swoi

*Gdyby przyjrzeć się bliżej temu aliansowi,
to on po prostu musiał się wydarzyć, bo obu panów
łączy naprawdę wiele*



MARCIN WIKŁO

Po co jest potrzebny Michał Kołodziejczak Donaldowi Tuskowi? Najbliżej prawdy są chyba ci, którzy twierdzą, że szef PO historycznie szukał sposobu na odwrócenie uwagi od

referendalnych pytań, którymi sztab PiS trafił go bardzo celnie, przechodząc do kampanijnej ofensywy.

PRZECIW PIS

Lider Agro Unii nawet pośród przedziwnej menażerii skupionej na listach Koalicji Obywatelskiej to zjawisko najdziwniejsze z dziwnych. Irytuje, denerwuje i budzi skrajne emocje, czasem jego porywczność może nawet się podobać. Donald Tusk

zapytany o finalne ustalenia z Michałem Kołodziejczakiem wypalił krótko: „Nie było żadnych negocjacji”. To prawda, bo nie było na to czasu. Decyzja zapadła w ostatnim momencie.

Na listach KO, które wyciekły na kilka godzin przed oficjalną prezentacją, pierwsze miejsce w okręgu 37, jest jeszcze puste. Do 2019 r. miał je praktycznie zagwarantowane Tomasz Nowak, polityk niezbyt przebojowy, ale od lat wierny partii, z okręgu konińskiego wybierany na posła od pięciu kadencji. W tym roku dostał „dwójkę” i możliwość sfotografowania się z Tuskiem, by zapewnić wyborców, że nie żywi urazy: „Drżycie w PiS-ie. Koalicja Obywatelska idzie po zwycięstwo (również na wsi)”. To wyraźna aluzja do nowego lidera listy, na rzecz którego poseł musiał się posunąć.

Już podczas prezentacji Tusk i Kołodziejczak odkryli karty. Ogłosili wprost, że połączył ich wspólny wróg. Były premier tłumaczył, że pójście razem jest konieczne, bo by „przywrócić wartości w Polsce, trzeba odsunąć PiS od władzy”. Lider Agro Unii potwierdził: „Ten projekt jest niesablonowy. Zrobię wszystko, by był wiarygodny. [...] To jest stan wyższej konieczności. Zrobimy wszystko, by odbić wieś PiS-owi. I nie tylko wieś”.

Ten bezwstydnym manewr będzie kiedyś ujęty w politycznych annałach. Kilka miesięcy temu Kołodziejczak romansował jeszcze z pozostałościami Porozumienia, partii niedawno współtworzącej Zjednoczoną Prawicę. W Radiu Zet mówił: „Tusk cofnął Polaków o kilka wieków, bo zrobił z nas kraj koczowniczy, a ludzie musieli wyjeżdżać z Polski do Wielkiej Brytanii czy Irlandii”. Okazało się, że ta pigułka nie jest dla Tuska nie do przelknięcia. Jak również to, że w międzyczasie Agro Unia była jeszcze w związku z Trzecią Drogą, ale ostatecznie Szymon Hołownia, niczym zazdrosna narzeczoną, kazał Władysławowi Kosinowski-Kamyszowi wybierać: on albo ja.

Dzisiaj Michał Kołodziejczak znalazł kogoś, kto dał mu to, o czym marzył: wysokie miejsce na liście do Sejmu i wizję kariery w dużej polityce. Nie jest więc zaskoczeniem, że młody (34 lata) kandydat na posła będzie groźnie obszczekiwał wszystkich rywali Tuska. Dostaje się więc PSL-owi, który odmówił stworzenia jednej listy opozycyjnej: „Mówiłem PSL-owi, byśmy stworzyli wspólny duży ruch ludowy. Usłyszałem, że »nie«, bo jak wygra PiS, to będą

chcieli wspólnie rządzić". Ale najmocniej atakowane jest Prawo i Sprawiedliwość, i to już oczywista wyborcza retoryka Koalicji Obywatelskiej. „Ktoś mówi, że z Tuskiem? To co, z Kaczyńskim, który pół miliona złotych wydał na Pegasus? Z Kaczyńskim, który wykorzystuje policję do gnębienia mojej rodziny?” – rzuca dziennikarzom Kołodziejczak, obiecując, że w kampanii opowieść rozwinie.

POCZĄTEK W... PiS

Ta historia ma posmak romansu dla ubogich. Na pierwszy rzut oka widać pragnienie zemsty na politycznym partnerze, który kiedyś wzgardził względami adoratora. To kolejny element, który łączy Tuska i Kołodziejczaka. Lider Platformy wciąż nie wyżył się żalu po PO-PiS-ie, który nie powstał w zasadzie z jego winy i po przegranych wyborach prezydenckich z Lechem Kaczyńskim. Kołodziejczak w 2014 r. został radnym swojej gminy Blaszk (woj. łódzkie), wybrano go z listy... PiS. Z partii go w końcu jednak usunięto, a powodem były organizowane przez niego protesty. Nie dało mu się wytłumaczyć, że przemawianie ze świnią w rękach widzów po prostu odrzuca.

Już wtedy poczuł, że miejsce ludowego trybuna zwolnione po śmierci Andrzeja Leppera jest dla niego idealne. Trzeba było tylko trochę podkręcić przekaz, ale z tym Kołodziejczak poradził sobie znakomicie. Rok 2018 to czas organizowania niezadowolonych rolników. Kołodziejczak zakłada Unię Warzywno-Ziemniaczaną, która wśród celów ma wpisaną zmianę na stanowisku ministra rolnictwa, piastuje je wówczas Krzysztof Jurgiel. Gdy w końcu traci resort, rolnik awanturnik dwoi się i troi, by dowiedzieć, że decyzja została podjęta za sprawą jego protestów. UWZ szybko zyskiwała sympatyków w internecie, tylko niektórzy zauważali, że więcej energii niż w same demonstracje ich uczestnicy wkładali w nagrywanie filmików i publikowanie ich w mediach społecznościowych. Furorę zrobiła akcja wysypania tony ziemniaków przed politykami, którzy przyjechali do Sieradza na wyjazdowe posiedzenie sejmowej komisji rolnictwa.

Agro Unia, którą Kołodziejczak kieruje do dzisiaj, powstała niedługo później, la-

tem 2018 r. Gdy w grudniu 2020 r. związek protestował przeciwko „piątce dla zwierząt”, pod domem Jarosława Kaczyńskiego wyrzucono m.in. jajka, warzywa oraz martwą świnię. Relacja z zadymy w Warszawie znalazła się oczywiście na Facebooku, osiągając zawrotny zasięg.

Jak na spontaniczny chłopski ruch Agro Unia jest wyjątkowo dobrze opakowana PR-owo. Flagi, transparenty, namioty z logo związku. I sami uczestnicy, zawsze filmujący swoje dokonania najnowszymi modelami smartfonów. Dzisiaj profil Agro Unii obserwuje ponad 570 tys. użytkowników.

ZA ROSJĄ

Już w 2018 r. wśród celów założonej wówczas przez Michała Kołodziejczaka organizacji znalazła się „konieczność przywrócenia relacji z Rosją”. To także element

Ta historia ma posmak romansu dla ubogich. Na pierwszy rzut oka widać pragnienie zemsty na politycznym partnerze, który kiedyś wzgardził względami adoratora. To kolejny element, który łączy Tuska i Kołodziejczaka

łączący tego polityka z Tuskiem, który rządząc Polską, chciał „dialogu z Rosją taką, jaka ona jest”. Choćby dzisiaj prześcigali się w deklaracjach, jak bardzo wspierają napadniętą Ukrainę, to obaj parli do współpracy z Moskwą na przekór płynącym z całego świata sygnałom, że z mordcami nie należy robić interesów. Tusk przez lata ignorował przestrogi prezydenta Lecha Kaczyńskiego, paktował z Kremlm również po napadzie na Gruzję i po aneksji ukraińskiego Krymu.

Kołodziejczak jeszcze niedawno szokował ostrymi wystąpieniami, w których wypierał fakt bestialsko prowadzonej agresji na Ukrainę. Było dołożyć PiS-owi: „Pokłócili się z Rosją, w imię jakiejś idei

chorej ukraińskiej czy jeszcze innej. A my za to płacimy, bo Rosja nałożyła embargo na Polskę. I moje gospodarstwo, gospodarstwo mojego ojca utrzymywało się w stu procentach ze sprzedaży do Rosji”.

Warto się zastanowić w tym miejscu, czy to tylko wściekłość rolnika, któremu podupada interes, czy coś więcej. Business Insider przyjrzał się majątkowi Kołodziejczaka i jego rodziny. „Jak kupię te trzy hektary, na które ostatnio odkładałem, to będę miał 20. Mój brat ma jeszcze kilkadziesiąt hektarów i mój ojciec też kilkadziesiąt. Prowadzimy to we trzech” – mówił rolnik miesiąc temu. Uprawiają ziemniaki i kapustę pekińską. Cena hektara gołej ziemi w województwie łódzkim to dzisiaj ok. 50 tys. zł.

Michał Kołodziejczak mieszka w – jak mówi – „skromnym domu wielorodzinnym na wsi” i jeździ lexusem z 2018 r. wartym ok. 150 tys. zł. I to jak jeździł! Na początku czerwca został zatrzymany przez policję w powiecie kolskim za przekroczenie prędkości w terenie zabudowanym. Jechał 102 km/h w miejscu, gdzie obowiązuje ograniczenie do 50 km/h. W tej kwestii także powinien znaleźć się porozumienia z Donaldem Tuskiem, któremu dwa lata temu również zatrzymano czasowo prawo jazdy za identyczne wykroczenie. Lider PO pędził koło Mławy 107 km/h.

Dr Bartosz Rydliński w rozmowie z portalem wPolityce.pl zauważa, że nie wszyscy wyborcy PO mogą zrozumieć taką próbę wyjścia Donalda Tuska poza tradycyjną bazę wyborczą. „To wszystko może bardziej zdemotywować wyborców, aniżeli zmotywować do pójścia do urn wyborczych” – mówi politolog. I to już się dzieje. Mariusz Borowiak, rolnik i przedsiębiorca z powiatu sieradzkiego, demonstracyjnie spalił swoją kurtkę Agro Unii: „Michał Kołodziejczak [...] pokazał, że dla niego ważniejsze jest zdobycie mandatu aniżeli walka o polskiego rolnika. Chciał odsunąć tych ludzi od władzy, teraz razem z nimi do koryta prze”.

Jeśli to ma być wejście Platformy w obcy sobie elektorat wiejski, nie wypada ono imponując. Ludzie, którzy na co dzień ciężko pracują, od razu wyczują karierowicza, który bez skrupułów zostawi wspólny cel dla własnego interesu. I to kolejna rzecz, która łączy Donalda Tuska z Michałem Kołodziejczakiem.

Pajęczyna Giertycha nie wystarczyła



JAKUB AUGUSTYN
MACIEJEWSKI

Aspiracje i polityczne nadzieje Romana Giertycha były uzasadnione. Od ponad 10 lat ten warszawski adwokat wyrzekł się swoich wcześniejszych wartości, atakował dawnych sprzymierzeńców i fanatycznie popierał obóz III RP, a jednak odmówiono mu kandydowania w ramach Paktu Senackiego. Co oznacza ten cios w mecenasa?

W panteonie liberałów polskich Roman Giertych zajmuje jedno z najważniejszych miejsc. Wielu sojuszników Jarosława Kaczyńskiego uległo presji mainstreamu i przeszło do obozu Donalda Tuska, ale nikt nie porzucił swoich korzeni tak jednoznacznie. Przypomnijmy, że założyciel Ligi Polskich Rodzin prezentował się jako polityczny spadkobierca Romana Dmowskiego. I faktycznie, jego dziadek Jędrzej był wybitnym działaczem Narodowej Demokracji, więzionym podczas niemieckiej okupacji, płodnym intelektualnie na emigracji.

Jego wnuk Roman też chciał iść tą drogą, choć jego publicystyczne początki okazały się nie tylko mizerne, lecz także wstydliwie chwane przez samego autora. W 1994 r. młody Giertych wydał „Kontrewolucję młodych”, w której zapowiadał odrodzenie narodu wraz z odtworzeniem struktur przedwojennych narodowców (np. Młodzież Wszechpolskiej). Dziś jest od tych pozycji bardzo odległy, ale do współczesnej debaty publicznej przenikają czasem jego prorosyjskie poglądy. W pracy sprzed trzech dekad czytamy bowiem: „Łatwiej uda się odzyskać suwerenność ruchowi politycznemu, który będzie reprezentował opcję polityki zagranicznej prowadzonej w oparciu o partnerski sojusz z Rosją”. Tu nie chodziło o porozumienia handlowe czy kulturalne, ale o konkretny sojusz: „Sojusz rosyjsko-polski ma tę ogromną zaletę, że byłby korzystny dla obydwu stron”. Giertych

chciał, by Polska była rzecznikiem Moskwy na Zachodzie – właściwie do tej roli sprowadzał nasz kraj Donald Tusk, gdy przejął władzę w 2007 r.

Giertych broni się jednak tym, że broszura została napisana przez niego, gdy miał ledwie 23 lata, że był młody, to było dawno i od tego czasu zmienił poglądy. Jest w tym dużo prawdy. Znana jest nawet data porzucenia przez lidera LPR dorobku Romana Dmowskiego i Jędrzeja Giertycha, ale o tym za chwilę.

Lewica wypomina byłemu narodowcowi również stosunek do kobiet i takie oto jego opinie: „Państwo powinno dołożyć wszelkich starań, ażeby przywrócić zdrowy model rodziny oparty o dwa zasadnicze filary: kobietę w domu i większą niż dwoje liczbę dzieci. Ktoś pomyśli, że brzmi to staroświecko, ale to właśnie ten ktoś będzie zacofany i nieuznający najnowocześniejszych badań nad psychologią człowieka”.

GIERTYCH U WŁADZY

Gdy LPR dostała się do Sejmu w 2001 r., Giertych nie zrezygnował z endeckiej narracji o masonskich spiskach, zgniłym Zachodzie i „kontrewolucji młodych”.

Siła jego ruchu została wzmocniona przez państwowe dotacje i to na tamtej fali Młodzież Wszechpolska stała się faktycznie ruchem ogólnokrajowym, ze swoimi szkoleniami, obozami i wydawnictwami. Warto o tym pamiętać, patrząc na Krzysztofa Bosaka, który był asystentem europosła Macieja Giertycha, ojca Romana. Wszędzie bowiem, gdzie pojawiał się mecenas, pozostawiał swoje nieformalne wpływy, dzięki którym funkcjonuje także dzisiaj.

Znane są dzieje skróconej kadencji Sejmu lat 2005–2007 i obecności LPR oraz Giertycha w koalicyjnym rządzie Jarosława Kaczyńskiego. Jeden z byłych współpracowników lidera LPR mówi dziś tygodnikowi „Sieci”: – To był dobry minister edukacji, ale zły wicepremier.

Często wspomina się wprowadzenie mundurków w szkołach, ale reforma ówczesnego ministra szła przecież dużo dalej, np. próbowała wyprowadzić z języka polskiego Gombrowicza, a wprowadzić Dobraczyńskiego. Ten ostatni był zresztą przyjacielem Macieja Giertycha – znowu więc polityk szedł drogą prywatnych powiązań podbudowanych prorosyjskim poglądem (Dobraczyński był w PRL PAX-owskim katolikiem). – On realizował nasz program w szkołach, ale jako wiceszef rządu robił dziwne rzeczy – rozmówca z dawnej LPR ma na myśli nie tylko rozłamy w rządzie i relacje z podejrzanym o przecieki z CBA Januszem Kaczmarskiem, lecz również „ciągnięcie za sobą dziwnych ludzi”.

Jednym z nich był Jan Piński, wsadzony przez Giertycha do TVP. Dziś redaktor Piński prowadzi pełen dezinformacji antypisowski portal wiesci24.pl oraz pismo „Służby Specjalne” – broniące dawnych oficerów tajnych służb, którzy nie przetrwali w swoich karierach pierwszych ani drugich rządów Prawa i Sprawiedliwości. O Pińskim warto pamiętać, bo to autor różnych teorii spiskowych na temat PiS i wielki zwolennik Romana Giertycha. Zatem mecenas dorzucił kolejnego człowieka do swojej pajęczyny zależności i kontaktów.

Gdy Giertych był wicepremierem, jego przekonanie o poczuciu misji rozpoczętej przez Romana Dmowskiego miało sięgać zenitu. – On się czuł wodzem – wspomina jego dawny współpracownik. I opowiada o obozach Młodzieży Wszechpolskiej, gdzie Giertych wykladał historiozofię oraz obiecywał wyborcze zwycięstwa. Stało się inaczej. Uznawany w mediach za „przystawkę PiS” LPR został „zjedzony” przez Jarosława Kaczyńskiego. W 2007 r. partia i jej lider nie dostali się do Sejmu. Giertych postanowił więc na dobre rozkręcić działalność swojej kancelarii adwokackiej.

HEROS OPOZYCJI

We wrześniu 2012 r. w „Gazecie Wyborczej” ukazuje się wielki wywiad z dawnym liderem LPR, zatytułowany „Spowiedź Giertycha”. Polityk wyrzeka się w nim sprzeciwu wobec agendy LGBT+, krytyki okrągłego stołu, a nawet Romana Dmowskiego. Przyznaje też, że jeszcze w czasie koalicji z PiS spotykał się sekretnie z Donaldem Tuskiem. Później okaże się, że w tym samym czasie nawiązał przyjaźń z Radosławem Sikorskim. Od czasu tamtego wywiadu Giertych staje się oficjalnym zwolennikiem obozu liberalnego w Polsce i setką

różnych aktywności wspiera Platformę Obywatelską, marząc o stworzeniu na prawo od niej jakiejś partyjnej przybudówki. W tym czasie angażuje się w sprawy prawne, reprezentując m.in. w sporze z „Faktem” Michała Tuska. Nawiązuje też życzliwe relacje z Wojciechem Czuchońskim z „Gazety Wyborczej”. Pajęczyna mecenasa rozrasta się i obejmuje coraz bardziej wpływowe i dobrze poinformowane osoby w państwie.

Gdy do władzy dochodzi PiS, Giertych występuje jako ekspert od partii rządzącej, jego teksty są radykalne, straszy autorytaryzmem i wpisuje się w najbardziej betonowe środowiska popierające PO. Zachowuje przy tym pewien konserwatywny sznyt, choć nie wiemy, na ile jest to szczere, a na ile efektem kalkulacji. Dwóch krewnych – brat i stryj – są szanowanymi duchownymi o nieformalnych wpływach: jeden w Rzymie, drugi w Opus Dei, do którego należą też inni konserwatywni politycy w Polsce.

Warto wiedzieć, że ta pajęczyna rozpięta jest w różne strony.

Gorliwym obrońcą mecenasa pozostaje Wojciech Czuchoński, który bronił go we wszystkich sprawach i kolportował jego wersje wydarzeń: na temat ujawnienia nagrań o tym, jak Giertych chce odkupić prawa do niewydanej wówczas biografii Jana Kulczyka (kolejny w pajęczynie?), na temat rzekomego podsłuchiwania przez Pegasusa z powodów politycznych czy w sprawie spółki deweloperskiej Polnord. To ostatnie to znana, gruba afera, skoro w 2020 r. CBA zatrzymało Giertycha, który spektakularnie wówczas zemdlął. Dzięki temu – dziś mieszkając

prawdopodobnie we Włoszech – utrzymuje, że nie dostał żadnych zarzutów, gdyż w jego stanie zdrowia nie mógł świadomie ich przyjąć. Prokuratorzy postawili mu poważne oskarżenia dotyczące malwersacji i wyłudzeń z lat 2010–2014 w spółce deweloperskiej Polnord.

W tej sytuacji kłopotliwe stało się dla Tuska wzięcie Giertycha na listy wyborcze do Sejmu czy zezwolenie na kandydowanie do Senatu w ramach opozycyjnego paktu – scena z zatrzymaniem mecenasa przez CBA zdominowałaby część kampanii, obciążając całą opozycję. Przeciwno kandydowaniu prawnika ostro występowała Lewica, a Anna Maria Żukowska wdała się z Giertychem w wiele utarczek słownych. Mecnas teraz się zastanawia, czy powalczyć o mandat senatora samodzielnie.

NIEDOSZŁY NASTĘPCA DMOWSKIEGO

Kolejna próba zrealizowania marzenia stanięcia po prawicy Tuska Giertychowi się nie udało. W niczym to nie uszczupla jego przez lata budowanej sieci kontaktów. Były lider LPR jeszcze będzie nam w polityce towarzyszył, bo gigantyczne ambicje nie pozwolą mu zniknąć z debaty publicznej. 

Fałszywe tony nieznośnego moralisty

Mariana Turskiego wykreowano na moralny autorytet i chodzący wyrzut sumienia. „Oskarżam tych, co sięją nienawiść” – powtarza co rusz, stając się nieznośnym moralistą. Ale ponad dekadę swej służby dla stalinowskiego aparatu władzy kwituje mętными wywodami o dziejowych koniecznościach i takich, a nie innych kolejach losu. Coś tu nie gra



MACIEJ WALASZCZYK

Auschwitz skradał się krok za krokiem, od małych zarządzeń dyskryminacyjnych aż po masowe ludobójstwo. Nie bądźcie obojętni, kiedy jakkolwiek mniejszość jest dyskryminowana. Tych, których sięją nienawiść – oskarżam” – mówił Marian Turski podczas obchodów 80. rocznicy powstania w getcie warszawskim. Podobne przemówienia wygłosił w ostatnich latach kilkakrotnie, m.in. na ubiegłorocznym Campusie Polska Przyszłości. Szczególnym echem odbiło się to wygłoszone trzy lata temu z okazji rocznicy wyzwolenia niemieckiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, którego był przez kilka miesięcy więźniem. Przez opozycję zostało odczytane jako przestroga przed prawicową dyktaturą, wpisując się w jej narrację o końcu demokracji. Gdy w 2021 r. białoruski dyktator Aleksander Łukaszenka rozpoczął z Polską wojnę hybrydową na granicy, używając do jej szturmowania imigrantów sprowadzanych w tym celu do Europy, Turski również przyłączył się do oskarżeń o obojętność wobec potrzebujących i moralny upadek. Na organizowanym przez Fundację Olgi Tokarczuk festiwalu Góry Literatury tłumaczył ostatnio, że brak czułości (na-



wiązanie do figury „czulego narratora” z noblowskiego przemówienia pisarki) eskaluje zło prowadzące do dyskryminacji i obozów. Jest stałym gościem spotkań organizowanych przez byłego rzecznika praw obywatelskich i zarazem bohatera lewicowych salonów Adama Bodnara. Podczas niedawnej konferencji w Sejmie zorganizowanej przez polityków Lewicy i Fundację Aleksandra Kwaśniewskiego z okazji 80. rocznicy powstania w getcie doradzał im, by ostrożnie stopniowali swoje ataki na Jana Pawła II, za które

środowiska te zabrały się z taką agresją. „Nie trzeba brać szturmami” – mówił.

To wszystko niebawem w sytuacji, gdy niedługo potem brał udział w pogrzebie Jerzego Urbana, swego wieloletniego kolegi z redakcji „Polityki” i propagandowej tuby okresu stanu wojennego, symbolu pogardy, chamskiej i obrzydliwej satyry. Czy zwracał mu za życia uwagę na brak czułości wobec katolików, politycznych przeciwników, prawicy i wszystkich, których Urban brutalnie atakował? Czy moralizujący dzisiaj Turski nie był obo-

jętny wobec stosowanych przez niego metod? Nie znalazłem też jakiegos słowa napomnienia dla organizatorów i uczestników gwałtownych protestów proaborcyjnych z 2020 r. z ich głównym hasłem: „Wyp...ać!”. Ani obrony nienarodzonych dzieci zabijanych w aborcjach eugenicznym, czego tak ostro się domagało.

BOJÓWKA NA USŁUGACH PPR

Jak to się stało, że funkcjonariusz PPR, aktywista komunistycznych młodzieżówek, cenzor i propagandysta w czasach stalinizmu (w ZSRR miliony ludzi były w tym czasie zamknięte w systemie obozów koncentracyjnych), wieloletni redaktor PRL-owskiej „Polityki” został wykreowany na moralistę i sumienie narodu? I którego? Bo jak sam mówi, podczas ostatniego spisu powszechnego, mając do wyboru udzielenie tylko jednej odpowiedzi, zadeklarował ostatecznie, że jest Żydem.

Mosze Turbowicz urodził się na Wileńszczyźnie, ale dorastał w Łodzi. Jego ojciec był syjonistą. W gimnazjum Brandstaetterów mającym siedzibę przy ul. Magistrackiej zetknął się z organizacjami lewicowymi, a z narodowcami w drodze do szkoły, gdy miał siedzibę Koła Młodzieży Wszechpolskiej. Zapamiętał, że jej działacze wdawali się w bójki z żydowską młodzieżą. Dziś można zapytać, czy młodzi narodowcy nie byli również atakowani pałkami przez bojówki żydowskiego Bundu lub PPS-u? W czasie okupacji w łódzkim getcie wstąpił do założonej przez przedwojennych komunistów Lewicy Związkowej. Po wojnie i obozowym epizodzie Mosze Turbowicz zmienił się w Mariana Turskiego, mając już w rękę legitymację PPR i pełniąc funkcję członka prezydium i kierownika Wydziału Pracy Masowej Zarządu Tereńowego Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie”. Jak potem tłumaczył, „dla bezpieczeństwa”. Podpowiedziano mi – musisz, jeżeli chcesz czuć się normalnie, jeżeli chcesz być aktywnym, powinieneś mieć inne papiery i zmienić nazwisko – mówił w jednym z wywiadów. Na festiwalu Osiaka doprecyzowywał, że po prostu, „żołnierze wyklęci wychwytywali Żydów w pociągach i mordowali ich”. Czy to nie fałsz historii na użytek polityki, przed którym przestrzega?

Działająca w ośrodkach akademickich AZWM „Życie” była organizacją bezpośrednio nawiązującą do tradycji przedwojennej KPP, a po wojnie wydzieloną ze Związku Walki Młodych przybudówką PPR. Mimo prób umasowienia, jej działacze uważani byli przez studentów za moskiewską agenturę i donosicieli Urzędu Bezpieczeństwa. Pod hasłem „demokratyzacji” miała podporządkować środowiska akademickie władzom komunistycznym, by ułatwić im przebudowę składu społecznego uczelni. By stworzyć nowego inteligenta, lojalnego wobec nowego porządku, który umożliwił mu zmianę statusu społecznego, zorganizowano np. 6-miesięczny kurs obejmujący skrócony program gimnazjum, w wyniku którego w 1946 r. na uczelnie przyjęto ok. 1,5 tys. tego typu studentów. W tym samym roku, po brutalnym stłumieniu uroczystości trzeciomajowych przez władze, to aktywiści „Życia” prowadzili akcję antystrajkową, wspomagając uzbrojonych zetwumowców przy likwidowaniu studenckich pikiet. Dramatyczny przebieg miały manifestacje studenckie np. w Łodzi czy potem w Szczecinie, gdy bojówki ZWM pacyfikowały harcerzy protestujących przeciw Bierutowi. Propaganda komunistyczna, której była częścią jako pracownik Wydziału Propagandy PPR, głosiła wtedy, „że na uniwersytetach znalazło się zbyt wielu ludzi z przedwojennych bojówek ONR i pogrobowców nauki Mussoliniego i Hitlera”, a „warchoł musi ustąpić miejsca młodzieży robotniczej i chłopskiej”. W jego dzisiejszych wypowiedziach dziwnie pobrzmiwają te same kalki propagandowe.

Turski od jesieni 1946 r. przez trzy lata pracował jako cenzor w Wojewódzkim Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk we Wrocławiu oraz partyjnej „Gazecie Robotniczej”. W latach 1949–1951 odbył dwuletni stacjonarny kurs w Szkole Partyjnej przy KC PZPR w Warszawie, na którym poznał m.in. Edwarda Gierka. Po latach znajomość z przyszłym I sekretarzem PZPR będzie miała wpływ na złagodzenie konfliktów, w które jego szef, redaktor naczelny „Polityki” Mieczysław Rakowski wpłatywał się z liderem śląskiej organizacji partyjnej. Turski był również delegatem na I Światowy Kongres Pokoju w Pradze. Imprezę planowano w Paryżu, ale władze francuskie zorientowały się, że jej orga-

nizatorem jest Francuska Partia Komunistyczna, a działania tzw. ruchu pokojowego szły w parze z machiną sowieckiej dyplomacji i jej agentury wpływu.

U BOKU RAKOWSKIEGO

Do redakcji „Polityki” trafił ze „Sztandaru Młodych”, gdzie był zastępcą redaktora naczelnego dziennika wydawanego przez wzorowany na sowieckim Komsomole Związek Młodzieży Polskiej. Jego nowy i potem wieloletni szef Mieczysław Rakowski zaliczał go do grona swoich przyjaciół, konsultując z nim m.in. objęcie przez siebie stanowiska wicepremiera w rządzie gen. Wojciecha Jaruzelskiego w 1981 r. Gdy ten wprowadzał stan wojenny, Turski należał do tej grupy dziennikarzy „Polityki”, którzy zdecydowali się stanąć po stronie władz. I tak doczekał czasów wolności, w nowej sytuacji angażując się w działalność organizacji żydowskich, m.in. w zarządzie Żydowskiego Instytutu Historycznego. Politycznie to bardzo bezpieczna afiliacja dająca ludziom o podobnej biografii możliwość unikania trudnych pytań i prawienia moralów.

Podczas swojej pierwszej wizyty w Polsce w 2011 r. prezydent Brack Obama złożył kwiaty pod Pomnikiem Bohaterów Getta. Przy okazji odbył krótką rozmowę z Turskim, wtedy już przewodniczącym rady mającego powstać Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”. Ten przy okazji wspominał mu o swoim udziale w marszu z Selmy do Montgomery w marcu 1965 r., który organizował Martin L. King w ramach walki o prawa obywatelskie. „Dlaczego tam pojechałeś?” – zapytał Obama. – Z solidarności z tymi wszystkimi, którzy walczyli o swoje prawa obywatelskie i przeciwko podziałom rasowym” – wyjaśnił Turski. Niewielu mogło wtedy wyjechać z kraju, ale Turski do USA trafił w ramach programu stypendialnego organizowanego przez Departament Stanu USA. W tym samym czasie w PRL również łamano prawa obywatelskie gwarantowane fasadową, ale obowiązującą formalnie konstytucją, prześladowano Kościół, władzę sprawowała partyjna oligarchia, wybory były fikcją, a nad wszystkim czuwała policja polityczna. Czy nie był wtedy obojętnym, gdy dysponująca aparatem represji w tym przypadku fanatyczna mniejszość dyskryminowała większość?

Hodowla elit

Lumpenelita zgłasza wyższościowe roszczenia wobec innych. Podsycając jej kompleksy, kokietując ją – mówiąc jej, że jest prawdziwie elitarna – można sporo politycznie zyskać. Na tym zresztą polega fenomen PO, która – podobnie jak wcześniej „Wyborcza” – zdołała przeciągnąć część ludu na swoją stronę, obiecując mu zaszczyty i awanse w zamian za wyrzeczenie się własnej tożsamości. To był rodzaj cyrografu, w którym sprzedano duszę diabłu



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Marcin Matczak, bardziej znany jako powiązany z opozycją publicysta aniżeli wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego, napisał ostatnio felieton w „Gazecie Wyborczej”, za który trochę mu się potem oberwało wśród fanatycznych wyznawców Donalda Tuska. Poszło o to, że Matczak tak naprawdę nie do końca wierzy w wielkie zwycięstwo tzw. obozu demokratycznego. Jego zdaniem antypisowska opozycja gardzi zwykłymi ludźmi, dlatego ci w zemście będą głosować na PiS.

Matczak wprowadza w swoim tekście symboliczną postać Sołtysa Lubelszczyzny, który ma reprezentować zwykły, wiejski lud. Sołtys „siedzi na grillu i je kielbasę ręką, maczając ją w słoiku musztardy”, „pyta żonę, jaki krawat ma ubrać na procesję Bożego Ciała, bo został wybrany do niesienia baldachimu nad Najświętszym Sakramentem (Matko Boska, jaki zaszczyt mnie kopnął), a ostatnio wyjechał do Turcji na wakacje *ol eksjuzm*”.

„Jest Sołtys Lubelszczyzny stereotypowym obrazem człowieka prostego, który nosi w głowie przeciętny przed-

stawiciel elity. I jest Sołtys sumą wszystkich strachów fajnopolaka” – pisze Matczak. „Wstydzi się Sołtysa fajnopolak na wakacjach, wstydzi się na weselu, wstydzi się, gdy spotka za granicą”.

Pytanie, czego tak naprawdę wstydzi się fajnopolak? Matczak tego nie wyjaśnia, a przecież to kwestia kluczowa. Otóż fajnopolak wstydzi się samego siebie, bo w przeciwieństwie do tego, co pisze Matczak, fajnopolak nie jest przedstawicielem żadnej elity, lecz aspirującej do wyższych sfer, wykorzenionej i często mocno zdegenerowanej klasy ludowej. To naturalna klientela wyborcza Tuska, a więc środowiska, w którym tak chętnie obraca się Matczak. Liberalne media, w których on sam i jemu podobni publikują swoje przemyslenia, wyhodowały taką właśnie lumpenelitę. Pozbawioną wyższych wartości, prostacką, egoistyczną i nie-miłosiernie zakompleksioną.

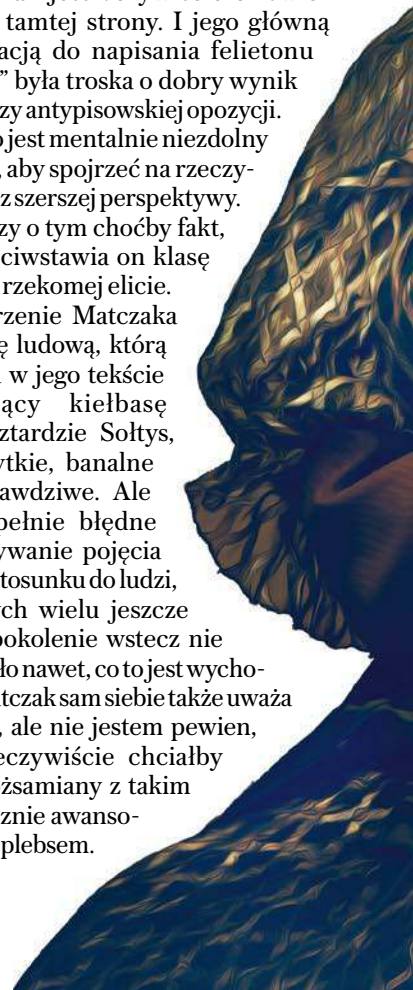
WSTYD ZA SIEBIE

Matczaka przynajmniej stać na to, aby dostrzec zagrożenie, jakie niesie ze sobą coraz silniejsza obecność lumpenelity w życiu publicznym, i dlatego obrywa za to od swojego środowiska, które bez mrugnienia okiem autoryzuje wszystkie, nawet najbardziej szkodliwe, pomysły Tuska i jego kamaryli. A to właśnie Tusk jest najwyższym kapłanem lumpenelity, to on od wielu lat podsycą jej kompleksy oraz pogardę do innych,

aby na tej fali dorwać się wreszcie do upragnionej władzy. Ostrzeżenie przed cynicznie nakręcanymi obsesjami lumpów jest więc – choć nie takie przecież było przesłanie Matczaka – uderzeniem w strategię samego Tuska. A to są rzeczy nie do przyjęcia.

Matczak jest oczywiście człowiekiem z tamtej strony. I jego główną motywacją do napisania felietonu w „GW” była troska o dobry wynik wyborczy antypisowskiej opozycji. Dlatego jest mentalnie niezdolny do tego, aby spojrzeć na rzeczywistość z szerszej perspektywy. Świadczy o tym choćby fakt, że przeciwstawia on klasę ludową rzekomej elicie.

Spojrzenie Matczaka na klasę ludową, którą uosabia w jego tekście maczający kielbasę w musztardzie Sołtys, jest płytkie, banalne i nieprawdziwe. Ale już zupełnie błędne jest używanie pojęcia elity w stosunku do ludzi, z których wielu jeszcze jedno pokolenie wstecz nie wiedziało nawet, co to jest wychodek. Matczak sam siebie także uważa za elitę, ale nie jestem pewien, czy rzeczywiście chciałby być utożsamiany z takim pośpiesznie awansowanym plebem.



Bo jego Sołtys, choć jest prostym człowiekiem, ma zasady – docenia życie rodzinne, wierzy w Boga i cieszy się tym, co ma. A pożałuj Boże elita Matczaka wraz z awansem wszystko to potraciła, jest zagubiona, zakompleksiona i pełna

nienawiści. Głównie z tego powodu, że jej jedynym atutem są pieniądze. Poza tym brakuje jej wszystkiego. Przede wszystkim kultury, wiedzy i dobrego smaku. A więc tego, co wyróżnia prawdziwą elitę.

Ci nieszczęśni, aspirujący nuworysze zdają sobie z tego sprawę, więc kompensują swoje braki, wyżywając się na tych, którzy trwają przy dawnych wartościach. Nienawidzą też swojego własnego pochodzenia, wręcz wstydzą się go niemilościwie. Tak naprawdę jednak wstydzą się samych siebie.

ODDAM DUSZĘ ZA AWANS

Przynależność do elity, którą w dzisiejszej Polsce trudno zdefiniować i która być może wcale nie istnieje, jest dla awansujących finansowo plebejuszy celem nieosiągalnym. Dlatego próbują oni imitować elitę. Nie mają o niej zielonego pojęcia, więc poruszają się po omacku.

Ich przewodnikami są najczęściej liberalne media, w których lansuje się mo-

del „oświeconego”, nowoczesnego Europejczyka – wyznawcy postępowych ideologii, który myśli tylko o sobie, a swoje życie sprowadza wyłącznie do zaspokajania potrzeb: finansowych, erotycznych i fizjologicznych. To bardzo prosty – żeby nie powiedzieć prostacki – model życia, w którym nie ma żadnych zobowiązań wobec innych ani wobec otaczającej wspólnoty. Taki niewymagający model jest jednak możliwy do osiągnięcia przez przeciętnego aspirującego lumpa. Wyznacza limit, którego nie jest on w stanie przeskoczyć.

Pisząc o lumpie, nie mam na myśli łachmianiarza, lecz człowieka pozbawionego korzeni, zasad i niezdolnego do samodzielnego myślenia. Łasego szybkich awansów i zaszczytów, łatwego do przekupienia i podatnego na cudze wpływy. Tacy ludzie idą w stadzie, uważnie nasłuchując sygnałów napływających z przodu. Nigdy nie będą wygłaszać własnego zdania, bo najczęściej go nie mają, a jeśli nawet jest inaczej, to wstydzą się je przedstawić w obawie przed ujawnieniem swojej niekompetencji. Dlatego, jeśli powie im się, że – przykładowo – Olga Tokarczuk jest wybitną pisarką, bo dostała Nobla, to rzucą się – po raz pierwszy od lat – do księgarń, aby kupować jej książki, choć nigdy wcześniej o tej autorce nie słyszeli. Oczywiście nigdy też tych książek nie przeczytają, ale warto mieć coś modnego i na czasie na półce w domu, aby wykazać się przed innymi swoim dobrym gustem. Gdy powie się im, że we Francji pije się młode, kwaśne wino, to będą je kupować, choć jest tanie i obrzydliwe w smaku.

Taki sam schemat działa w każdej innej sprawie. Wszyscy znajomi głosują na PO i „j...bią PiS”, więc ja też tak zrobię, choć jest to najczęściej sprzeczne z moim osobistym interesem. W telewizji mówią, że w kościele prześladowują kobiety i każą głosować na Kaczyńskiego, więc będę te bzdury powtarzać jako swoje osobiste spostrzeżenie, choć na mszy nie byłem od czasu pierwszej komunii świętej itd. Chyba każdy z nas ma kogoś w rodzinie lub wśród znajomych, kto wygłasza takie banialuki, mając najwyraźniej wszystkich dookoła za durniów. Jednak środowisko, o którym mowa, składa się w dużej mierze właśnie



z takich durniów, nakręcających się wzajemnie opowiadaniem sobie podsuniętych im głupot.

Tak hoduje się lumpenelitę, która potem zgłasza wyższościowe roszczenia wobec innych. Jednak podsycając jej kompleksy, kokietując ją – mówiąc jej, że jest prawdziwie elitarna – można sporo politycznie zyskać. Na tym zresztą polega fenomen Platformy, która – podobnie jak wcześniej „GW” – zdołała przeciągnąć część ludu na swoją stronę, przekupując go, obiecując mu zaszczyty i awanse w zamian za wyrzeczenie się własnej tożsamości. To był rodzaj cyrografu, w którym sprzedawano duszę diabłu. Nic więc dziwnego, że taki nowoczesny, „elitarny” Polak przeistaczał się za zwyczaj w odrażającego mentalnie, pozbawionego kultury potworka.

DAMA Z PETEM

Najgłośniejszym ostatnio przykładem takiej hodowli elit stała się niejaka Julia von Stein, bohaterka programu „Królowe życia” transmitowanego przez stację TVN należącą do stajni TVN. O dokonaniach tej pani niewiele wiemy. Jak można przeczytać w internecie, pochodzi z Tarnowa, gdzie pomagała swoim rodzicom w prowadzeniu zakładu pogrzebowego. Musiała mieć sporo szczęścia, bo udało jej się wyrwać znad trumien i trafić na casting do październikowego reality show skierowanego do mało wyrafinowanego intelektualnie widza.

Bohaterowie programu przesiadują na złotych fotelach w apartamentowcu i przeżywają tam swoje życiowe problemy w rodzaju wizyty na siłowni lub u kosmetyczki, kalecząc przy tym nie miłosiernie rodzimy język. Tego rodzaju produkcja ma jednak sporą oglądalność, co sprawia, że chałtuszającym w niej naturszczykom błyskawicznie uderza woda sodowa do głowy. Warto tu choćby przypomnieć, że jedną z gwiazd programu, o którym mowa, była Sylwia Peretti, matka pirata drogowego, który niedawno zabił wraz z trójką znajomych, pędząc ulicami Krakowa.

Panna von Stein również stała się gwiazdą. Zaczęła np. opowiadać, że była prześladowana w polskiej szkole

z powodu niemieckiego nazwiska. Nie dajmy się jednak nabrać, arystokratyczny przedrostek von ma w jej przypadku tyle wspólnego z pochodzeniem, ile kartofel z ananasem. Nasza bohaterka nazywa się po prostu Steinhoff, a von Stein to telewizyjny pseudonim, dzięki któremu została zaliczona do elity. W takiej też roli wystąpiła w innym telewizyjnym show tego samego nadawcy pt. „Damy i wieśniaczki”, gdzie – jak wynika z pseudonimu – robiła za damę.

I teraz oto ta dama pochwaliła się nagraniami w internecie, gdzie – jak na arystokratkę przystało – podjechała posilić się w przydrożnym barze McDonald. Podczas składania zamówienia palila

Gdy Marcin Matczak pisze o elicie, jego słowa odnoszą się również do Julii von Stein bluzgającej na pracownika baru. To jest właśnie ta elita, której publicysta zapewne czuje się częścią

peta (jednak bez arystokratycznej fifki) i obsługa baru zwróciła jej na to uwagę. W odpowiedzi dama rzuciła pod adresem pracownika kilka mocniejszych słów. „Zapie...dalsz na to, co ja mam? Ty mi będziesz dyktował, kur...a, czy ja mogę palić, czy nie? Za twoje pałę? Proszę mi powiedzieć, jakim prawem pan może mieć śmiałość zwrócić mi uwagę, że ja mam zgasić papierosa w samochodzie?” – pokrzykiwała, po czym radośnie umieściła zapis swojego wyczynu w sieci. Bo przecież pokazała, jaka z niej ważna dama, której byle „kmiot” nie ma prawa zwracać uwagi.

Inna rzecz, że jest bardzo prawdopodobne, że ów rzekomy „kmiot” bił ją intelektualnie na głowę. Nieszcześnie prostaczce wydawało się po prostu, że skoro załapała się do telewizji i zarobiła tam trochę grosza, to może rozstawiać wszystkich po kątach.

Incydent wywołał słuszne oburzenie, nikt bowiem w Polsce nie przepada za panoszącymi się nierobami i chamami, którzy pogardzają ciężko pracującymi ludźmi. Jednak takie sytuacje są na porządku dziennym, tyle że najczęściej dotyczą anonimowych osób. Wystarczy wejść w duży mieście do pierwszego lepszego sklepu czy do knajpy i można być pewnym, że zaraz pojawi się w nim arogancki prostak. Tak samo jest na ulicy, gdzie chamek (lub chamka) w lepszym aucie pogardza tymi, którzy siedzą w starych samochodach albo – co już zupełnie pogrążające – w autobusie czy tramwaju. Prawdę mówiąc, niezbyt rozgarnięta celebrytka wyłożyła jak na tacy całą filozofię życia lumpen-elity, która polega na pogardzie wobec każdego, kto – w jej mniemaniu – stoi niżej w hierarchii. A tę hierarchię wyznaczają wyłącznie pieniądze. Bo przecież nie nieosiągalna w tym przypadku kultura lub wiedza.

WYZNAWCY OŚMIU GWIAZDEK

Gdy więc Marcin Matczak pisze o elicie, którą przeciwstawia prostym ludziom, powinien pamiętać, że jego słowa odnoszą się również do panny von Stein bluzgającej na pracownika baru. To jest właśnie ta elita, której publicysta – jak rozumiem – czuje się częścią, bo choć jest wobec niej krytyczny, to przecież w pełni akceptuje jej rzekomo wysoki status.

I nie da się powiedzieć, że celebrytka jest jedynie czarną owcą, która może się przypłatać do każdego środowiska. Przeciwnie, jej zachowanie jest bardzo typowe. Tacy jak ona zostali przecież wychowani przez najlepszych: Krystynę Jandę, która czuje się, jakby ktoś na nią srał; Andrzeja Seweryna, który zaleca, aby „przypię...ić” inaczej myślącym; przez publicystów liberalnych mediów z TVN, „Newsweekiem” i „Wyborczą” na czele oraz przez antypisowskich polityków, którzy właśnie do takiej holoty adresują swoje osiem gwiazdek. Bo tylko taki przekaz trafia do jej intelektu. A co najgorsze, ta lumpenelita pójdzie teraz na wybory, aby współdecydować o naszej przyszłości.

Katarzyna i Marcin Bosaccy
byli małżeństwem
przez 26 lat

Miłość i polityka

„Polski Sejm zdradą małżeńską i rozwiązłością obyczajową stoi” – pisała kilka lat temu była żona byłego posła PiS Mariusza Antoniego Kamińskiego. Jej słowa potwierdza kolejna historia polityka z romansem w tle. A Polacy chętnie, zwłaszcza w upalne letnie dni, rzucają się na newsy z życia „wielkiego świata”



DOROTA ŁOSIEWICZ

To pewnie dlatego takie zainteresowanie budzi historia rozpadu małżeństwa senatora Marcina Bosackiego i dziennikarki Katarzyny Bosackiej.

Zainteresowanie jest tym większe, że znani są oboje. „Choć potrafi być szorstki, to wymarzony kandydat każdej teściowej: zasadniczy, uporządkowany, poznański. Przystojny, kulturalny, odpowiedzialny, punktualny, słowny. Były ministrant, harcerz, opozycjonista. Od

początku wiedziałam, że nigdy mnie nie zawiedzie” – tak o swoim mężu Marcinie mówiła Katarzyna Bosacka w lipcowym wydaniu „Pani”. „[...] Marcin jest bardzo dobrym i mądrym człowiekiem. No i wciąż kupuje mi kwiaty bez przyczyny. [...] Gdy pytają nas, co zrobić, by 26 lat być dobrym małżeństwem, mówię: wzajemnie się podziwiać. U nas nie ma cichych dni, jest burza z piorunami” – relacjonowała dziennikarka znana z tego, że tłumaczy Polakom, jak zdrowo jeść i jak czytać etykiety na produktach. Zresztą jesienią ruszyć ma nowy program „Bosacka daje radę”, który pojawi się w Canal+ Kuchnia. „To kobieta, która roztacza wokół siebie spokój i pewność, że cokolwiek się dzieje, a dzieło się różnie w naszym życiu – traciłmy pracę, rodziców – zawsze jesteśmy w tym razem” – mówił w tym samym wywiadzie o żonie senator Bosacki.

BEZ KOMENTARZA

Miesiąc później plotkarskie media obiegała informacja, że para się rozstała. Zaskoczenie było tym większe, że ponad ćwierć wieku stanowiła zgrany duet. Ale historie udanych małżeństw szeroką publiczność interesują znacznie mniej niż romanse, zdrady i głośne rozwody. Wszystko pewnie dlatego, że zwykle życie zaczyna się tam, gdzie kończą się komedie romantyczne.

Media informowały, że polityk Koalicji Obywatelskiej zostawił dziennikarkę dla innej kobiety. W kuluarach pojawiła się także wersja, że to żona, która odkryła niewierność męża, wystawiła mu walizki za drzwi. Ćwierć wieku wcześniej to Katarzyna miała zostawić ówczesnego narzeczonego dla Bosackiego. Wystarczyć miało pół roku, aby dziennikarka przysięgła miłość Marcinowi. „Często

afery madrycka, która wybuchła jesienią 2014 r., gdy się okazało, że posłowie, którzy polecieli tanimi liniami do Madrytu, pobrali z sejmowej kasy kilkadziesiąt tysięcy złotych zaliczki, zgłaszając wcześniej podróż samochodem. Wówczas polityk został wyrzucony z PiS.

To jednak niejedyny polityk prawicy, który pożegnał się z polityką z powodów „sercowych”. W 2018 r. Stanisław Pięta stał się bohaterem skandalu obyczajowego. Zaczęło się od tego, że na jednej z rocznic katastrofy smoleńskiej żonaty polityk PiS poznał Izabelę Pęk, z którą nawiązał romans. Media ujawniły wiadomości, jakie wysyłali sobie zakochani, a także zdradziły wiele szczegółów ich relacji. Poseł miał obiecywać przyjaciółce ślub i założenie rodziny. Ostatecznie jednak porzucił Izabelę Pęk, a w efekcie skandalu został zawieszony w prawach członka PiS.

EGIPSKIE WAKACJE

A czy ktoś pamięta jeszcze Samoobronę i głośną historię polityków tej partii: Sandry Lewandowskiej i Janusza Maksymiuka? O burzliwej przyjaźni młodej posłanki i 61-letniego posła zrobiło się głośno 15 lat temu, gdy „Super Express” opublikował zdjęcia pary z urlopu w Egipcie. O piersiach pięknej pani Sandry, która w stroju topless smarowała owłosione ciało posła Maksymiuka, mówiła cała Polska. I choć oboje się zarzekali, że to tylko

przyjaźń, tabloidy i plotkarskie portale wiedziały swoje. „Sandra Lewandowska i Janusz Maksymiuk są nadal jak papużki nierozłączki. Mało tego, temperatura ich znajomości stale się podnosi. »Super Express« podpatrzył ich, jak wybrali się wspólnie na film o pikantnym tytule i erotycznym zabarwieniu...” – donosiły po egipskiej podróży plotkarskie portale.

W LONDYŃSKIM CITY

Jednak chyba najgłośniejsza i najszerzej opisywana w kolorowej prasie była historia Kazimierza Marcinkiewicza. Latami czytelnicy tabloidów mogli śledzić na łamach bulwarówek anatomię upadku byłego premiera. W 2009 r. nieco już zapomniany był premier z ramienia PiS, wcześniej polityk ZChN, wrócił do mediów dzięki swojemu płomiennemu romansowi ze znacznie młodszą Isabel.

Zaczęło się niewinnie. „Super Express” opublikował zdjęcie Kazimierza Marcinkiewicza, który u jubilera wybierał pierścionek zaręczynowy. Upojony nowym uczuciem polityk, dziennikarzem, którzy do niego zadzwonili z pytaniem, co tam robił, szczerze przyznał: „Zamierzam zmienić swoje życie. Moja obecność w sklepie była związana właśnie z tymi zmianami”. W tamtym czasie o swojej nowej wybrance Marcinkiewicz mówił chętnie: „Jest wspaniała, ambitna i kieruje się w życiu jasnymi zasadami”. Były premier wyraźnie potrzebował dzie-

lić się ze światem swoim szczęściem. Nie patrząc na konsekwencje, na uczucia rodziny. Ale wtedy był już w innej rzeczywistości. Zaszumiąły mu w głowie Londyn, duże pieniądze i wolność. Po wyjeździe do UK (Marcinkiewicz dostał pracę w EBOR-ze), a jeszcze przed wizytą u jubilera były premier pisał na swoim blogu: „To jest to, co misie lubią najbardziej! Jeszcze tylko jakaś dyskoteka! I’m 47. Can I dance? Yes, I can, I need, I love!”.

Po pierwszych publikacjach fora internetowe błyskawicznie zaroily się od bardzo krytycznych komentarzy. Ludzie nie tylko pisali, że były premier porzucił żonę z czwórką dzieci, lecz również ostro wygarniali Marcinkiewiczowi, że zrobił to po ciężkiej chorobie nowotworowej małżonki. Wtedy redakcje tabloidów błyskawicznie porzuciły linię, w której bezrefleksyjnie informowały o nowej drodze życia byłego premiera, na linię, która była niezwykle dosadną krytyką polityka. I tak do syna apelowała matka Marcinkiewicza, potępiał go ksiądz, czytelnicy dowiedzieli się też, że były ZChN-owiec porzucił żonę w Boże Narodzenie itd. Marcinkiewicz, który z dnia na dzień dostał miano „Maxi Kazz”, postanowił wreszcie się wytłumaczyć szerokiej publiczności ze swojego związku i zgodził się porozmawiać w londyńskim studiu z TVN. Tak powstało nagranie, w którym Isabela, późniejsza pani Marcinkiewicz, zachęcała byłego premiera: „Kazimierz, pamiętaj: szczerym być”. Później były sesje w kolorowych magazynach, ślub i wielka katastrofa.

Kazimierz Marcinkiewicz przebył drogę od premiera do dłużnika alimentacyjnego. Ale – co ciekawe – były polityk wciąż, mimo skandalu obyczajowego, był chętnie zapraszany do liberalnych mediów w roli komentatora. Jego kariera prysła dopiero wtedy, gdy się okazało, że nie płaci drugiej byłej żonie zaszędzonych alimentów.

Historia państwa Bosackich, choć smutna, to pewnie nie ostatnia tego typu. Podobno władza to najlepszy afrodyzjak, życie polityka to ciągle rozjazdy, a o sejmowym hotelu wśród dziennikarzy i polityków krążą legendy. To miejsce bardziej ma przypominać akademik, gdzie imprezy do rana są na porządku dziennym, niż miejsce zamieszkania elity politycznej kraju.

Mariusz Antoni Kamiński przed rozводом był strażnikiem tradycyjnego modelu rodziny i przez 12 lat był przykładowym mężem pani Anny



Iryna Wereszczuk, ukraińska wicepremier odpowiadająca za reintegrację terenów okupowanych, powiedziała niedawno publicznie: „Musimy być szczerzy, w tej wojnie droga do zwycięstwa będzie długa i trudna. »2–3 tygodnie«, »do końca roku«, »do przyszłej wiosny« – to wszystko nieprawda”

Wojna na lata



MAREK BUDZISZ

O tym, że wojna nie zakończy się szybko, mówią też ukraińscy i zachodni analitycy, a ich oceny mają oczywisty związek z niewielkimi postępami kontrofensywy Sił Zbrojnych Ukrainy. Z informacji ukraińskiego kanału analitycznego Deep State wynika, że w trwającej od początku czerwca operacji udało się wyzwolić jedynie 242 km terenów okupowanych przez Rosjan. Jurij Butusow, dziennikarz wojskowy,

w przeszłości doradca ministra obrony, powiedział w wywiadzie radiowym dla portalu NV, że na Zaporozu udało się dopiero w kilku punktach pokonać pierwszą linię rosyjskich umocnień, jest jeszcze druga, a w świetle ostatnich wiadomości Moskalie budują właśnie trzecią. To oznacza, jak zauważył, że „czekają nas jeszcze bardzo długie i bardzo krwawe walki”.

Nie ma dziś wątpliwości, że ukraińska ofensywa postępuje wolniej, niż wszyscy się spodziewali. Nawet prezydent Zełenski przyznał to publicznie. Minister obrony Reznikow powiedział, że jednym z powodów jest to, iż Rosjanie intensywnie zaminowali linie frontu, rozmieszczając nawet pięć min na metr kwadratowy terenu. Ben Barry, ekspert brytyjskiego think tanku IISS, w rozmo-

wie z tygodnikiem „The Economist” porównał sytuację na ukraińskim froncie do tej, która miała miejsce pod El Alamein, kiedy Niemcy dowodzeni przez Erwina Rommla położyli milion min, umacniając swe linie obrony. Wówczas Brytyjczykom i sojusznikom, którzy dysponowali przewagą, zwłaszcza w powietrzu i w artylerii, a także mieli znaczny potencjał, jeśli chodzi o czołgi służące do rozminowywania, zajęło 10 dni, aby przełamać jedną linię niemieckich umocnień. Problemem jest oczywiście to, że Ukraińcy takiej przewagi nad Rosjanami nie mają. Nie dysponują nawet, jak napisał niedawno brytyjski „The Guardian”, odpowiednią liczbą saperów, którzy zdolni byłiby do wytyczenia przejść w rosyjskich zaporach. Przed rozpoczęciem ofensywy strona ukraińska miała



UKRAINA UPOMINA SIĘ O POMOC

Roman Switan, ukraiński komentator wojskowy, pułkownik rezerwy, mówi, że gdyby Ukraina dostała odpowiednią pomoc wojskową, wówczas ofensywa mogłaby przyspieszyć i w krótkim czasie jej wojska mogłyby wyjść na linię granicy z Rosją. Co ma na myśli? „Jeśli dadzą nam co najmniej trzy brygady, czyli ok. 10 dywizjonów, tj. 120 samolotów, wystarczy to na dotarcie do granicy państwa z 2003 r. w przyszłym roku, gdzieś bliżej jesieni. Czyli całkiem realne jest wykorzystanie kampanii letniej 2024 i dotarcie do granicy kraju” – powiedział w wywiadzie radiowym. Jeśli Zachód nie będzie skłonny dostarczyć takiej liczby samolotów, to – w opinii Switana – niezbędne będą dostawy rakiet dalekiego zasięgu ATACMS. Ale nie kilkudziesięciu sztuk, lecz co najmniej tysiąca.

Tyle że pomocy o takiej skali nikt Ukrainie nie zamierza udzielić. Dopiero teraz, niemal po roku od momentu, kiedy ta kwestia pojawiła się pierwszy raz publicznie, „coś drgnęło” – jak powiedział mediom Jurij Ignat, rzecznik prasowy sił powietrznych w kwestii szkolenia ukraińskich pilotów w obsłudze F-16. Ale jeśli chodzi o samoloty, to – jak dodał – z pewnością Kijów nie otrzyma ich w tym roku. Podobna sytuacja jest w przypadku rakiet. Waszyngton zwleka z decyzją, a kanclerz Scholz jest przeciwny przekazaniu Kijowowi niemieckich Taurusów.

Trudno zatem oczekiwać przełomu w trwającej wojnie. Admiral Tony Radkin, szef Sztabu Obrony Brytyjskich Sił Zbrojnych, jest zdania, że strona ukraińska zmieniła w toku obecnej kampanii swoją taktykę walki. Nie dąży do szybkiego przełamania, lecz realizuje model, który on określa mianem „głodzić, rozciągać i uderzać”. Atakując z dystansu magazyny i linie komunikacyjne, Ukraińcy „głodzą” siły rosyjskie, pozbawiając je niezbędnego zaopatrzenia, prowadząc operacje w wielu kierunkach liczącego 1 tys. km frontu; a tam, gdzie dostrzegą oznaki słabości – atakują. Minusem jest to, że taki sposób prowadzenia wojny – będący mieszanką ataków z dystansu, walk pozycyjnych i manewrów o niewielkiej, taktycznej skali – oznacza przeciąganie wojny, bo każda ze stron wierzy,

iż nie zostanie zdominowana przez przeciwnika i może ostatecznie odnieść sukces.

Rosjanie nadal uważają – jak napisał Con Coughlin, komentator wojskowy dziennika „The Telegraph” – że są w stanie podzielić Zachód. Co więcej, w ostatnim czasie pojawiły się sygnały, iż w istocie niektóre państwa wspierające Ukrainę są już zmęczone wojną o tej skali intensywności i myślą o jej zakończeniu.

O ile niedawne spotkanie w Arabii Saudyjskiej, w którym uczestniczyła również delegacja chińska, można było odczytać w kategoriach „balona próbnego”, badania stanu nastrojów w Moskwie, tego, jak władze rosyjskie odnoszą się do perspektywy politycznego rozwiązania, o tyle niedawną wypowiedź jednego ze współpracowników Jensa Stoltenberga trzeba uznać za badanie nastrojów w Kijowie. Chodzi o Stiana Jenssena, szefa kancelarii sekretarza generalnego NATO, który w wywiadzie dla jednego z norweskich portali sugerował możliwość zawarcia dealu – Ukraina rezygnuje z części swoich terytoriów okupowanych dziś przez Moskalę, w zamian zostaje członkiem NATO. Ta opinia urzędnika średniego szczebla wzniciła burzę. Opublikowane zostało oficjalne stanowisko NATO dezawuuujące propozycję Jenssena, a John Kirby z amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego wystąpił nawet z czymś w rodzaju dementi.

„ZŁY POKÓJ”

Skala reakcji wskazuje jednak na to, że „coś jest na rzeczy”, i w stolicach wspierających Ukrainę zaczęto myśleć zarówno o perspektywie przedłużającej się wojny, jak i o potrzebie znalezienia politycznego wyjścia z tej sytuacji. Niewykluczone, że formułując zbyt daleko idące propozycje, których Kijów nie zaakceptuje, jednocześnie chce się uzyskać ustępstwa w mniej ważnych, ale dla losów wojny istotnych, kwestiach. Gniewna reakcja przedstawicieli Ukrainy na tego rodzaju tezy wskazuje na to, że elity w Kijowie, póki co, odrzucają możliwość politycznego zakończenia konfliktu, uznając wariant jego zamrożenia czy ustępstw terytorialnych za „zły pokój” i odłożenie wojny w czasie. Wojny, która powróci, ale w jeszcze gorszym wymiarze.

pięć batalionów wojsk inżynieryjnych, w których łącznie było 200 30-osobowych zespołów saperskich. W sytuacji, kiedy trzeba rozbrajać rosyjskie miny ręcznie, ten potencjał ulega szybkiemu „zużyciu”. Jeden z takich zespołów, jak informowali dziennikarze „Guardiana” relacjonujący z frontu, aktywny w okolicach osady Staromaïorskie w kierunku na Mariupol, w momencie przełamania rosyjskiej pierwszej linii miał już tylko 13 zdolnych do walki żołnierzy.

W efekcie ofensywa posuwa się wolno, a straty na rosyjskich polach minowych są znaczące. „Dziennie przywożą nam od 50 do 100 ciężko rannych żołnierzy” – powiedział mediom główny lekarz szpitala w Dnipro. „Najczęstszym powodem obrażeń są ataki artyleryjskie, ale na drugim miejscu rosyjskie miny”.

Fot. Ignacio Marin/Anadolu Agency/ABC PRESS COM/Estimote

Podobnie myślą w Rosji. Władimir Putin pytany niedawno przez jednego z dziennikarzy, czy Moskwa będzie starała się skłonić Białoruś do udziału w wojnie, odparł lakonicznie: „A po co?”, dając do zrozumienia, że zdaniem rosyjskiego dowództwa konflikt przebiega zgodnie z planem. Andriej Suszencow, dziekan wydziału stosunków międzynarodowych MGIMO, uczelni tradycyjnie kształcącej rosyjskie kadry państwowe i dyplomatyczne, a jednocześnie jeden z dyrektów wpływowego Klubu Władajskiego, napisał niedawno, że rosyjskie cele wojny „koncentrują się wokół zabezpieczenia demilitaryzacji Ukrainy, uniemożliwienia jakiegokolwiek formalnego sojuszu między Ukrainą a Stanami Zjednoczonymi [...] oraz przeciwdziałania potencjalnym powiązaniom wojskowym z NATO. Determinacja Rosji, by osiągnąć to, czego chce, pozostaje niezachwiana, a kraj jest gotowy do użycia wszelkich dostępnych środków – dyplomatycznych lub, w razie potrzeby, wojskowych”.

KALKULACJE MOSKWY

W całej sprawie jest jeszcze kontekst polityczny, który trzeba brać pod uwagę. Właśnie rozpoczęło się ostatnie posiedzenie ukraińskiej Rady Najwyższej i w świetle obowiązującej konstytucji w ostatnią niedzielę października tego roku winny zostać przeprowadzone wybory. Z oczywistych względów wyborów nie będzie i kadencja parlamentu zostanie zapewne przedłużona. Jednak już obecnie zachodni sojusznicy Ukrainy postrzegają taką ewentualność w kategoriach ryzyka.

Po pierwsze, ukraiński parlament jest niepopularny w społeczeństwie. 73 proc. ankietowanych chciałoby „poważnego odnowienia władzy”, a 69 proc. – nowych wyborów. Tego rodzaju nastawienie jest oczywistą konsekwencją zarówno licznych skandali korupcyjnych, informacji, w świetle których czas wojenny deputowani spędzają w luksusowych hotelach na Malediwach czy w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, jak i tego, że nadal 1/3 izby to posłowie z formacji uchodzących za prorosyjskie. Przedłużenie kadencji Rady Najwyższej grozi wzrostem niezadowolonia społecznego i delegitymi-

zacją obecnej władzy. Jak napisali dziennikarze „Ukraińskiej Prawdy”, powołując się na przecieki z otoczenia Zelenskiego, europejscy dyplomaci, w tym Pat Cox, były przewodniczący Parlamentu Europejskiego, już nieoficjalnie podnoszą tę kwestię. „Putin zostanie wybrany na kolejną kadencję – Cox miał powiedzieć Zelenskiemu – a u was uprawnienia prezydenta i parlamentu wygasną”. To może ułatwić Rosjanom ich propagandę, w świetle której w Kijowie rządzą uzurpatorzy. A to oznacza, że przedłużająca się wojna może być na rękę Moskwie.

Tym bardziej że entuzjazm sojuszników Ukrainy do kontynuowania wsparcia, jak napisał Con Coughlin, „na naszych oczach paruje”. W minioną środę rząd Niemiec nie przyjął propozycji ministra finansów,

Putin pytany przez jednego z dziennikarzy, czy Moskwa będzie starała się skłonić Białoruś do udziału w wojnie, odparł lakonicznie: „A po co?”, dając do zrozumienia, że zdaniem rosyjskiego dowództwa konflikt przebiega zgodnie z planem

aby prawnie zobowiązać się do wydawania w tym roku i kolejnych latach 2 proc. PKB na bezpieczeństwo. Kanclerz Scholz składał publicznie tego rodzaju deklaracje przy okazji szczytu w Wilnie, ale – co ciekawe – ze sprzeciwem wystąpił resort spraw zagranicznych, uznając, że lepsza jest dotychczasowa formuła, w świetle której deklarowany poziom ma być osiągnięty w perspektywie pięciu lat. Najprawdopodobniej chodzi o to, że tego rodzaju posunięcie mogłoby zostać odebrane w Moskwie jako działanie eskalacyjne.

Zdaniem niektórych obserwatorów rosyjskiej sceny politycznej Putinowi może wręcz zależeć na przedłużaniu wojny, choć niekoniecznie na jej intensyfikacji. Ta wymagałaby kolejnej mo-

bilizacji i w świetle deklaracji rosyjskich oraz izraelskich ekspertów wojennych, których pytali o to dziennikarze emigracyjnej „Novej Gazety Europa”, Kreml jest na to gotowy, ale wyłącznie wtedy, kiedy stronie ukraińskiej uda się przełamać linie obrony i dojść np. do Morza Azowskiego. Jeśli to się nie wydarzy, możliwe jest przeciąganie wojny, czemu mogą towarzyszyć rozbijające jedność Zachodu propozycje. Spekuluje się, że Moskwa może zaproponować krótkotrwale zawieszenie broni ze względu na zbliżające się wybory prezydenckie w Rosji i konieczność przeprowadzenia podobnych na Ukrainie.

Dla Rosji byłaby to sytuacja typu win-win. Jeśli Ukraina się zgodzi, to zmęczone wojną rosyjskie oddziały będą mogły odpocząć, a na Zachodzie może się wzmocnić grupa polityków głośno mówiących o pokoju. Jeśli Kijów odrzuci taką możliwość, to rosyjska propaganda będzie mogła na cały świat kolportować przesłanie, że to Ukraina i Stany Zjednoczone nie chcą pokoju. Co więcej, Zelenski i jego ekipa boją się demokratycznego werdyktu. Taki obrót spraw może być dla Ukrainy politycznie groźny, tym bardziej że i w USA, przybliżających się do wyborów prezydenckich, obóz kontynuowania wojny topnieje.

Tego rodzaju zaskakujące propozycje i zwroty w trwającej rozgrywce dyplomatycznej są możliwe, ale nie wcześniej niż wiosną przyszłego roku. To zaś oznacza, że wcześniej żadna z walczących stron nie uzna,

że należy uisnąć do stołu rokowań. Ukraińcy będą starali się przełamać rosyjskie linie, a Moskwie, broniąc się, doczekać do wiosny, kiedy może na ich korzyść zmieni się polityczna koniunktura. Wszystko to razem oznacza, że wojna jeszcze potrwa, a w najbliższym półroczu może być nawet intensywniejsza, przynajmniej do czasu jesiennych opadów. Jej przebieg może przypominać fale, okresy wzmożonych działań na froncie będą się przeplatać z czasem spokojniejszym. To tylko zwiększy determinację stron, dając czas na wytechnienie i nadzieję, że kolejna ofensywa przyniesie upragnione zwycięstwo. Tak długo, jak jedna z walczących stron nie uzna, że ma dość, wojna będzie trwała. Może nawet przez lata.

Niegodziwa transakcja czy uczciwy plan pokoju?

*Rzecz o tym, jak norweski
urzędnik z głupoty
skomplikował jedyny realny
scenariusz przerwania
krwawej masakry
na Ukrainie*

Stian Jenssen
był cytowany
niemal
na całym
świecie

Prawdę mówiąc, czasem aż trudno uwierzyć, jakich politycznych gamoni potrafią wychować wielkie i poważne instytucje międzynarodowe.

SENSACYJNY NEWS

Oto nagle dowiadujemy się, że jakiś wysoko postawiony urzędnik w Sekretariacie Generalnym NATO podczas publicznej dyskusji w prowincjonalnym norweskim miasteczku Arendal (ładnie położonym nad Cieśninami Bałtyckimi) przechwala się wobec zgromadzonej tam publiki, iż zna sposób na przerwanie wojny na Ukrainie. To niejaki Stian Jenssen – szef gabinetu sekretarza generalnego NATO Jensa Stoltenberga i jego wieloletni prywatny sekretarz, od kilku dni osławiony i cytowany niemal na całym świecie. „Myślę, że rozwiązaniem dla Ukrainy może być rezygnacja z terytorium i uzyskanie w zamian członkostwa w NATO” – mówi w toku debaty publicznej Jenssen. Po czym dodaje, że dyskusje na ten temat właśnie trwają w kregach dyplomatycznych.



JAN ROKITA

W tamten wtorek 15 sierpnia na sali w Arendal jest obecny dziennikarz norweskiej gazety „Verdens Gang”, który łapie natychmiast, że takie słowa w ustach zausznika sekretarza generalnego NATO to polityczna sensacja, jaką za chwilę może puścić na cały świat. Inteligentnie próbuje zatem drażyć dziennikarską okazję, jaką udało mu się złapać. Pyta podchwytliwie Jenssen: „Czy więc, według NATO, Ukraina

musi oddać terytorium, aby osiągnąć pokój z Rosją i przysłużyć się członkostwo?” W odpowiedzi słyszy ponownie, że dyskusja w Sojuszu na ten temat trwa, a pytanie o oddanie terytorium Rosji było już wcześniej podnoszone i nie jest żadną nowością. „Nie mówię, że tak musi być, ale to jest przecież możliwe rozwiązanie” – wyjaśnia Jenssen.

Już kilka chwil później w internetowym serwisie „Verdens Gang” pojawia się ów sensacyjny news, jasno pokazujący, że oficjalne oświadczenia Sojuszu w sprawie wojny na Ukrainie to jedno, a rzeczywista rozmowa sojuszników o przyszłości to coś całkiem innego. Norweska gazeta próbuje uzyskać komentarz

Fot. Almir Okun/AP/Eastnews, Wojciech Dąbek/Shutterstock.com



Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg nie chciał komentować słów swojego współpracownika

samemu Stoltenbergu, ale sekretarz generalny NATO, najwyraźniej zakłopotany, odmawia rozmowy z dziennikarzem.

Po południu we wtorek chyba w każdej gazecie i na każdym portalu informacyjnym na świecie można już przeczytać o szykowanej przez NATO dla Kijowa propozycji transakcyjnej: członkostwo w Sojuszu za Krym, Donbas, a może nawet Zaporże dla Rosji. I o tym, że ów sensacyjny projekt politycznego handlu ujawnił człowiek ze wszech miar kompetentny oraz dobrze poinformowany: zausznik Stoltenberga.

Projekt, wedle którego Ukraina miałaby „zrezygnować z terytorium”, a członkostwo w NATO uzyskać „w zamian” za to, jest oczywiście sprzeczny ze wszystkim, co do tej pory publicznie twierdzili liderzy Sojuszu. Po lipcowym szczycie w Wilnie ogłoszono, że członkostwo możliwe stanie się w przyszłości, ale tylko wtedy, gdy zostaną spełnione po temu warunki. Nikt tych warunków co prawda nigdy nie określił, ale spekulowano, że może tu chodzić o praworządność, walkę z korupcją czy generalnie „demokratyzację” Ukrainy, jak wykrętnie i niejasno formułował to prezydent Biden.

Nikom do głowy nie przychodziła jednak transakcja, wedle której takim warunkiem mogłaby być „rezygnacja” przez Kijów na rzecz Rosji z jakiejś części terytorium lewobrzeżnej Ukrainy. Przecież od wielu miesięcy wszyscy zachodni sojusznicy Ukrainy zarzekają się na śmierć i życie, że o kwestiach terytorialnych, jak i o czasie oraz warunkach hipotetycznych rozmów rozejmowych, zadecydować mogą wyłącznie władze w Kijowie. Teraz wysoki rangą dygnitarz Sojuszu mówi niemal wprost, że to tylko mydlenie oczu, a „rezygnacja z terytoriów” może być zewnętrznym dyktatem albo formą szantażu, w którym nagrodą

Krwawa i druzgocąca Ukrainę wojna może ustać pewnego dnia tylko przez proste zawieszenie broni na aktualnej linii frontu. Pewnego dnia obie walczące strony mogą zasygnalizować pośrednikowi, że któregoś tam dnia, o którejś tam godzinie przestaną na razie do siebie strzelać

za uległość miałyby się stać członkami w NATO.

WARIANT KOREAŃSKI

Nic dziwnego, że w Kijowie aż się zagotowało. Posypały się gniewne oświadczenia, wszystkie w jednakowym tonie. „Handel terytorium za parasol NATO? To niedorzeczność!” – pisał Mychajło Podolak, doradca Zelenskigo. To, co mówi Jenssen, to świadomy wybór klęski demokracji, podleganie globalnego przestępcy, ratowanie kremlowskiego reżimu, niszczenie prawa międzynarodowego oraz przeniesienie wojny na następne pokolenia. „Jeśli Putin nie poniesie miazdzącej porażki, reżim polityczny w Rosji się nie zmieni, a zbrodniarze wojenni nie zostaną

ukarani, to wojna z pewnością powróci z apetytem Rosji na więcej” – pisał Podolak. Sam pomysł publicznego dyskusowania o tego rodzaju brutalnym handlu „ziemia za NATO” musiał nie tylko dotknąć, lecz i upokorzyć polityczne przywództwo Ukrainy.

Potem były jeszcze jakieś tłumaczenia Jenssena, że zgłosił tylko swoją prywatną propozycję (tu przestraszony Norweg zaczął już kłamać w żywe oczy), co nie uspokoiło wcale gniewu Kijowa. Zatem jeszcze tamtego wtorkowego wieczoru NATO wydało oficjalną deklarację zaprzeczającą spekulacjom Jenssena. I można by na pozór uznać, że to jeszcze jedna burza w szklance wody wywołana przez jakiegoś niezbyt rozgarniętego urzędnika, nieumiejącego zachować dyplomatycznej ostrożności wobec dramatu rozgrywającego się na Ukrainie. Coś jak wybryk naszego Jasiny albo Przydacza, ale w tym przypadku zakończony zdezawuowaniem gamonia i oficjalnym wyjaśnieniem intencji, a więc swoistym politycznym happy endem.

Można by tak uznać, gdyby nie jedna, kluczowa w tej sprawie okoliczność: ta mianowicie, że norweski urzędnik z głupoty skomplikował jedyny realny scenariusz przerwania krwawej masakry na Ukrainie. Ten scenariusz (o czym pisałem już na tych łamach) to nie żadne negocjacje pokojowe ani traktat, w którym Kijów miałby z czegokolwiek „rezygnować”, a już zwłaszcza rezygnować z części terytorium własnego państwa. Jeśli Zelenski byłby na tyle niemądry, aby rozpocząć taką grę, to ryzykowałby tym, że zostanie zmieciony nie przez Moskale, ale przez bunt ukraińskich patriotów. Ten scenariusz to też nie żadne gwarancje tego czy innego mocarstwa dla Kijowa ani międzynarodowa konferencja, jak ostatnio w Arabii Saudyjskiej. I oczywiście również nie jednoznaczne zwycięstwo wojenne Moskwy albo Kijowa, bo jeśli tylko się na to zanosilo, to albo Kreml (w razie sukcesów Ukraińców), albo Biały Dom (jeśli zwyciężali Moskale) będzie gotowy podnieść wojnę na wyższy poziom, aby tylko zablokować jej militarne rozstrzygnięcie.

Krwawa i druzgocąca Ukrainę wojna może ustać pewnego dnia tylko przez proste zawieszenie broni na aktualnej linii frontu. Po prostu pewnego dnia obie walczące strony mogą zasygnalizować jakiemuś pośrednikowi (być może Turcji albo Chinom), że któregoś tam dnia, o którejś tam godzinie przestaną na razie do siebie strzelać. I to wszystko. Czasem nazywane jest to niezbyt dokładnie „wariantem koreańskim”, gdyż w 1953 r. w Panmunjomie obie walczące ze sobą Koree nawet się nie spotkały, a zawieszenie broni zawarły komunistyczny reżim Północy oraz Chiny z Ameryką. Moskwę skłonić może do tego świadomość, że nie ma militarnych środków, aby inwazję popchnąć istotnie dalej, w głąb Ukrainy, oraz krach finansowy, podobny do tego z roku 1998, czego pierwsze zwiastuny właśnie ostatnio zaczęły się pojawiać (przede wszystkim załamanie rubla). Ale Kijów wobec nieustannej groźby utraty niepodległości skazany jest na to, aby bić się do ostatniego zrujnowanego ukraińskiego miasta. Chyba że jakimś cudem pewnego dnia stanie się członkiem NATO, a na jego nieokupowanym terytorium zaczną stacjonować wojska amerykańskie.

Rzecz w tym, że taki scenariusz nie może zostać nazwany układem „NATO za terytorium”. To bowiem z góry wyklucza wszelką jego realność. Traktatowe zobowiązanie przyjęcia Ukrainy w poczet członków NATO w chwili ustania walk musiałoby mieć charakter bezwarunkowy, jeśli faktycznie przyczynić by się miało do przerwania działań wojennych. Na tym właśnie polega wielka wina uczestników wileńskiego szczytu Sojuszu, że nie tylko nie chcieli podjąć takiego zobowiązania, lecz jeszcze sformułowali z gruntu szkodliwą tezę o „warunkach”, jakie miałyby spełnić Ukraina. No to teraz lekkomyślny urzędnik z centrali NATO obnażył ów główny „warunek”, o którym debatuje się w gabinetach dyplomatycznych. Miałoby nim być oddanie Moskalom sporej części lewobrzeżnej Ukrainy.

KONSEKWENCJE SŁÓW JENSSENA

Duża szkodliwość wybryku Jenssena polega na tym, że wszyscy uczestnicy wielkiej gry o przyszłość Europy Wschodniej wiedzą doskonale, iż nie opowiadał on publiczności w Arendal jakiegś własnej bajki, ale powiedział prawdę o tym, o czym rozmawia się dziś w kwatrze głównej NATO. I rodzącą się na Zachodzie, ze wszech miar rozsądną kalkulację, wedle której twarde zobowiąza-

nie przyjęcia Ukrainy do Sojuszu może skłonić na przyszłość Zelenskiego do zawieszenia broni, sprzedał publicznie jako z gruntu niegodziwą transakcję albo i groźbę szantażu wobec Kijowa. Jeśli więc w Kijowie na Bankowej kiedykolwiek rozmawiano w ścisłym gronie o możliwości zawieszenia broni, to po wybryku Jenssena takich rozmów znów przez jakiś czas zapewne nie będzie.

Ale paradoksalnie, jeśli słowa Norwega potraktować jako wiarygodny przeciek z rozmów toczonych w NATO-wskich gabinetach dyplomatycznych, to jest to w istocie „good news”. Czyli bodaj pierwszy publiczny sygnał otrzeźwienia zachodnich sojuszników, powoli przyjmujących do wiadomości oczywistość, że bez zobowiązania do członkostwa Ukrainy wojna nie skończy się nigdy, a Zachód będzie musiał *ad infinitum* zbroić armię ukraińską. Norweski gamoń z jednej strony ujawnił bowiem istotną rzecz – że sojusznicy chyba po raz pierwszy zaczynają budować rozumne i uczciwe podwaliny pod zaprowadzenie pokoju na Wschodzie. Z drugiej zaś – skomplikował tę pracę nad zaprowadzeniem pokoju, nadając jej formę z gruntu niegodziwej, a przez to niemożliwej do akceptacji przez Ukraińców transakcji.

Jenssen mówi przy tej okazji jeszcze jedną, bardzo rozsądną rzecz – że nie wystarczy powtarzać, iż Ukraina sama zdecyduje, kiedy i jak negocjować warunki rozejmu, ale trzeba też mieć w NATO wizję. Teraz najbliższy współpracownik Stoltenberga mówi, że trzeba mieć jakieś przemyślenia na temat tego, jak będzie wyglądała sytuacja bezpieczeństwa Ukrainy po zakończeniu wojny.

REKLAMA



Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać

"Wywiad z człowiekiem"
Paweł Kęska
wtorek, godz. 22.00

56.0723/F

Jak zmieniał się polski przemysł obronny w okresie ostatnich 8 lat?

Zbliżamy się do trzeciego roku wojny na Ukrainie. Agresja rosyjska zdefiniowała obecną sytuację geopolityczną Polski, mając ogromny wpływ na większość procesów gospodarczych w naszym kraju. To, że Polska mogła odpowiedzieć na potrzeby broniącej się Ukrainy nie było dziełem przypadku



ARKADIUSZ SIWKO

Od końca 2015 r. wdrożono systematyczną odbudowę polskiego przemysłu obronnego, by przygotować odpowiednią infrastrukturę na potencjalny konflikt zbrojny w Europie. Polska jako jeden z pierwszych krajów dostrzegających rosnące zagrożenie rosyjskie podjęła w tym celu konkretne działania.

ZDOLNOŚCI PRODUKCYJNE

Początki nie były łatwe. Najpierw trzeba było zmienić podejście do polskiej armii i krajowego przemysłu obronnego. Strategia Bezpieczeństwa Narodowego przyjęta pod patronatem Bronisława Komorowskiego zakładała, że jedynym poważnym zagrożeniem w Europie będzie terroryzm, a w związku z tym nie będzie potrzeby utrzymywania całego kompleksu zakładów przemysłu obronnego.

Zakładając błędnie, że w Europie nie wydarzy się żaden konflikt zbrojny za-

grazający bezpieczeństwu Polski, wygaszano tradycyjne zakłady przemysłu obronnego. Wiele z nich praktycznie nie było zdolnych kontynuować swojej pracy, utrzymując się niemal wyłącznie z wymuszanej przez związki zawodowe kropłówki budżetowej.

Smutnym przykładem takiego stanu rzeczy była Stocznia Marynarki Wojennej. Niegdyś chluba polskiego przemysłu stocznioowego, w 2015 r. znajdowała się w oficjalnym stanie upadłości zarządzana przez syndyka sądowego. Odeszli z niej praktycznie wszyscy specjaliści, a wyprzedaż infrastruktury stoczniowej trwała w najlepsze. Dzisiaj przejęta przez państwo jako Stocznia Wojenna przyjmuje do pracy i przygotowuje się do budowy trzech ultranowoczesnych korwet w programie Miecznik.

Utrzymano zdolności produkcyjne zakładów w Stalowej Woli, Poznaniu, Gliwicach i Radomiu, kierując tam od 2016 r. nowe zamówienia. Przewidujące nadchodzące zagrożenie decyzje z tamtego okresu skutkowały przygotowaniem zakładów do zwiększenia produkcji po wybuchu wojny na Ukrainie. Gdyby ich nie utrzymano, Polska nie miałaby co wysyłać na Ukrainę (nie mówiąc o własnych zadaniach obronnych). Dzięki temu zakłady te mogły po wybuchu wojny na Ukrainie szybko podjąć wypełnienie gwałtownie wzrastających zamówień.



Polski sprzęt został zaprezentowany na realnym teatrze wojennym, uzyskując znakomite recenzje. Przez wiele lat po 1989 r. narzekaliśmy na niewystarczające wykorzystanie potencjału eksportowego polskiego uzbrojenia. Po części słusznie. Jednak Polska nie uczestnicząc w większości światowych konfliktów, nie była w stanie zademonstrować skuteczności i jakości produkowanego w kraju sprzętu. Niestety dopiero realna wojna na Ukrainie i polska pomoc sprzętowa ukazały z całą powagą zalety i jakość polskiego sprzętu obronnego i polskiej myśli technologicznej. Świat zachwycił się polskimi Krabami, Piorunami, a także karabinkami Grot – całkowicie naszej technologii. Wreszcie polska myśl technologiczna została pokazana i zdecydowanie wyszła z tej konfrontacji zwycięsko.

NOWE ZADANIA I TRANSFER TECHNOLOGII

Jedną z najważniejszych decyzji dotyczących polskiej obronności w ostatnich ośmiu latach było uruchomienie dostaw amerykańskich systemów przeciwlotniczych Patriot oraz podjęcie realnych zamówień w programie systemów przeciwlotniczych średniego zasięgu Narew. W obu przypadkach polski przemysł obronny będzie częścią tych systemów uzbrojenia. Jeżeli zostaną uzupełnione o program amunicji



krążącej, to będziemy mieli system realnie chroniący polskie niebo. Jak pokazał teatr wojenny na Ukrainie, to właśnie ochrona infrastruktury z powietrza jest najważniejszym elementem współczesnej wojny.

System skutecznego działania w powietrzu został uzupełniony poprzez kolejne zamówienia amerykańskich samolotów bojowych nowej generacji F-35 oraz sprawdzonych na innych teatrach wojennych atakujących śmigłowców Apache. Wydaje się, że należałoby zwiększyć jeszcze stan posiadania w powietrzu śmigłowców wielozadaniowych, których zakłady produkcyjne znajdują w Polsce.

Osobnym rozdziałem są zakłady przemysłu obronnego w Gliwicach i Poznaniu, które utrzymywały i rozbudowały swoje zdolności produkcyjne systemów czołgowych. Mam nadzieję, że dla utrzymania zdolności bojowej nowej generacji Leopardów uda się utrzymać współpracę z Niemcami w tej sprawie. Nie jest ona najlepsza w ostatnim okresie, ale nie sposób oprzeć się wrażeniu, że strona niemiecka po prostu nie jest wystarczająco zainteresowana wzmacnianiem polskiego potencjału obronnego własnymi technologiami. Czas pokaże czy trudności w relacjach pomiędzy przemysłem polskim i niemieckim w tej sprawie są kwestią okresową, czy trwałą polityką niemiecką.

Obecnie nie to jest jednak najważniejszy problem dla polskiego przemysłu obron-

nego oraz naszej zdolności bojowej. Dziś jest nim wkomponowanie czołgów zupełnie innego systemu, czyli amerykańskich Abramsów. Tych ultranowoczesnych maszyn nigdy wcześniej nie mieliśmy w Polsce. Będzie to nie lada wyzwanie, ale jednocześnie szansa dla naszych zakładów przemysłowych. Już teraz należy przygotować firmy do współpracy z tym nowym systemem czołgowym.

Być może najbardziej niedocenianą decyzją jest zamówienie dwóch satelitów obserwacyjnych z przeznaczeniem wojskowym. Bez nich nasza obrona byłaby głęboko niewystarczająca. Przez lata zapomniano o tym. Zakładano, że wystarczą nam nasi sojusznicy do czytania nieba i najbliższej okolicy Polski. Niezależne państwo musi mieć jednak własne oczy. Po 30 latach od transformacji ustrojowej 1989 r. dopiero teraz Polska zdecydowała się na taką inwestycję. To olbrzymi krok w kierunku zachowania suwerenności. Należy zrobić wszystko, by wkomponować w realizację systemów satelitarnych polskie kompetencje przemysłowe rozwijane zarówno w grupie PGZ, jak i Polskiej Agencji Kosmicznej.

CZY WSZYSTKO SIĘ UDAŁO?

Trzeba powiedzieć, że nie udało się w zadowalający sposób rozwinąć kompetencji

produkcji dużych dronów bojowych, mimo istnienia w Polsce paru zakładów przemysłowych, które mogłyby wspólnie pokusić się odpowiednią produkcję. Być może jest to kwestia niedalekiej przyszłości.

Osobnym zagadnieniem, które wciąż czeka na wdrożenie, są okręty podwodne najnowszej generacji. Polska kilkakrotnie przymierzała się do tego zadania, zawsze jednak nie decydowano się na rzeczywisty krok. W chwili obecnej ponownie przymierza się do wdrożenia programu budowy tych okrętów w programie Orka z wykorzystaniem kompetencji polskich zakładów przemysłowych i stoczniowych.

PRZYSPIESZONE ZAKUPY

W związku z poważnym zagrożeniem ze strony Rosji Polska była zmuszona do dokonywania przyspieszonych zakupów sprzętu wojskowego, który mógłby z dnia na dzień uzupełnić potencjał obronny. Pojawił się w Polsce i będzie pojawiał dalej sprzęt różnych systemów uzbrojenia. Wyzwaniem staje się zatem wkomponowanie tego sprzętu w system zarówno samej armii, jak i naszego przemysłu. Serwisowanie różnych systemów, nie mówiąc o ich produkcji, nawet w poszczególnych komponentach, będzie trudnym zadaniem.

Aby temu sprostać niezbędny będzie realny wzrost mocy przerobowych naszych zakładów. Do tego potrzebne będzie uruchomienie inwestycji w nowy park maszynowy. Przyjęta Ustawa o obronie ojczyzny daje możliwości uruchomienia takich inwestycji, ale trzeba się spieszyć.

Kolejnym wyzwaniem jest dopięcie transferu technologii, w tym technologii systemów satelitarnych. Pilne potrzeby strategiczne nie mogą ich zahamować. Przemysł obronny jest na całym świecie kołem zamachowym gospodarki i trzeba dopilnować, by także najnowsze zakupy uzbrojenia podnosiły kompetencje technologiczne naszego własnego przemysłu.

Wszystko jest w naszych rękach. Najbliższy horyzont czasowy pięciu lat zamknijemy albo przygotowaniem kraju na najgorsze, a temu służy przemysł obronny i armia, albo nie skończymy tego procesu i pozostaniemy w połowie drogi do bezpieczeństwa, albo wręcz się cofniemy.

Autor jest byłym prezesem Polskiej Grupy Zbrojeniowej, ekspertem do spraw bezpieczeństwa

Nie tylko strach przed Rosją powinien nas łączyć

W wyniku zewnętrznej presji rumuńskie elity zajmujące się polityką zagraniczną i służbą bezpieczeństwa zdecydowały się na model polski w stosunkach z Ukrainą. I to pomimo fascynacji polityką zagraniczną Viktora Orbána, modelem, który mógłby się przyjąć w Rumunii, bo przypomina politykę Ceaușescu

Z prof. Armandem Goșu, rumuńskim sowietologiem, rozmawia Małgorzata Wołczyk

O Rumunii – „łacińskiej wyspie na morzu Słowian” – Polacy wiedzą niewiele. I chyba to nas paradoksalnie łączy: zarówno Rumuni, jak i my, Polacy, patrzymy przede wszystkim na Zachód i mniej nas interesują słowiańscy sąsiedzi. A może się mylę?

Armand Goșu: Wcale. Tak przynajmniej jest z Rumunami. W przeciwieństwie do Polski, która była potęgą europejską, państwem o powierzchni nieporównywalnie większej niż którekolwiek z księstw rumuńskich, głównym sukcesem Rumunów jest to, że udało im się przetrwać jako państwo. Podręczniki szkolne skupiają się na konfliktach z sąsiadami, dlatego Polska przedstawiona jest raczej neutralnie. Dopiero z historii współczesnej młodzi ludzie dowiadują się o sojuszu rumuńsko-polskim, o ucieczce polskiego rządu do Rumunii jesienią 1939 r. To jednak nie wystarczy, aby wzbudzić sympatię czy zacieśnić więź. Kontakty moich studentów z młodymi Polakami podczas wyjazdów Erasmusa pokazują, że także w Polsce nie ma szczególnego zainteresowania Rumunią.

Ja akurat mogę pokazać zdjęcia z dzieciństwa, gdy byłam na wakacjach w rumuńskiej Mangalii, ale nie da się ukryć, że byłam tam z rodzicami, bo skazani byliśmy na wspólny „barak” w bloku komunistycznym. Co właściwie możemy sobie zaoferować jako kraje?



Powinniśmy zacząć od lepszego poznania się. Informacje o Polsce w rumuńskich mediach czerpane są z prasy angielskiej, francuskiej, niemieckiej, a nawet rosyjskiej. To samo dzieje się z Rumunią w polskiej prasie. Wybory parlamentarne za kilka miesięcy mogą być dobrą okazją, by zacząć nowy etap. Obie ambasady mogłyby zaangażować się w organizację wizyt dziennikarzy i korespondentów w celu lepszego informowania. W przyszłym roku w Rumunii odbędą się trzy rodzaje wyborów, więc polskie redakcje mo-

głyby wysłać korespondentów do Rumunii i to na cały rok. Pomogłoby to również w wykształceniu dobrze zorientowanych w realiach obu krajów ekspertów nie tylko w dziedzinie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, ale pełniących rolę przewodników dla opinii publicznej. Uczelnie i szkoły średnie powinny organizować wymiany, aby w ten sposób wzbudzić wzajemne zainteresowanie i zbudować trwałe, długofalowe partnerstwo między naszymi narodami. Nie tylko strach przed Rosją powinien nas łączyć.

**No właśnie, na razie to główne spo-
tawo, chociaż tylko Polacy uważani
są na Zachodzie za rusofobów. Jak
opisałby pan profesor stosunek Ru-
munii do Rosji?**

Po przystąpieniu Rumunii do NATO i UE dla biurokracji kontrolującej politykę zagraniczną w Bukareszcie (wywodzącej się niemal bez wyjątku z komunistycznej nomenklatury i byleją Securitate) poprawa stosunków z Rosją była prawdziwą obsesją. Nie udało im się zająć zbyt daleko z powodu prezydenta Traiana Băsescu i centroprawicowych rządów, które tradycyjnie mają chłodne stosunki z Rosją. Jednak po dojściu do władzy rządu Victora Ponty w 2012 r. podjęto wiele kroków w celu ożywienia relacji z Rosją. Dopiero po aneksji Krymu i unijnych sankcjach wobec Rosji zahamowano ten trend w relacjach z Kremlem. Rumunia zaczęła realizować politykę NATO i UE. Kolejna próba wznowienia relacji z Moskwą przez Bukareszt miała miejsce jesienią 2021 r., ale rosyjska inwazja na Ukrainę ponownie wymusiła zawieszenie tego projektu. Rumunia i Polska mają więc odmienne podejście do relacji z Rosją. Nikt w Warszawie chyba nie wyobraża sobie, że Bukareszt podziela wizję polskiej polityki wschodniej. Polska ma chwalebny historię bitew z Wielkim Księstwem Moskiewskim o kontrolę nad Europą Wschodnią, podczas gdy rumuńska pamięć historyczna zachowuje tylko wielki strach przed Rosjanami. Strach, który do dziś dominuje w rumuńskim establishmentie, którego elita zresztą wywodzi się z pułków formowanych przez Sowietów w latach 1943–1944 na terenie ZSRR i który wniósł znaczący wkład w utworzenie komunistycznej dyktatury w Rumunii.

My, Polacy, mieliśmy poczucie osamotnienia w ostrzeganiu świata przed Rosją, ignorowano nasz przekaz o możliwej agresji. Czy obywatele Rumuni mieli poczucie nadchodzącej wojny?

Kilkakrotnie mówił o tym prezydent Băsescu, któremu zarzucano rusofobię i zimnowojenną mentalność. Pamię-

tam, że gdy brałem udział w różnych konferencjach międzynarodowych i analizowałem politykę zagraniczną Rosji na Morzu Czarnym czy w Republice Mołdowy, traktowano mnie podejrzliwie, a niektórzy koledzy z Francji czy Hiszpanii nawet mnie zjadliwie krytykowali ku radości obecnych tam Rosjan. Bukareszt był zawsze po przeciwnej stronie barykady, jeśli chodzi o stosunki z Moskwą. W kwietniu 1991 r. były prezydent Ion Iliescu podpisał traktat o przyjaźni z ZSRR, właśnie wtedy, gdy były państwa komunistyczne próbowały oderwać się od sowieckiej strefy wpływów. Ostatnio Rumunia przygotowywała się do wznowienia relacji z Rosją latem 2014 r., nie

Powinniśmy zacząć od lepszego poznania się. Informacje o Polsce w rumuńskich mediach czerpane są z prasy angielskiej, francuskiej, niemieckiej, a nawet rosyjskiej. To samo dzieje się z Rumunią w polskiej prasie

rozumiejąc zupełnie, że powrót Putina na Kreml oznacza zmianę nie tylko reżimu politycznego w Moskwie, ale także w sferze polityki zagranicznej Rosji. Czego to dowodzi? Zdolność establishmentu w Bukareszcie do właściwego zrozumienia wydarzeń w Moskwie i na obszarze jej wpływów jest znikoma. Rumunia została przyłapana na błędnej polityce, na szczęście musi teraz podążać za linią polityczną UE i NATO.

Czy w Rumunii obecne są nastroje antyukraińskie?

Owszem, opinia publiczna jest dość antyukraińska. W tym duchu była edukowana od dziesięcioleci przez MSZ i inne instytucje (np. służby specjalne). Nie mogło być inaczej. W Rumunii nie

mówiło się o zbliżającej się rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Wręcz przeciwnie, politycy mówili, że Putin jest racjonalnym graczem, który będzie negocjował pokojowo. Na kilka godzin przed inwazją wiceminister spraw zagranicznych skarcił w telewizji tych, którzy wspominali za międzynarodową prasą o zbliżającej się rosyjskiej inwazji. Jeśli polityka Bukaresztu wobec Moskwy była po prostu zła, to polityka Rumunii wobec Ukrainy była więcej niż fatalna. Z perspektywy elit w Bukareszcie to Ukraina jest dla Rumunii znacznie większym zagrożeniem niż Rosja.

Historyczne resentymenty? Domyślam się, że ta wrogość jest powodem oszczędnej pomocy Rumunii dla Ukrainy od początku wojny.

To wynik naszej skomplikowanej historii. Od początku XX w. niektóre stowarzyszenia, opowiadające się za zjednoczeniem wszystkich Rumunów, rozpoczęły kampanię przeciwko Ukraińcom (Rusinom) mieszkającym na terenach, które Bukareszt uważał za swoje „historyczne terytoria” (np. Marmarosz czy Bukowina). Kampanie te, prawdopodobnie finansowane z pieniędzy francuskich i rosyjskich, miały na celu osłabienie sojuszu Rumunii z państwami centralnymi, zwłaszcza z Wiedniem. Tak więc przed przewrotem bolszewickim i powstaniem ZSRR istniało już u nas podłoże antyukraińskie. Jeszcze bardziej nasiliło się to po 1990 r. i rozpadzie ZSRR. W przededniu referendum na Ukrainie w sprawie jej niepodległości, które odbyło się 1 grudnia 1991 r., na wspólnym posiedzeniu obu izb parlamentu w Bukareszcie jednogłośnie przegłosowano deklarację, w której z jednej strony uznawano prawo narodu ukraińskiego do decydowania o własnym losie, ale podkreślano, że referendum „nie może być ważne w odniesieniu do terytoriów rumuńskich bezprawnie zaanektowanych przez byłą ZSRR”. Parlament wzywał tym samym rząd Rumunii do rozpoczęcia negocjacji w tej sprawie. Rząd rumuński przyjął również podobną deklarację, co w Kijowie odebrano jako potwierdzenie roszczeń

terytorialnych. Zapadł chłód we wzajemnych relacjach i dopiero po dojściu do władzy pierwszego centroprawicowego prezydenta stosunki między Rumunią a Ukrainą zaczęły się ocieplać. Niestety w 2001 r. relacje ponownie się pogorszyły. Oprócz krótkiego okresu po pomarańczowej rewolucji na Ukrainie stosunki między Bukaresztem a Kijowem charakteryzowały się rewizjonizmem, nawet historyczną zemstą. Pretekstem były prawa mniejszości rumuńskojęzycznej na Ukrainie. Na tym tle toczył się proces przed Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości w Hadze między Rumunią a Ukrainą w sprawie delimitacji szelfu kontynentalnego Morza Czarnego, który Bukareszt uczynił pretekstem do agresywnej antyukraińskiej propagandy. Prawdziwym cudem było więc to, że Rumunia w 2014 r. po aneksji Krymu nie zachowała się jak Węgry, pomimo zaszłości historycznych, wypędzenia dyplomatów i wrogich działań wywiadów obu krajów.

Ten „cud” był chyba jednak wynikiem dobrej analizy i nowej strategii?

W wyniku presji zewnętrznej rumuńskie elity zajmujące się polityką zagraniczną i służbą bezpieczeństwa zdecydowały się na model polski w stosunkach z Ukrainą. I to pomimo fascynacji polityką zagraniczną Viktora Orbána, modelem, który mógłby się przyjąć w Rumunii, bo przypomina politykę Ceașescu. Myślę, że Bukareszt dokonał takiego wyboru pod wpływem zamorskich partnerów, którzy postawili Rumunię w roli filaru wschodniej flanki NATO, obok Polski. Ale nie było to łatwe dla władzy w Bukareszcie, która chciałaby zachowywać się jak Orbán, a jednocześnie być chwalebna przez zachodnich partnerów jak Polska. Stąd taka rozedrgana postawa Rumunii w ciągu 18 miesięcy od ataku Rosji na Ukrainę. Bukareszt nie chce zawieść swojego zagranicznego sojusznika, ale nie chce też zbyt denerwować Rosji czy Chin, z którymi łączy go wieloletnie przyjaźnie, sięgające czasów Chruszczowa i Mao. Paradoksalnie mała Mołdawia zajęła znacznie bardziej stanowcze i zdecydowane stanowisko po stronie Ukrainy niż Rumunia.

Dobrze wiedzieć, choć wydawało nam się, że Rumunia postrzega zagrożenia podobnie jak Polska.

Tylko z pozoru Polska i Rumunia są do siebie podobne. Często mamy ochotę interpretować okres postkomunistyczny przez pryzmat okresu międzywojennego, postrzegając komunizm jako fatalny okres, ale bez konsekwencji. Tymczasem sytuacja jest inna w naszych krajach. Mówimy o zupełnie innych elitach, które u nas mają zakorzenienie w komunizmie. To one są głównymi beneficjentami po obaleniu Ceașescu i kontrolują wszystko. Zachodnim partnerom to nie przeszkadza, wręcz są zadowoleni, wiedząc, że mainstream jest lojalny wobec hegemonu, tyle że dziś jest nim USA, jutro – kto wie, może Chiny?

Jak pan profesor myśli, jak zakończy się wojna na Ukrainie?

Ta wojna może zakończyć się tylko zwycięstwem Ukrainy. Zdefiniujmy zwycięstwo Ukrainy: 1. Ukraina przetrwa jako niepodległe i suwerenne państwo; 2. Ukraina zostanie zintegrowana ze światem euroatlantyckim, choć celem Putina było utrzymanie Ukrainy w rosyjskiej strefie wpływów. W idealnej sytuacji Ukraina powinna wypędzić rosyjskich najeźdźców i powrócić do swoich uznanych międzynarodowo granic z 1991 r. Problem nie leży po stronie zdeterminowanej do walki Ukrainy, ale Zachodu, przede wszystkim USA, które obawiają się, że porażka Moskwy może doprowadzić do upadku Rosji i uruchomienia skomplikowanego procesu politycznej rekonfiguracji w obszarze euroazjatyckim. Głównym zmartwieniem Waszyngtonu jest utrzymanie *status quo* i zachowanie pozycji hegemonu. Dla Chin też ważne jest, aby Rosja nie została pokonana. Z tą istotną różnicą, że USA wspierają Ukrainę i chcą jej zwycięstwa, ale obawiają się konsekwencji porażki Rosji. Dopóki Rosji pomagają Chiny, Putin będzie kontynuował wojnę, tym bardziej że Zachód z różnych powodów nie zbroi na serio Ukrainy, by mogła pokonać Rosję. Dla Moskwy decydujące będą najbliższe miesiące. Putin liczy na zamrożenie wojny i czeka na wybory w USA w nadziei, że uda mu się

wynegocjować z nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych podział stref wpływów w Europie Wschodniej, bo już wie, że nie może wygrać tej wojny ani osiągnąć celów, dla których rozpoczął tę inwazję. Dlatego próbuje odroczyć porażkę, zamrażając linię frontu, szukając Mińska 3.0. Putinowi marzy się sprzyjający kontekst, który pozwoli mu osiągnąć strategiczny cel. Putin jest w bardzo dobrej sytuacji, bo ani Chiny, które pomagają Rosji, ani Zachód, który wspiera Ukrainę, nie chcą upadku Rosji.

A jako uznany sowietolog, jak ocenia pan zagrożenie dla Polski?

Nawet jeśli potwierdzi się informacja, że najemnicy Wagnera zostali ewakuowani z terenu Białorusi, Polska pozostaje ulubionym celem Rosji. Warszawa to tradycyjny kierunek rosyjskiej ekspansji na Zachód. Powtarzające się groźby pod adresem Polski ze strony rosyjskich urzędników mogą mieć też związek z polską kampanią wyborczą, ale są one skierowane przede wszystkim do Rosjan. To raczej efekt szczytu w Wilnie, kiedy Putin wyczuł słabość Zachodu. Rosyjscy urzędnicy będą krzyczeć, będą grozić, ale na więcej się nie odważą. Sama Polska, nawet bez wsparcia sojuszników z NATO, jest zbyt twardym orzechem do zgryzienia dla dzisiejszej Rosji. 

Armand Goșu – sowietolog, profesor nadzwyczajny polityki rosyjskiej, historii politycznej i dyplomatycznej Imperium Rosyjskiego i ZSRR na Wydziale Nauk Politycznych Uniwersytetu w Bukareszcie (od 2004). W latach 2010–2012 był doradcą rumuńskiego MSZ. Był też moskiewskim korespondentem BBC World Service w latach 1995–2000. Obecnie jest członkiem Global Focus Center, członkiem stowarzyszonego DGAP (Niemiecka Rada Stosunków Międzynarodowych) oraz specjalnym doradcą ROEC (Rumuńskie Centrum Energii). Był koordynatorem programowym Rumuńskiego Instytutu Historii Najnowszej (2002–2004) oraz pracownikiem naukowym N. Iorga Instytutu Historii Akademii Rumuńskiej (1991–2001).

Beatyfikacja rodziny Ulmów będzie precedensowa

Dla Józefa i Wiktorii pomoc bliźniemu nie była tylko zapisem w Biblii – mówi dr Mateusz Szpytma, wiceprezes IPN, pochodzący z Markowej na Podkarpaciu, krewny Wiktorii Ulmy, w rozmowie z Jaromirem Kwiatkowskim

Beatyfikacja rodziny Ulmów, która odbędzie się 10 września w Markowej, budzi ogromne zainteresowanie różnych środowisk. Zaskoczyło to pana?

Dr Mateusz Szpytma: Trochę się spodziewałem tego zainteresowania, ale zaskoczyło mnie, że jest ono aż tak wielkie. Bardzo cieszy, że tak wiele instytucji, na czele z panem prezydentem i jego kancelarią, włącza się nie tyle w same uroczystości beatyfikacyjne, bo to jest sprawa Kościoła, ile w wydarzenia towarzyszące beatyfikacji.

Mówiąc o rodzinie Ulmów, występuje pan w potrójnej roli. Jest pan historykiem pochodzącym z Markowej, ale jest też pan spokrewniony z Wiktorią Ulmą.

To prawda. Z tym że, pisząc o Ulmach, widzę siebie przede wszystkim w roli osoby, która profesjonalnie zajmuje się historią. Staram się, by związki rodzinne nie wpływały na oceny naukowe, choć myślę też, że owe związki mają duży wpływ na moją determinację badawczą. A samą beatyfikację przeżywam bardzo osobiście.

Pana babcia i Wiktorcia Ulma były siostrami, a Wiktorcia była ponadto mamą chrzestną pana taty.

W moim domu rodzinnym zachowało się wiele zdjęć, które Józef Ulma razem z Wiktorią podarowali mojej babci. Tata wspominał, że w czasie wojny był wysyłany do Ulmów z żywnością. Jego mama, a moja babcia, chciała w ten sposób pomóc siostrze, gdyż Ulmowie należeli do rodzin niebogatych. Józefi Wiktorcia mogli liczyć na pomoc krewnych z jednej i drugiej strony, choć niewielu z nich zdawało sobie sprawę, że pomagają tym samym również innym domownikom. A wracając do relacji rodzinnych – jeszcze w latach 80. wraz z rodzicami odwiedzałem dom rodzinny Wiktorii, by spotkać się z krewnymi.

Co było bezpośrednim impulsem do tego, że tak bardzo głęboko zainteresował się pan dziejami Ulmów?

W 2003 r. pojechałem do Markowej, do rodziców, na Święta Wielkanocne. Podczas mszy św. usłyszałem z ust ks. proboszcza Stanisława Lei, że Kościół rozważa rozpoczęcie procesu bea-

tyfikacyjnego rodziny Ulmów. Ta informacja mną wstrząsnęła: tu, w Markowej, proces beatyfikacyjny? Zdałem sobie sprawę, że choć jestem historykiem, niewiele wiem na temat rodziny, która przecież jest ze mną spokrewniona. Postanowiłem wówczas, że muszę zachęcić Markową do zbudowania pomnika poświęconego rodzinie Ulmów. Zdecydowałem też, że napiszę poważniejszy artykuł naukowy na ich temat. Tak się stało. Pomnik został zbudowany, a po owym artykule powstały książki, po polsku i angielsku.

Pomnik odsłonięto w 2004 r. Podobno, żeby go wybudować, nie trzeba było pozyskiwać żadnych funduszy z zewnątrz.

Na pomnik nie poszły żadne fundusze spoza Markowej. Powstał on staraniem samych mieszkańców i gminy Markowa, z dużym zaangażowaniem ówczesnego wójta Zbigniewa Kuźniara. To było coś niesamowitego, że w takim, można powiedzieć, zrywie społecznym udało się bardzo szybko wybudować ten

pomnik. Był on gotowy do odsłonięcia już w uroczystość Wszystkich Świętych w 2003 r., ale ostatecznie został odsłonięty 24 marca 2004 r.

Czyli w 60. rocznicę śmierci rodziny Ulmów. Co spowodowało, że pojawił się pomysł zorganizowania muzeum?

Na odsłonięcie pomnika przyjechał Abraham Izaak Seagal, jeden z ocalałych z Holocaustu w Markowej. Wzbudziło to wielkie zainteresowanie mediów, także ogólnopolskich. Później Seagal zaczął zachęcać młodzież z Izraela do przyjazdu do Markowej. Jego synowa, wicedyrektorka jednej ze szkół w Jeruzolimie, również przywoziła tu uczniów. Do miejscowości, która nie była przyzwyczajona do tego, że pojawiają się w niej osoby z zagranicy, zaczęli przyjeżdżać bardzo licznie Żydzi. W samym tylko 2005 r. Markową odwiedziło ok. 5 tys. młodych Izraelczyków. To był impuls, który naprowadził mnie na to, że warto ich zatrzymać, by dowiedzieli się więcej o tej historii. Tak w 2007 r. narodził się pomysł utworzenia muzeum, które pierwotnie miało być poświęcone wyłącznie rodzinie Ulmów. W tamtym czasie ukazała się jednak książka prof. Elżbiety Rączy o pomocy Żydom na Rzeszowszczyźnie, wydana przez rzeszowski oddział IPN. Wówczas stwierdziłem, że to powinno być nie tylko Muzeum Rodziny Ulmów, lecz Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów. Z tym pomysłem wraz z radnym wojewódzkim Bogdanem Romanikiem skierowaliśmy nasze kroki do władz samorządowych województwa podkarpackiego. W czerwcu 2008 r. sejmik jednogłośnie przyjął uchwałę intencyjną w tej sprawie, co oznaczało, że władze samorządu wojewódzkiego wzięły tę inwestycję pod swoją pieczę. Wówczas zostały podjęte kluczowe decyzje. Sprawa ruszyła z impetem zwłaszcza po 2013 r., kiedy marszałkiem został Władysław Ortyl. Warto tu podkreślić, że bez ciągłego, wieloletniego wsparcia merytorycznego IPN to muzeum nigdy by nie powstało. Zostało ono otwarte w marcu 2016 r.

Przejdźmy do samej rodziny Ulmów. Wiemy, że Józef Ulma był postacią

nietuzinkową, ale pewnym zaskoczeniem była dla mnie lektura książki Marii Elżbiety Szulikowskiej „Wiktor Ulma. Opowieść o miłości”, która również Wiktorię pokazała jako nie-szablonową postać.

To była niesamowita rodzina. Jednocześnie byli to ludzie, którzy chcieli coś zrobić dla swojej społeczności, angażowali się w jej życie, służyli jej swoimi talentami. Zwłaszcza Józef miał tych talentów wiele. Zbudował małą elektrownię wiatrową, dzięki której jego gospodarstwo było jednym z pierwszych korzystających z energii elektrycznej. Miał w domu radio oraz sporą biblioteczkę, w której były książki o tematyce geograficznej, filozoficznej, historycznej, religijnej. Interesował się nowoczesnymi metodami upraw. Jednocześnie był człowiekiem zaangażowanym w działalność społeczną. Przewodniczył komisji wychowania rolniczego przy Zarządzie Powiatowym Związku Młodzieży Wiejskiej RP „Wici” w Przeworsku, gdzie organizował zawody na najlepsze uprawy. Z zamiłowania był fotografem, który wszystko dokumentował. Dzięki temu mamy znakomitą dokumentację życia rodziny. Wiktor Ulma była trochę w cieniu Józefa. Ale to zrozumiałe w przypadku kobiety, która wyszła za mąż w wieku niepełna 23 lat, urodziła sześciorgo dzieci i pięknie się nimi opiekowała. Wcześniej jednak, jako nastolatka, zdążyła już działać w amatorskim zespole teatralnym, ukończyć kursy na Uniwersytecie Ludowym w Gaci, a w 1931 r. wręczała wieniec dożynkowy Wincentemu Witosowi, gdy ten przyjechał do Markowej otworzyć dom ludowy.

Podłożem dramatu rodziny Ulmów była akcja „Reinhardt”, mająca na celu wymordowanie Żydów w Generalnym Gubernatorstwie.

Tak, to prawda. Niemcy podjęli decyzję o wymordowaniu wszystkich Żydów najprawdopodobniej jeszcze w 1941 r. W Generalnym Gubernatorstwie zaczęli realizować akcję „Reinhardt” w marcu 1942 r. Dotarła ona do Markowej w pierwszych dniach sierpnia. Żydom zabroniono przebywania w ich domach. Wszyscy mieli być wysiedleni do obozu pracy w Pełkiniach, a później się okazało, że także do obozu zagłady

w Belżcu. Ale zgłosiło się tylko kilka osób. Ponad 50 Żydów uciekło w lasy czy w inne niedostępne miejsca. Niemcy zarządzili ich poszukiwania. Mniej niż połowa została podczas tych łapanek znaleziona, natomiast 29 Żydów schroniło się w chłopskich domach. Ośmiu przyjęli pod swój dach Ulmowie.

Byli to: Saul Goldman i jego czterech synów – Baruch, Mechel, Joachim i Mojżesz – oraz dwie córki Chaima Goldmana, krewnego Saula: Golda Grünfeld i Lea Didner. Ta ostatnia z małą córeczką o imieniu Reszla.

Lea i Golda były sąsiadkami Ulmów, mieszkali niemal naprzeciwko siebie w dolnej części Markowej. Natomiast Saul Goldman i jego synowie mieszkali w Łańcucie. Józef Ulma utrzymywał z nimi przed wojną kontakty handlowe. Tak więc Ulmowie ukryli ludzi, których wcześniej znali.

Dla Ulmów była to na pewno sytuacja trudna. Z jednej strony musieli mieć świadomość, że ukrywając Żydów, narażają siebie na śmierć, a z drugiej – przyjęcie ośmiu osób dla tej nie-bogatej rodziny musiało powodować komplikacje natury bytowej.

Na pewno było to wielkie wyzwanie dla całej rodziny. Logistyczne i finansowe. Jestem pewien, że ci Żydzi musieli łożyć na swoje wyżywienie, bo ich utrzymanie przez samego Józefa nie byłoby możliwe. Jednocześnie wspierali Ulmów swoją pracą, bo wiemy, że Józef w czasie wojny miał nowe, zakazane przez okupantów zajęcia, mianowicie garbowanie skór. Żydzi, którzy pochodzili z rodziny rzeźniczej, na pewno znali się na tym fachu. Trzeba dodać, że w każdej wsi odbywał się pokątny ubój, z którego zostawały także skóry. Józef Ulma wyprawiał je wraz z tymi Żydami.

To pokazuje, że Żydzi musieli wychodzić ze swojego schronienia. Co zresztą zrozumiałe, bo przebywanie przez wiele miesięcy w niewielkiej kryjówce jest trudne do wyobrażenia.

Dom Ulmów był położony na uboczu i na górze, więc nie było możliwości, żeby ktoś na bieżąco obserwował, co się w nim dzieje. Każdy, kto do niego podchodził, był widziany z daleka.

Tak było do 24 marca 1944 r., kiedy na podwórku Ulmów pojawiła się niemiecka żandarmeria pod dowództwem Eilerta Diekena. Przyjmuje się, choć nie ze stuprocentową pewnością, że Niemcy przyszli tam w wyniku donosu Włodzimierza Lesia, granatowego policjanta z Łańcuta.

Badalem tę sprawę dość dokładnie. Polskie podziemie rzeczywiście podejrzewało o ten donos Włodzimierza Lesia, który wcześniej miał podobno nawet tym Żydom pomagać. Z dokumentów podziemia wynika, że Żydzi mieli się od niego domagać zwrotu swojego majątku, na co on nie chciał się zgodzić. To mogło być jedną z przyczyn ich dekonspiracji, choć jak było, do końca nie wiemy, bo nie mamy pełnej dokumentacji śledztwa zakończonego skazaniem Lesia na śmierć przez Polskie Państwo Podziemne. Czy to była śmierć za kolaborację z Niemcami, czy ta kolaboracja obejmowała też donos na rodzinę Ulmów.

Żandarmi zamordowali najpierw ukrywanych Żydów, później Józefa i Wiktorii, a na końcu ich dzieci. Wiem, że komando egzekucyjne nie było jednomyślne, czy zostawić dzieci przy życiu, czy nie.

Ze szczątkowych informacji wiemy, że mord na Żydach oraz Józefie i Wiktorii nie budził zastrzeżeń ze strony żadnego żandarma, ale pewne wątpliwości wzbudziło w niektórych rozstrzelanie dzieci. Decyzję w tej sprawie podjął Dieken. Czasami się zdarzało, że Niemcy rozstrzelali tylko tych, którzy byli świadkami tego, co się dzieje, a więc oszczędzali małe dzieci...

...które oddawano albo rodzinie, albo gromadzie. Tu zrobiono inaczej.

Sołtys Teofil Kielar, który po egzekucji został wezwany wraz z kilkoma mieszkańcami, aby wykopać doły do pogrzebania zamordowanych, z racji że znał komendanta z wcześniejszych kontroli, miał odwagę, by o to zapytać. Dieken cynicznie odparł: „Żeby gromada nie miała z nimi kłopotu”.

Jeden z żandarmów, Josef Kokott, miał podczas rozstrzeliwania krzyczeć do świadków: „Patrzcie, jak giną polskie świnię, które pomagają Żydom!”

To był jeden z najmłodszych żandarmów, bardzo okrutny. Osobiście zastrzelili trójkę czy czwórkę dzieci Ulmów.

Słowa Kokotta znamy z relacji jednego z woźniców, Edwarda Nawojskiego. Woźnice zostali wezwani m.in. z Kraczkowej, aby podwieźć żandarmów na miejsce egzekucji.

Dokładniej: znamy je z przesłuchania przez prokuratora i zeznań złożonych przez Nawojskiego pod przysięgą przed Sądem Wojewódzkim w Rzeszowie w roku 1958.

Eilert Dieken nie poniósł odpowiedzialności za swoje zbrodnie.

W sensie formalnym nie był nawet nazistą, gdyż nigdy nie był członkiem NSDAP. Był niemieckim policjantem przed wojną, w czasie wojny oraz później. Miał po niej kilkumiesięczny okres „kwarentanny”, podczas którego sprawdzano, czy nie popełnił w jej czasie jakichś zbrodni. Sprawdzanie było tak pobieżne, że nic nie wykazało. Został przywrócony do służby i niemal do końca życia służył w policji w niewielkiej miejscowości Esens przy granicy z Holandią. Zmarł kilka miesięcy po przejściu na emeryturę, którą zapewne wyliczono mu za każdy rok, także wojennej, służby.

Nie znamy motywacji Józefa i Wiktorii, gdy podejmowali decyzję o przyjęciu Żydów pod swój dach. W Biblii będącej ich własnością zostały zaznaczone fragmenty przypowieści o miłosiernym Samarytaninie oraz o przykazaniu miłości. Możemy domniemywać, że to wartości, którymi kierowali się Ulmowie.

To prawda. Szczegółów motywacji rodziny Ulmów nie poznamy chyba nigdy, dlatego że nie dzielili się nią z nikim. Zresztą w czasie okupacji byłoby to bardzo nieroztropne. Natomiast to, że znali tych Żydów sprzed wojny, że byli z nimi w dobrych relacjach i wiedzieli, co im grozi, może sugerować, iż decydujące były: przedwojenna znajomość i chęć uratowania im życia. Wiemy też, że Józef i Wiktorii żyli w sposób ewangeliczny. Byli czuli na krzywdę drugiego człowieka, pomoc bliźniemu nie była dla nich tylko zapisem w Biblii, lecz oni tym naprawdę żyli. Możemy przypusz-

czać z dużą dawką prawdopodobieństwa, że ich motywacją była pomoc bliźnim w potrzebie.

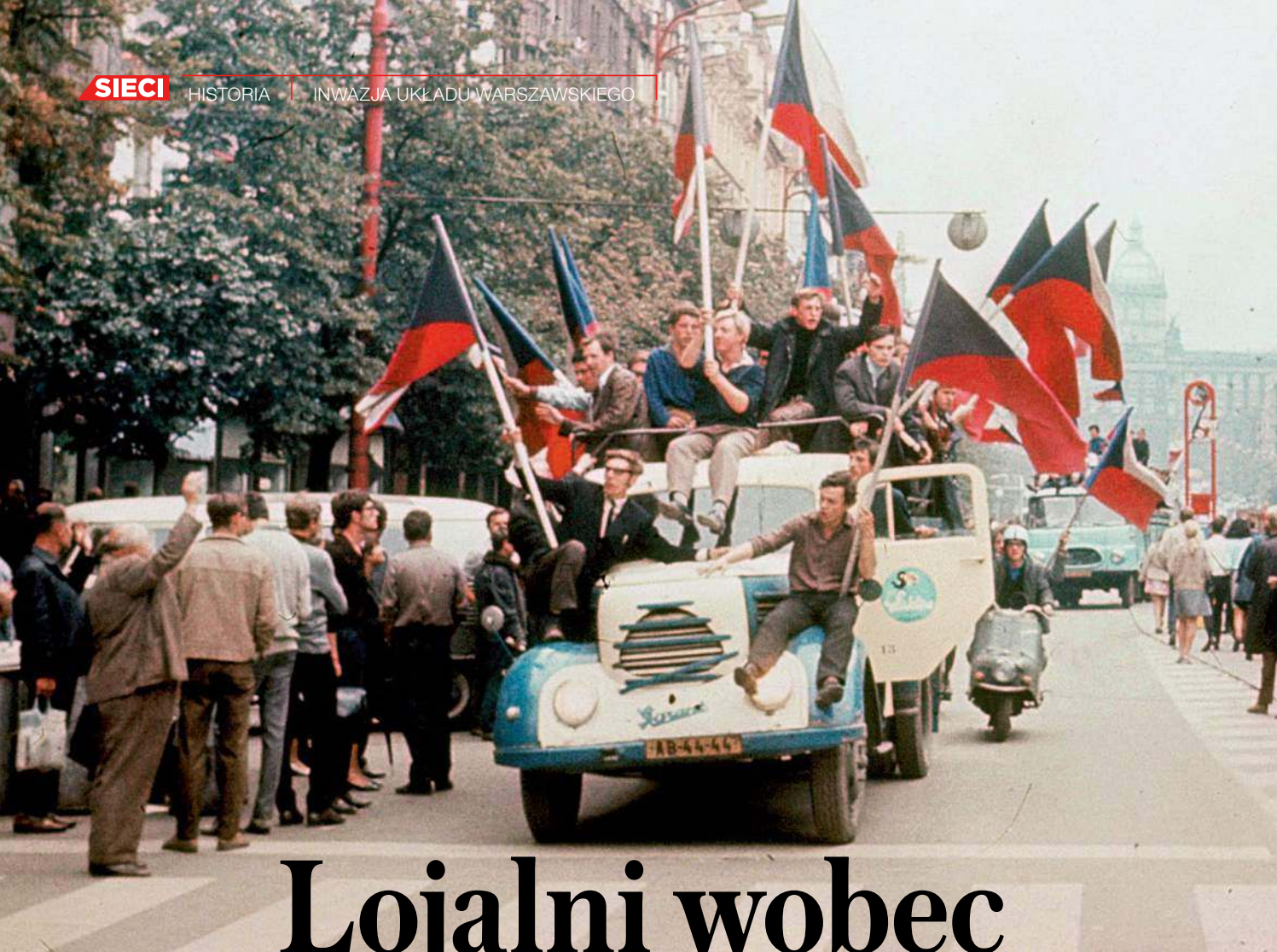
Beatyfikacja Ulmów będzie precedensowa.

Tak, ta beatyfikacja będzie rzeczywiście wyjątkowa. Po pierwsze, w jednym momencie będzie wyniesiona na ołtarze rodzina w komplecie. Niesamowitym precedensem będzie to, że siódme dziecko Józefa i Wiktorii, z którym była ona w zaawansowanej ciąży, podczas egzekucji zaczęło opuszczać jej łono. Zostało ono poddane chrztowi z krwi, a jednocześnie je zamordowano. Te fakty również powodują wielkie zainteresowanie tą beatyfikacją w świecie. To, co się dzieje wokół beatyfikacji rodziny Ulmów, stwarza szansę, by powiedzieć więcej o innych Polakach, którzy ratowali Żydów, nie tylko w Markowej, lecz i w całym okupowanym kraju; można powiedzieć więcej o sytuacji, jaka panowała w Polsce podczas okupacji niemieckiej, gdy za pomoc Żydom groziła śmierć. Obraz polskiej historii na Zachodzie od czasu II wojny światowej jest bardzo często wykrzywiany. Mam nadzieję, że historia Ulmów pokaże, jak niesprawiedliwe są opinie ukazujące relacje polsko-żydowskie podczas wojny w najczarniejszych barwach. Pokaże również, że nie było możliwości masowego ratowania Żydów przez Polaków, a każdy taki akt był wyrazem największej odwagi i poświęcenia.



Mateusz Szpytma, historyk, muzealnik, zastępca prezesa Instytutu Pamięci Narodowej

Fot. IPN



Lojalni wobec Czechosłowacji

Po inwazji wojsk Układu Warszawskiego (w tym Ludowego Wojska Polskiego) na Czechosłowację w nocy z 20 na 21 sierpnia 1968 r. w trudnej sytuacji znaleźli się Polacy w tym kraju, szczególnie ci, którzy tam pracowali

Jak pisano np. w raporcie Głównego Zarządu Politycznego WP z 19 września: „Od pierwszego dnia wkroczenia wojsk sojuszniczych [...] miały miejsce liczne wypadki obraźliwego i napastliwego stosunku obywateli CSRS do Polaków przejeżdżających przez Czechosłowację bądź czasowo tam przebywających”. Mimo to część naszych rodaków otwarcie wspierała południowych sąsiadów. I to na tyle dużą skalę, że wojskowi politycy



GRZEGORZ MAJCHRZAK

stwierdzali nawet: „Z uwagi na to, że w niektórych zakładach przemysłowych na obszarze działania 2. Armii WP oraz całej Czechosłowacji pracuje wiele

polskich robotników i robotników, wśród których aktywną działalność rozwijają kontrrewolucyjne elementy, a nieraz wykorzystują ich dla swych celów, istnieje potrzeba wzmożonego naszego na nich oddziaływania”. I – jak dodawano – „ze względu na ograniczone możliwości wojska w tym względzie istnieje potrzeba skierowania do większych obiektów pracowników partyjnych przygranicznych komitetów wojewódzkich, względnie powiatowych”.

Fot. Krystyna Archiwiz/East News



APELE DO POLSKICH ŻOŁNIERZY

Polacy zatrudnieni na terenie Czechosłowacji co najmniej kilkakrotnie zwracali się z różnymi apelami do polskich żołnierzy biorących udział w „bratniej pomocy”. I tak np. do dowództwa 2. Armii Wojska Polskiego wpłynął list, którego autorami mieli być robotnicy polscy okręgu Bruntál. Apelowali oni „do dowództwa armii, aby złożyło zobowiązanie, że żołnierze nie będą bić obywateli czechosłowackich i strzelać do nich”. Z kolei w Jičynie, gdzie 7 września 1968 r. doszło do najbardziej tragicznego incydentu związanego z udziałem LWP w inwazji – pijany szeregowiec Stefan Dorna zastrzelił dwoje Czechów, a kilka innych osób (w tym swoich kolegów, którzy próbowali go powstrzymać) zranił – dwa tygodnie wcześniej przed mikrofonem jednej z wielu nielegalnych rozgłośni wystąpiły dwie Polki zatrudnione w Czechosłowacji – Wiesława Moryń z Wołowa

i Helena Willas ze Złotoryi. Zaapelowały one – „w imieniu grupy robotników polskich znajdujących się w CSRS” – do żołnierzy polskich o zaprzestanie zbrojnej interwencji.

Niektóre Polki zatrudnione w województwie wschodnioczeskim podpisywały rezolucję potępiającą inwazję, a jedna z obywaterek PRL pracujących w miejscowości Nová Paka oświadczyła: „My, zatrudnione Polki, solidaryzujemy się z Czechami i jesteśmy przeciwko wkroczeniu wojsk polskich na teren CSRS”. I dodała, że niektóre Polki w geście solidarności z południowymi sąsiadami noszą w klapach miniaturowe flagi CSRS z nazwiskami przywódców Praskiej Wiosny (m.in. Aleksandra Dubczeka).

I tak rzeczywiście było – z tego powodu na polskiej granicy zatrzymano 25-letnią Kazimierę Tańską. Z kolei Zofia Szymkiewicz z Lubawki zatrudniona w zakładach Teflex pod Trutnovem zapewniała swoich czeskich współpracowników, że Polki pracujące w Czechosłowacji „są po ich stronie i przeciwstawiają się wojskom radzieckim i polskim tam przebywającym”. Również inny mieszkaniec Lubawki zatrudniony w miejscowości Horní Město wyrażał tam otwarcie swoją solidarność z Czechami, stwierdzając, że jest przeciwny temu, co się stało.

Obywatele PRL zatrudnieni na terenie Czechosłowacji nie ograniczyli się jednak jedynie do słownego czy biernego wsparcia. I tak np. „wrogie napisy” w Trutnovie wykonywał Polak, pochodzący prawdopodobnie z Zakopanego i zatrudniony w miejscowej fabryce części zamiennych. Z kolei za kolportaż ulotek na terenie Czechosłowacji odebrano Franciszkowi Kozimorowi, zamieszkałemu w Ruszywałdzie, przepustkę uprawniającą do przekraczania granicy. Zdarzały się nawet przypadki dobrowolnego udziału w budowaniu zapór i barykad – robiły to Polki zatrudnione w okolicy miasta Žamberk.

Bierni nie pozostali również nasi rodacy zamieszkali na terenie naszego południowego sąsiada.

PRÓBA OGNIOWA

Na łamach „Zwrotu” (miesięcznika Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Czechosłowacji) stwierdzano,

że inwazja wojsk Układu Warszawskiego z sierpnia 1968 r. była dla Polaków zamieszkałych w CSRS „próbą ogniovą”. Próba zdana. „Rzuciliśmy w kąt wszelkie animozje wobec Czechów i Słowaków, zapomnieliśmy przykrości, które nas nierzadko spotykały [...], a w obliczu wspólnego zagrożenia stanęliśmy w jednym szeregu z wszystkimi narodami zamieszkującymi naszą republikę” – pisano we wspomnianym czasopiśmie. I dodawano: „Można z czystym sumieniem powiedzieć, że wyszliśmy z niej z honorem. Przygniatająca większość nas, Polaków w Czechosłowacji, stanęła zdecydowanie po stronie legalnych władz państwowych”. Wyrazem tego była m.in. postawa wspomnianego związku, którego zarząd główny zadeklarował pod koniec sierpnia 1968 r.: „Zjednoczeni i solidarni z narodem czeskim i słowackim będziemy nadal stanowczo bronić naszego dążenia do wybudowania społeczeństwa opartego na zasadach socjalizmu humanistycznego i do pełnej suwerenności naszego kraju”. Zaapelował on również do Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej o „zrozumienie procesu odnowy socjalizmu w Czechosłowacji, który nie ma nic wspólnego z kontrrewolucją”. Jednocześnie wkroczenie Ludowego Wojska Polskiego na teren CSRS określił mianem tragicznej pomyłki, która jest wynikiem nieporozumienia. I postulował ich wycofanie.

Otwarcie po stronie Praskiej Wiosny opowiedział się również wydawany w Ostrawie dla ludności polskiej „Głos Ludu”, czyli organ Północno-Morawskiego Komitetu Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Na jego łamach ukazały się liczne proklamacje, artykuły czy oświadczenia skierowane przeciwko interwentom, co z kolei spowodowało, że został on objęty zakazem rozpowszechniania na terenie PRL. I tak np. 22 sierpnia 1968 r. na jego pierwszej stronie można było przeczytać deklarację redakcji: „W chwilach tak poważnych dla naszej ojczyzny, Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej, udzielamy pełnego poparcia Komitetowi Centralnemu Komunistycznej Partii Czechosłowacji z jego pierwszym sekretarzem

tow. A. Dubczekiem na czele, rządowi premiera O. Černika, Zgromadzeniu Narodowemu, Frontowi Narodowemu oraz prezydentowi republiki, bohaterowi ZSRR, gen. L. Svobodzie”. W tym samym numerze drukowano również oświadczenie zarządu głównego Stowarzyszenia Młodzieży Polskiej w Czechosłowacji, w którym ten stwierdzał, że „nie zgadza się z okupacją CSRS przez wojska państw zaprzyjaźnionych”, a także deklarował, iż „nadal popierać będzie politykę legalnego rządu czechosłowackiego na czele z gen. Ludwikiem Svobodą oraz Komitetu Centralnego KPCz na czele z Aleksandrem Dubczekiem”.

DLACZEGO PRZYCHODZICIE NOCĄ?

Swój sprzeciw wobec „bratniej pomocy” wyrażano również w prozie. I tak np. Wilhelm Przeczek i Władysław Sikora w wierszu pod wiele mówiącym tytułem „Paczemu?” pisali m.in.: „Dlaczego przychodzicie nocą? / Nieśliśmy przyjaźń i chleb na tacy / Bronicie nas przed nami, po co? [...] / Dlaczego przychodzicie nocą? / Zrywacie dzieci ze snu? / Po co nam chcecie skrzydła odciąć? / Pytamy: Paczemu??”.

W innym z kolei – pt. „Zostań człowiekiem” – Henryk Jasiczek apelował: „Kiedy ci gorycz ściśnie krtań / kiedy zdradzony zostaniesz sam / zostań człowiekiem [...] / Gdy ci przyjaciel napluje w twarz / przy twoich myślach postawi straż / zostań człowiekiem / Kiedy zostaniesz straszliwie sam / a wokół ciebie przemoc, fałsz i kłam / gdy leż zabraknie opuchłym powiekom / zostań człowiekiem”.

AKCJA ZBIERANIA PODPISÓW

Polacy zamieszkali w Czechosłowacji – podobnie jak ci zatrudnieni za naszą południową granicą – apelowali również o wycofanie polskich żołnierzy z CSRS. Akcję zbierania podpisów pod petycją do władz PRL przeprowadzono w miejscowości Albrechtice koło czeskiego Cieszyna – jej organizatorami byli Bronisław Milerski oraz Bronisław i Tadeusz Farnikowie. Do 6 września udało im się zebrać kilkanaście (19) podpisów.

Więcej, bo 150 podpisów, udało się zgromadzić wśród Polaków pracujących w zakładzie Kovona Karvina. W liście do Konsulatu Generalnego PRL w tym mieście pisali m.in.: „Odrzucamy stanowczo bezpodstawny akt agresji przeciwko naszej ojczyźnie [...]. Żądamy kategorycznie natychmiastowego wydania rozkazu wycofania waszych jednostek z naszego kraju”. I dodawali: „Jako Polacy, obywatele republiki czechosłowackiej, jesteśmy głęboko zaniepokojeni fałszywymi informacjami polskiego radia i telewizji. Żądamy stanowczo, aby wasze ośrodki informacyjne obiektywnie,

Niektóre Polki zatrudnione w województwie wschodnioczeskim podpisywały rezolucję potępiającą inwazję, a jedna z obywaterek PRL pracujących w miejscowości Nová Paka oświadczyła: „My, zatrudnione Polki, solidaryzujemy się z Czechami i jesteśmy przeciwko wkroczeniu wojsk polskich na teren CSRS”

zgodnie z prawdziwą sytuacją w naszym kraju informowały obywateli waszego państwa”.

Z kolei na pomysł dotarcia do naszych żołnierzy z prawdziwymi informacjami na temat wydarzeń w Czechosłowacji wpadli członkowie redakcji wspomnianego wcześniej „Głosu Ludu”. W tym celu przygotowali specjalne wydanie tej gazety, które kolportowała należąca do redakcji Władysława Krumnikłowa. Jeden z egzemplarzy wręczyła nawet Florianowi Siwickiemu, który dowodził polskimi wojskami biorącymi udział w inwazji. Tak to potem opisywała: „Przedstawiłam się i mówię: »W Czechosłowacji żyje 60 tys. Polaków, którzy byli tu od zawsze. I ja przyjechałam specjalnie,

żeby wam uświadomić, że wypad do Czechosłowacji był niepotrzebny. Tu się nic złego nie dzieje, tylko można było trochę łżej oddychać. Proszę przyjąć ode mnie nasz ‘Głos Ludu’ i przeczytać o wszystkim. Wtedy pan stwierdzi, że myśmy naprawdę nie chcieli nic złego«. General podał mi rękę i nawet gdy się z nim potem żegnałam, pocałował mnie w dłoń”.

Te gesty solidarności z Czechami i ze Słowakami oraz sprzeciwu wobec „bratniej pomocy” miały swoją cenę. W przypadku Polaków zatrzymanych z tego powodu przez polskie władze była to przede wszystkim utrata możliwości pracy za

południową granicą. Podobnie wyglądało to w przypadku naszych rodaków zamieszkałych w Czechosłowacji. I tak np. wspomniani wcześniej Jasiczek i Krumnikłowa stracili pracę i mieli problem ze znalezieniem nowej, o usunięciu z życia publicznego nie wspominając. Oboje również zostali objęci zakazem wjazdu na teren PRL. Tym zakazem objęto zresztą co najmniej kilkanaście osób (m.in. Adama Wiesława Bergera, Bolesława Duławę, Janusza Gaudyna, Władysława Niedobę, Przeczka, Sikorę czy Tadeusza Siwkę). Co więcej – część z nich nie mogła również publikować w polskiej prasie czy też pracować w polskich instytucjach na Zaolziu.

Jak gorzko wspominała po latach Władysława Krumnikłowa: „Po 1989 r. Polska przeprosiła Czechów za 1968 r., ale nas – Polaków z Zaolzia – nie przeprosił nikt [...]”.

Gdybym choć jedną różę dostała za to, co przeżyłam [Krumnikłowa ze względu na kontakty z Maciejem Kozłowskim, należącym do „taterników” przemycających na teren CSRS paryską „Kulturę”, trafiła w 1960 r. na niespełna trzy miesiące do więzienia – G.M.]. O to mam pretensje do wszystkich rządów, które rządziły w Polsce po 1989 r.”. Niestety tego nie doczekała – zmarła w 2007 r.

Trudno było tego jednak oczekiwać, skoro odwaga jej i wielu innych Polaków zamieszkałych za naszą południową granicą po inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację w sierpniu 1968 r. była i jest nadal szerzej nieznana...

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

K

ULTURY

To za sprawą Maïwenn, francuskiej aktorki, scenarzystki i reżyserki filmu „Kochanica króla Jeanne du Barry”, Johnny Depp trafił do Wersalu, zagrał króla Ludwika XV i pojawił się na festiwalu w Cannes, potwierdzając aktorski powrót do kina

Amerikanin w Wersalu

Fot. G. G. G.



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Kto jest najważniejszy w głośnym filmie „Kochanica króla Jeanne du Barry” (właśnie wchodzi do polskich kin)? Bynajmniej nie Johnny Depp, który za sprawą francuskiej produkcji, po trzech latach hollywoodzkiej banicji – efektu głośnego rozwodu z Amber Heard – powrócił na wielkie ekrany. Ani też reżyserka, scenarzystka i zarazem odtwórczyni tytułowej roli – Maïwenn. Najważniejszy, w całości spełniający pokładane w nim oczekiwania widzów, zachwycający, intrygujący i budzący zrozumiałe zaciekawienie jest... Wersal.

Maïwenn udało się zrealizować film w autentycznych wnętrzach (w pieczołowicie odtworzonych pomieszczeniach pałacu) i plenerach słynnej królewskiej rezydencji. Choćby dla samego Wersalu, sportretowanego w mikro- i makroskali, warto „Kochanicę króla” obejrzeć.

W SERCU XVIII WIEKU

Atmosfera miejsca, w którym powstały zdjęcia, zrobiła wielkie wrażenie nawet na obytym ze scenograficznym rozmachem Deppie. Aktor tak wspomina swoją pierwszą przechadzkę po Galerii Zwierciadlanej: „Wszystko, o czym marzyłem czy też fantazjowałem w związku z tym filmem i postacią Ludwika XV, nagle ożyło. Kostium, makijaż, etykieta... Poczulem się, jakbym wszedł w jego skórę, i byłem gotów rozpocząć tę ekscytującą podróż w czasie, którą wyobraziła sobie Maïwenn. Na długo zachowam w pamięci ten obraz. Jak gdybym nagle znalazł się w samym sercu XVIII wieku... tyle że wszystko pachniało o wiele lepiej niż w tamtych czasach. To luksus XXI stulecia!”

Swojego królewskiego bohatera charakteryzuje: „Spotkałem w życiu takich mężczyzn, których jedno spojrzenie sprawia, że wszystko rozumiesz.



I którzy w ten sposób budzą autorytet i strach. Nie muszą nawet otwierać ust. Ludwik XV, ze względu na swoją pozycję i osobowość, jest jednym z nich”.

Aktor zdradza, że tworząc ekranową postać, podążał śladami ważnych dla niego gwiazd kina niemego, takich jak Lon Chaney, Buster Keaton, Charlie Chaplin... ale też Marlona Brando, który „miał wyjątkowy język ciała”. „To dzięki analizie ich gry, a także latom spędzonym w kawiarniach na obserwacji współczesnych mi ludzi w prawdziwym życiu, cały czas pracuję nad tym rodzajem ekspresji, który wykracza poza słowa” – dodaje.

Depp opowiada o zaskoczeniu, gdy on, Amerykanin z krwi i kości, otrzymał propozycję zagrania króla Francji. Wspomina: „Poszperałem trochę, żeby się dowiedzieć, kto wpadł na taki pomysł i był na tyle szalony, żeby powierzyć mi rolę Ludwika XV, a potem obejrzałem wszystkie filmy Maïwenn. Przeczytałem też jej bardzo dobrze napisany i bardzo mocno ugruntowany w faktach scenariusz, w którym widać wszystkie zakulisowe rozgrywki ówczesnego Wersalu i elegancko zakamufLOWaną walkę o wpływy. Udało jej się bardzo zgrabnie połączyć wiek XVIII z teraż-

nieszością i uniknąć przy tym stosowania prymitywnych anachronizmów”.

Komplementując pracę Maïwenn, aktor dodaje: „Byłem naprawdę pod wrażeniem połączenia siły, odwagi i pasji, z jaką reżyseruje. Każdego dnia było jasne, że wie, dokąd zmierza – chociaż bycie zarazem reżyserką i odtwórczynią głównej roli w takim projekcie jest nie lada wyzwaniem!”.

NUMER JEDEN Z LISTY MARZEŃ

Propozycja zagrania w filmie „Kochanica króla...” była dla Johnnycgo Deppa ratunkową szalupą, szansą wyrwania się z zawodowego niebytu, do jakiego trafił po rozwodowym skandalu. Czy Maïwenn postanowiła wykorzystać sytuację i ściągnąć na plan niedostępnego jeszcze parę lat wcześniej hollywoodzkiego gwiazdora?

Reżyserka mówi, że przez trzy lata pisała scenariusz dla konkretnego francuskiego aktora, który w końcu odmówił nawet jego przeczytania. Kolejny kandydat propozycję szybko przyjął, ale potem zrezygnował z roli z powodów zdrowotnych. Wtedy stworzyła listę wymarzonych aktorów, abstrahując od kwestii granic czy języka. Nume-



rem jeden był Johnny Depp, głównie za sprawą ról w takich filmach jak „Edward Nożycoręki” czy „Benny i Joon”.

„Johnny ma w sobie coś z Bustera Keatona” – uważa Maiwenn. „Wyczulałam w nim też romantyczny aspekt tej postaci. Jego hiperwrażliwa strona dobrze korespondowała z moją wizją Ludwika XV w filmie”.

Jak się pracuje z kimś takim jak Depp? „Johnny jest człowiekiem wielu paradoksów. Potrafi być uroczy i łatwy we współpracy, ale kiedy coś go gryzie, nagle nie chce grać tego, co ma napisane”.

To „kłopotliwe zachowanie”, będące konsekwencją amerykańskiego systemu, w którym gwiazda ma pełną decyzyjność, a reżyser musi się do niej dostosować, udawało się zminimalizować. Maiwenn podkreśla, że wiele dały jej rozmowy z aktorem. Depp wniósł też do filmu całkiem sporo pomysłów, nie tylko tych istotnych.

CHANEL U KRÓLA

Zekranizowanie losów Jeanne Vaubernier – kobiety z nizin społecznych, która rozkochuje w sobie Ludwika XV, doprowadzając tym samym do dworskiego skandalu – stało się marzeniem Maiwenn już 17 lat temu, kiedy dostrzegła Jeanne du Barry, jako postać epizodyczną, w „Marii Antoninie” Sofii Coppoli. „Zakochałam się w niej i jej epoce. Zaczęłam zgłębiać jej biografię i już wtedy czułam przemożną potrzebę nakręcenia o niej filmu, ale na 10 lat odłożyłam te plany na półkę. Wydawało mi się, że nie jestem odpowiednią osobą do zajęcia się tym tematem. Jednak za każdym razem, gdy kończyłam pracę nad kolejnym filmem, wracałam do biografii Vaubernier” – mówi reżyserka.

Finalnie kostiumowa superprodukcja „Kochanica króla Jeanne du Barry” otworzyła tegoroczny festiwal w Cannes i choć nie okazała się kinowym wydarzeniem, to jednak niejeden filmowiec mógłby pozazdrościć Maiwenn warunków oraz otoczenia, w którym pracowała.

Nie tylko we Francji wrażenie zrobił udział w produkcji domu mody Chanel.

Część filmowych kostiumów to efekt współdziałania m.in. z Virginie Viard – dyrektorką artystyczną Chanel, która przejęła stery po Karlu Lagerfeldzie (projektantka pełniła funkcję kostiumografki w filmach Krzysztofa Kieślowskiego: „Trzech kolorach: Białym” oraz „Trzech kolorach: Niebieskim”).

Specjalnie na potrzeby „Kochanicy króla...” stworzono sześć kreacji. Wśród nich tę najbardziej spektakularną, której inspiracją była... kolekcja jesień–zima 1992/1993 i tweedowa suknia prezentowana przez Claudię Schiffer (a ostatnio także przez nagrodzoną Grammy piosenkarkę Dua Lipę na Met Gali poświęconej Karlowi Lagerfeldowi).

Dom mody Chanel wyposażył postać Jeanne również w biżuterię. Naszyjnik, który ma na sobie w scenie oficjalnego przedstawienia Ludwikowi XV (wizerunek ten został wykorzystany na plakacie filmu), jest inspirowany kolekcją Bijoux de Diamants projektu samej Coco Chanel.

„Dałam się uwieść Jeanne, bo jest wspaniałą, choć przegraną, postacią. Może też dlatego, że jej życie było po pewnych względami podobne do mojego, ale to niejedyny powód” – podkreśla Maiwenn, która zarezerwowała dla siebie rolę du Barry. „Oczywiście są aktorki, które uwielbiam, które chciałam sfilmować i które miały charakter Jeanne, ale oddanie tej roli komuś innemu byłoby po prostu zbyt bolesne!”.

CZAS NA MODIGLIANEGO

Publiczność festiwalu w Cannes podziwiała więc wnętrza i kostiumy. Była łaskawa dla Deppa. Aktor podzielił się też swoimi planami. Tym razem reżyserскими. Po 25 latach od premiery debutanckiego „Odważnego” postanowił znów stanąć po drugiej stronie kamery. Nad projektem, którego bohaterem będzie Modigliani, pracuje z Alem Pacino. Panowie spotkali się pierwszy raz na planie dramatu kryminalnego „Donnie Brasco” z 1997 r. W kolejnych latach Depp wyprodukował trzy filmy z udziałem Pacino. Data premiery projektu zatytułowanego wstępnie „Modi” na razie nie jest znana.



Ezocoaching

Jak chronić swoje pole i blokować negatywną energię innych? Naukowe dowody woodoo i medytacja róży”. W ciągu ostatnich 20 lat nastąpił w Polsce skokowy wzrost rynku kursów i warsztatów rozwoju osobistego. Część z nich wprowadza w przestrzeń toksycznych duchowości. Jak rozpoznać ezocoaching? Przynosi całkowicie nierealne obietnice: „Przeprogramuj swój mózg. To trwa tylko 7 dni”. „Zbuduj odwagę i pewność siebie. Moc czakry spłotu słonecznego. Działanie i motywacja”. „55 afirmacji obfitości finansowej”.

Budzi fałszywe nadzieje: „111 afirmacji, które otworzą Cię na kobiecy magnetyzm i pewność siebie”. „Poczuj przepływ energii dostatku. Zrób ćwiczenie i medytację, by wejść w wibrację obfitości”. „Fale alfa leczą obrażenia w ciele w 4 minuty – muzyka wszystko uzdrawia”. „Uzdrawianie poprzez myśli. Uwierz. Dowody naukowe i przywrócenie nadziei”.

Co łączy te propozycje? Tworzą wiarygodną mapę deficytów trapiących współczesnego człowieka, proponując nieskuteczne rozwiązania, które w części prowadzą do problemów duchowych. Ezocoaching obiecuje stuprocentowy sukces na wszystkich możliwych polach: finansowym, zawodowym, zdrowotnym, z dnia na dzień, bez jakiegokolwiek przygotowania merytorycznego, wysiłku czy zaangażowania się. W trakcie kursów słuchacze uczą się posługiwać zmodyfikowanymi stanami umysłu w celu „efektywnego rozwiązywania problemów”. Zestaw proponowanych przekonań i technik przedstawiany jest jako system oparty na badaniach naukowych, neutralny wobec religii i filozofii, prowadzący do głębokiej relaksacji fizyczno-emocjonalnej i mający pomnażać możliwości intelektualne człowieka.

Duża część proponowanych przez ezocoachów ćwiczeń polega na wprowadzaniu adeptów w stan transowy,

a techniki czerpane są z tradycji szamanistycznej, magicznej, spirytystycznej, alchemicznej i hermetycznej. W trakcie kursów propaguje się też nagminnie znaną od stuleci technikę magiczną, czyli medytację dynamiczną z tworzeniem obrazów mentalnych – manifestowanie pragnień, „pozytywne myślenie” itp. Oczywiście w XXI w. odniesienia do okultyzmu są ukrywane przed uczestnikami kursów. Lub też precyzyjniej: są stopniowo odsłaniane.

Ezocoaching jest ze swej natury nieuczciwy – ojciec Aleksander Posacki SJ: „Przed rozbudzaniem tych zdolności w służbie egocentrycznej woli ostrzegają znawcy orientalnych dróg mistycznych oraz liczne przekazy kultur opartych na głębokim i uczciwym doświadczeniu religijnym”

Ezocoaching jest ze swej natury nieuczciwy. Ojciec Aleksander Posacki SJ: „Przed rozbudzaniem tych zdolności w służbie egocentrycznej woli ostrzegają znawcy orientalnych dróg mistycznych oraz liczne przekazy kultur opartych na głębokim i uczciwym doświadczeniu religijnym”.

Kursy i szkolenia prowadzone przez ezocoachów zawierają szkolenia w deprywacyjnych technikach szamańskich, technikach spirytystycznych – przyzywanie przewodników duchowych – oraz metodach dynamicznej wizualizacji w stanie alfa, czyli mówiąc prosto – technikach magicznych. No-



ROBERT TEKIELI

wością jest pełna nieświadomość dużej części ezocoachów co do duchowej istoty tych praktyk. Z poprzednimi pokoleniami okultystów, psychotroników i spirytystów łączy ich zaś używanie języka udającego naukowy: „Poprzez powtarzanie afirmacji subliminarnych – wykorzystując mechanizmy autosugestii oraz medytacji – zaczynasz identyfikować się z ich treścią”. Czym one są? „Są jedyną technologią, która zgrabnie przeskakuje pierwsze barierki świadomości (czyli tzw. korę nową w Twoim mózgu), sprawiając, że pozytywne sugestie trafiają prosto do podświadomości (ściślej – struktury nazywanej mózdzkiem), przez co szybko i skutecznie kasują Twoje stare, negatywne przekonania”. Wiele osób jest bezradnych wobec tego typu psychomanipulacji.

Na początku adepci ezokursów wprowadzani są w techniki bezpieczne, relaksacyjne, potem w techniki warunkujące podświadomość, w końcu przechodzi się do technik otwierających osoby ćwiczące na kontakt z inteligencją będącą wobec nich bytem zewnętrznym, zakładając przy tym optymistycznie, iż jest ona przychylna człowiekowi.

70 proc. technik używanych dziś w sektorze tak zwanego rozwoju osobistego to praktyki duchowe liczące sobie kilkaset, czasami nawet kilka tysięcy lat. Ale o tym wam coach nie powie. Większość z nich nawet o tym nie wie. 

Warte „Wojna o jadeit” Fondy Lee to kontynuacja świetnie przyjętego „Miasta jadeitu” – japońskiego „Ojca chrzestnego” w formule fantasy. Wszystko, co było siłą „Miasta” – wartka akcja, nieoczywista fabuła, dobrze, wiarogodnie zarysowane postaci – w dalszym ciągu przekonuje do prozy Lee. Tym razem główną część historii poznajemy z punktu widzenia bohaterki – kobiety, pojawia się wcale niemarginalny wątek homoseksualny, ale w proporcjach takich, jak może się to zdarzyć w życiu. Inwersyjna seksualność to część ludzkiego doświadczenia i czym innym jest niezgoda na przebudowę cywilizacji kosztem 98-procentowej większości, a czym innym opis świata takim, jaki jest. Co nie oznacza oczywiście rezygnacji z oceniania ludzkich wyborów i czynów.

Wyspa Kekon jest figurą Japonii, Fonda Lee opowiada nam o społeczeństwie zupełnie dla nas egzotycznym. O sieci odniesień w relacjach społecznych, których człowiekowi Zachodu nie sposób zrozumieć. „Wojna o jadeit” jest opowieścią o przemianie tradycyjnego świata, w którym mafijne klany były jedną z najważniejszych osnów życia społecznego. I chyba to sprawia, że odbiera się ją inaczej niż „Miasto jadeitu”. Lubimy piosenki, które znamy. Stereotypy i kalki – tego oczekujemy po powieści gangsterskiej. W końcu to drobne rzezimieszki zaczęły się nosić w sposób, który podpatrzony został w „Ojcu chrzestnym”. Podobnie było z „Peaky Blinders”. Niemniej drugą odsłonę jadeitowej sagi mogą z czystym sumieniem każdemu polecić.



Może być „Misja Stone”, czyli Gal Gardot i sekwencja do cna zużytych motywów: tajna organizacja, która dba o istnienie świata, pościgi, walki wręcz, egzotyczne krajobrazy. Niestety w „Bondach” mamy to samo, tyle że dziesięć razy lepiej. Tysięczny raz oglądane mordobicie musi mieć w sobie coś oryginalnego. Nawet w „Mission: Impossible” poziom naiwności i umowności, który musi przyjąć widz, by nie wyjść z kina, jest podawany z wdziękiem pozwalającym zmrużyć oko; w filmie „Misja Stone” wszystko jest jeden do jeden. Więc: niekoniecznie.



Warte Akcja serialu „Taboo” toczy się w 1814 r. James Keziah Delaney powraca do Londynu z Afryki. W tej roli Tom Hardy („Kompania braci”, „Helikopter w ogniu”, „Venom”). Bohater niesie ze sobą ciężar potwornej historii, której strzępy są przed widzami powoli odsłaniane w ciągu ośmiu godzinnych odcinków serialu. Kazirodstwo, kanibalizm, udział w handlu niewolnikami i chyba najważniejsze – inicjacja w demoniczną duchowość. Delaney wyzwala na pojedynek trzy potęgi ówczesnego świata: Kompanię Wschodnioindyjską, brytyjską Koronę i Stany Zjednoczone. Gra toczy się o monopol na handel z Chinami. I ten wątek stanowi najsłabsze ogniwo tej opowieści.

Odrażający, brudny i zły przedwiktoriański Londyn, realistycznie oddane bezwzględne relacje międzyludzkie, cynizm elit, degeneracja dołów społecznych, brak pozytywnych punktów odniesienia – i na tym tle werystycznie oddane demoniczne praktyki głównego bohatera. Whitcraft potraktowany jako jeden z wielu elementów rzeczywistości. W tym tkwi mroczna siła tego serialu. Autor scenariusza wykazał się głębokim zrozumieniem „niemechaniczności” relacji między światem duchowym a człowiekiem, który otworzył się na sataniczne oddziaływanie. Znam kilka relacji osób, które pośredniczyły w przerażającym procederze. Ludzie z klasy średniej uczestniczą w kilkudniowych wyjazdach do dżungli Ameryki Południowej lub do krajów Afryki Równikowej. Tam można złożyć w ofierze człowieka w intencji kariery zawodowej. Realizm zła przemawia silniej, gdy opowieść toczy się w Londynie sprzed dwustu lat. Ale zło poluje również dzisiaj.

Robert Tekieli, Polskie Radio



Streaming

Weź tabletkę



Kryzys opioidowy w USA jest bardziej dramatyczny niż wszystkie wojny z narkotykami, które obserwowaliśmy w ostatnich dekadach. Amerykanów (dosłownie) masakruje fentanyl, który jest pięćdziesiąt razy mocniejszy od heroiny i do stu razy mocniejszy od morfiny. Na TikToku i YouTube popularne są filmiki z ulic Filadelfii, Los Angeles czy San Francisco, które przypominają już nie afrykańskie getta, ale sceny z filmów o zombie. Wszystko przez tzw. tranq, czyli mieszkankę fentanylu z silnym środkiem uspokajającym, jakim jest ksylazyna. Osoby, które zażywają narkotyk, zachowują się jak „żywe trupy” snujące się w pochylonej pozycji bez celu. Gnijące rany, brodzenie we własnych fekaljach, agresja. Ćpuny heroiny przy nich to wymuskana arystokracja. Według ostatnich danych rządowych agencji w USA miesięczny odsetek zgonów spowodowanych „zombie narkotykiem” wzrósł o 276 proc.

Nie byłoby pewnie takich skutków uzależnienia od substancji przeciwbólowych, gdyby nie firma Purdue Pharma, która w 2019 r. ogłosiła bankructwo, a rok później jej przedstawiciele na mocy ugody z rządem USA przyznali, że są współodpowiedzialni za kryzys opioidowy poprzez wprowadzenie na rynek OxyContinu i promowanie go jako bezpiecznego przeciwbólowego specyfiku. Korporacja stworzyła cały system sprzedaży leku. Od reklamowego i PR-owego nacisku, przez bezpośredni lobbying i jawną (choć wymyślnie zgodną z prawem) korupcję lekarzy oraz urzędników państwowych. Według Centrum ds. Zapobiegania i Kontroli Chorób (CDC) od 1999 r. prawie pół miliona Amerykanów przedawkowało leki opioidowe, które najczęściej zaczynali brać na receptę od swojego lekarza. Purdue Pharma ma ostatecznie zapłacić ok. 8 mld dol. odszkodowania (w różnych formach), ale jej sprawa nadal jest w toku. Posiadająca firmę rodzina Sacklerów przez dekady była ikoną filantropii i szlachetnego kapitalizmu, wspierającego przestrzeń publiczną, sztukę i sport. Dziś

jest synonimem bezwzględności i krwiożerczego wypaczenia kapitalizmu.

Rodzina Sacklerów stała się miliarderami dzięki wprowadzeniu na rynek OxyContinu, ale zanim stał się on najpopularniejszym środkiem przeciwbólowym, Artur Sackler wpadł na nowatorski plan marketingowy, który dał podłoże pod przyszły sukces. Zamiast inwestować w reklamę leków trafiającą do pacjentów, na widelec wzięci zostali lekarze przepisujący potem leki swoim ufnyim pacjentom. W 1996 r. rodzina zatrudniła setki przedstawicieli handlowych i menadżerów, którzy zmasowanym atakiem trafiali do lekarzy, opłatając ich sobie wokół palca. System opierał się na swoistej piramidzie, gdzie jeden przedstawiciel wciągał kolejnego i razem pięli się w spektakularny sposób po finansowej drabinie. Przedstawiciele handlowi Purdue Pharma jeździli najdroższymi autami i kupowali apartamenty wyjęte z hollywoodzkich snów. Jaka była tego cena? Łechtanie ego lekarzy, sponsorowanie im bankietów, wyjazdów do spa i imprez w najdroższych ośrodkach. Nieraz uprawianie z nimi seksu. W tym czasie ich pacjenci wpadali w coraz większe uzależnienie, tracąc pracę, majątki i rodziny.

O tym procederze opowiada serial „Zabić ból”, który jest kolejną po „Lekomanii”

Fot. Netflix

(dostępny na Disney+) produkcją szeroko dotykającą problemu opioidowego uzależnienia Amerykanów. Oba serie pokazują ten sam mechanizm, zaglądając za kulisy bezduszości korporacyjnej oraz trudnej pracy organów ściągania, których przedstawiciele stają naprzeciwko wroga uzbrojonego po zęby miliardami dolarów na koncie i najlepszą opieką prawną na świecie. Każdy z sześciu odcinków „Zabić ból” rozpoczyna się od kilku słów wypowiedzianych przez prawdziwych przedstawicieli rodzin tych, którzy umarli przez uzależnienie od OxyContinu. Od samego początku dostajemy więc mocne uderzenie, ocierające się momentami o manipulację emocjonalną.

Peter Berg nie jest specjalnie subtelnym reżyserem, ale przeważnie dostarcza produkt solidnej jakości. Choć miewa czasami koszmarnie wtopy, jak „Śledztwo Spencera”, to takie filmy, jak „Królestwo”, „Ocalony”, „Dzień patriotów”, „Deepwater horizon” czy „Ekskorta” są przykładem dobrego kina sensacyjnego dla masowej publiki. Nie dziwi, że we wszystkich gra ulubiony aktor Berga, czyli Mark Wahlberg, którego aktorstwo jest satysfakcjonujące, ale nigdy wybitne. Tym razem Wahlberga na pokładzie nie ma, ale jest za to Taylor Kitsch (grał u Berga w „Ocalonym”), który wciela się w poruszającą rolę mechanika samochodowego, tracącego przez uzależnienia całe życie. To drugoplanowa rola, ale wyrazista, głęboka i pokazująca dramat opioidowy w USA z pozycji zwykłego człowieka.

Nakręcona dwa lata temu „Lekomania” ma więcej wyrazistych ról. Michael Keaton jako lekarz, który daje się kupić korporacji, a potem sam staje się narkomanem, tworzy jedną z najlepszych ról w karierze. Michael Stuhlbarg jest przerażająco demoniczny, ale jednocześnie ludzki jako Richard Sackler, zaś Will Poulter w faustowskiej roli przedstawiciela medycznego wciągniętego w szpony zła, który przebudza się z letargu, wyciągnął znacznie więcej niż West Duchovny (córka Davida) w kobiecej wersji tej postaci w „Zabić ból”. Zresztą postać cynicznego demiurga Richarda Sacklera w wykonaniu Matthew Brodericka najlepiej pokazuje różnice w jakości scenariusza obu produkcji. Sackler jest tutaj jednoznacznie zły i przy minimalnie mocniejszym docięnięciu aktorskiego pedału wyszłaby postać pasująca jako czarny charakter w świecie Bonda. Twórcy mo-

mentami gubią się zresztą w stylistyce narracji, przechodząc od lekkości dynamiki oskarowego „The Big Short” Adama McKaya, będącego uderzeniem w zdemoralizowanie świata bankierów i Wall Street, aż do ciężaru kina o uzależnieniach jak „Mój piękny syn” czy „Przetwać w Nowym Jorku”. Nie zawsze to ze sobą współgra.

Berg nie bawi się na dodatek w subtelności, okraszając poszczególne przełomowe dla akcji sceny znanymi zlagierami, które mają nam podkreślić istotę oglądanych rzeczy. Gdy jeden z bohaterów zaczyna łykać coraz więcej pastylek, słyszymy „Candy” Iggiego Popa, w scenie korporacyjnych spiskowych machlojek wybrzmiewa „Sabotage” Beastie Boys, a demoniczność Sacklera gra w rytm... „Psycho killer” Talking Heads. Jest rzecz jasna Simon & Garfunkel, gdy jest smutno, a Lour Reedi i Nico z Velvet Underground przypominają, że heroina i OxyContin to to samo. Scenarzyści serialu, Michah Fitzerman-Blue i Noah Harpster, którzy wcześniej napisali uroczą biografię Freda Rogersa „Cóż za piękny dzień” z Tomem Hanksem, chyba zbyt mocno przywiązali się do publicystyki artykułu „New Yorkera”, który posłużył jako inspiracja ich scenariusza. Nie zmienia to jednak faktu, że „Zabić ból” jest ważnym serialem i mimo irytującej lopatologii, warto po niego sięgnąć.

Większość najważniejszych filmów o uzależnieniu opowiada o ludziach, którzy weszli w narkotyki wiedząc, jakie mogą być tego konsekwencje. Całościowo pokazał to Darren Aronofsky w „Requiem dla snu”, gdzie poza heroinistami widzieliśmy starszą kobietę (Ellen Burstyn) wpadającą w uzależnienie od tabletek odchudzających. Ona chciała sprostać wymaganiom społecznym w kwestii wyglądu, ale też stała się ofiarą mediokracji. Ofiary korporacji Purdue Pharma szły po pomoc do lekarza i powoli stawały się narkomanami. Mechanik grany przez Kitsch miał uszkodzone plecy i wmówiono mu, że tabletki OxyContin mu pomogą dalej pracować i funkcjonować. Ten ciężko pracujący i uczciwy ojciec rodziny nigdy by nie strzelił sobie w żyłę heroiny ani nie zapaliłby cracku. Ostatecznie wciągał w samochodzie kupowane na czarnym rynku tabletki przeciwbólowe silniejsze niż morfina. Dlaczego? Bo skorumpowany system zadusił go swoimi mackami.

Istniejąca od 1892 r. Purdue Pharma była specyficzną rodzinną firmą, która wcześniej ulżyła pacjentom wprowadzeniem na rynek choćby Valium. Brak silnych, zewnętrznych akcjonariuszy i idące daleko poza kapitalistyczny racjonalizm pragnienie pielegnowania spuścizny przodków spowodowało, że Sacklerowie wybrali takie, a nie inne metody promocji OxyContinu, który miał być w ich przekonaniu naprawdę wybawieniem ludzkości od bólu. Wierzano, że ich lek nie może uzależniać, a przedawkowanie wynika z samowoli pacjentów. Tyle że takie korporacje powinny być kontrolowane przez władzę państwową. Serial świetnie pokazuje, jak urzędnik Agencji ds. Żywności i Leków (FDA) nie chciał dopuścić leku, ale ostatecznie nie dał się kupić firmie wysokim stanowiskiem. Federalny prokurator w stanie Maine Jay McCloskey również zaczynał od walki z praktykami Purdue Pharma, by potem stać się doradcą firmy. Po premierze „Lekomanii” stanowczo odpierał zarzuty „sprzedania się”. W „Zabić ból” jest sportretowany równie jednoznacznie. Widzimy też, jak firma zatrudniła do obrony takie ówczesne ikony walki z mafią, jak osławiony krótko wcześniej burmistrz Nowego Jorku Rudy Giuliani, który w 2018 r. wynegocjował dla niej bardzo dobry układ. Purdue Pharma miała wiele ważnych kontraktów federalnych, które wpływały dworzanin urzędującego wówczas w Białym Domu Donalda Trumpa uratował dla niej. Te zostały uratowane. Ostatecznie firma musiała ogłosić bankructwo, a nazwisko Sackler ma w popkulturze już tylko negatywny wydźwięk, choć osobiste go majątku Sacklerowie nie stracili.

Takie serie, jak „Lekomania” i omawiany tutaj „Zabić ból”, pokazują, że wielkie korporacje wciąż mogą przegrać z władzą państwową. Jest to wciąż, choć coraz rzadziej, możliwe. Potem co prawda ich trup zostaje skonsumowany przez inne bezwzględne korporacje (w tym wypadku Netflix i Disneya), co tylko pokazuje, jak bardzo potrzebujemy mieć szansę na ich kontrolę. Napisałem to ja – libertarianin z ducha, który coraz częściej dostrzega ciemną stronę nieograniczonej wolności w przestrzeni ochrony zdrowia. Dlatego warto po tę produkcję sięgnąć. Razem z „Lekomanią”. Po to by lekomanii uniknąć.

„ZABIĆ BÓL” DOSTĘPNY NA NETFLIX

Czwartki Lekkoatletyczne:

Wsparcie Orlen dla Rozwoju Sportu w Polsce



Sport od wieków odgrywa niezastąpioną rolę w kształtowaniu tożsamości narodowej, promocji zdrowego trybu życia oraz tworzeniu społeczności opartych na współpracy i uczciwej rywalizacji. W Polsce inicjatywy sportowe przybierają różne formy, a jednym z projektów, który wyróżnia się na tle innych jest ogólnopolska akcja „Czwartki Lekkoatletyczne”. Wsparcie dla tej inicjatywy od lat pochodzi od Orlenu, zaangażowanego w rozwijanie polskiego sportu na różnych poziomach – od profesjonalnych rozgrywek, po masowe aktywności wśród dzieci i młodzieży. Warto przyjrzeć się temu partnerstwu z bliska, by zrozumieć, dlaczego wspieranie sportu jest tak ważne dla rozwoju społecznego

Pomysłodawcą akcji „Czwartki Lekkoatletyczne” jest Marian Woronin, były wybitny polski lekkoatleta, człowiek który w 1984 r. przebiegł dystans 100 m w czasie poniżej 10 sekund. Wypromował on ideę wprowadzenia regularnych spotkań lekkoatletycznych dla dzieci i młodzieży w Polsce, dając im szansę nie tylko na rozwijanie swoich umiejętności sportowych, ale także na budowanie charakteru i wartości, takich jak zdrowie i wytrwałość oraz konsekwencja w treningach. Dzięki temu projektowi tysiące młodych Polaków z różnych zakątków kraju może włączyć się w aktywność fizyczną i poczuć ducha rywalizacji, kształtując się jednocześnie jako sportowcy i obywatele.

To jednak zaangażowanie Orlenu nadaje całej inicjatywie nową jakość. Jeden z największych koncernów energetycznych i paliwowych w Europie wykazuje wyjątkowe zaangażowanie nie tylko w profesjonalny sport, ale także w sport masowy oraz młodzieżowy. Partnerstwo Orlen z „Czwartkami Lekkoatletycznymi” to więcej niż zwykłe wsparcie finansowe – to przykład korporacyjnej

odpowiedzialności społecznej, której celem jest budowanie społeczeństwa aktywnego i zdrowego.

Dzięki wsparciu Orlenu „Czwartki Lekkoatletyczne” są zawodami na wysokim poziomie organizacyjnym, w których młodzi sportowcy są traktowani poważnie. Środki finansowe umożliwiają organizację profesjonalnych zawodów, zapewnienie odpowiednich warunków treningowych oraz edukacyjnych. Ale to nie wszystko, Orlen angażuje się także, organizując spotkania z młodymi sportowcami, którzy dzieląc się swoim doświadczeniem, promują zdrowy styl życia jako integralną część sportowego sukcesu. To współdziałanie na rzecz młodego pokolenia jest kluczowym elementem tego partnerstwa.

Warto podkreślić, że w kontekście toczącej się ostatnio w Polsce dyskusji o słuszności bądź szkodliwości prywatyzacji największych polskich przedsiębiorstw, przykład wsparcia, jakiego udziela Orlen polskiemu sportowi, polskiej kulturze i polskiej młodzieży dowodzi, że trudno byłoby zabezpieczyć w podobnie wysokim stopniu te potrzeby, gdyby ich realizacja zależała od decyzji w pełni prywatnych, a na dodatek zagranicznych podmiotów. Orlen bez wątpienia jest firmą, która zdaje sobie sprawę ze swojej odpowiedzialności przed polskim społeczeństwem i obecnie wzorowo wywiązuje się ze swoich zobowiązań na rzecz wszystkich polskich obywateli. Jeżeli nazywamy czasem największe polskie firmy, w tym Orlen „srebrami rodzowymi”, to nie tylko dlatego, że przynoszą one wielkie zyski dla Skarbu Państwa i świetnie radzą sobie na niwie czysto biznesowej, ale także dlatego, że dzięki ich wsparciu sponsorskiemu może funkcjonować w Polsce wiele wartościowych inicjatyw społecznych i kulturalnych. Warto zatem pamiętać, że gdy oglądamy zmagania naszych reprezentacji narodowych w piłce nożnej, siatkówce czy koszykówce, gdzie wszędzie obecne jest wsparcie Orlenu, zaangażowanie koncernu nie ogranicza się tylko do wspierania największych i najlepszych sportowców, ale jest także realizowane na poziomach mniej widocznych medialnie, ale równie istotnych choćby dla przyszłości polskiego sportu. Od 1995 r., odkąd Stowarzyszenie Sportu Dzieci i Młodzieży organizuje „czwartki”

Organizator i imponujące liczby

- Stowarzyszenie Sport Dzieci i Młodzieży, organizacja pożytku publicznego, powstało w 1997 r. jako kontynuator działalności Fundacji Polskiej Lekkiej Atletyki założonej w 1989 r. Stowarzyszenie organizuje masowe zawody sportowe „Czwartki Lekkoatletyczne”, sportowe wakacje dla utalentowanej młodzieży oraz szkolenia dla organizatorów zawodów.
- Do tej pory „Czwartki” objęły swoim zasięgiem ponad 120 miast, w zawodach uczestniczyło więcej niż milion dziewcząt i chłopców ze szkół podstawowych.
- Zwycięzcy Ogólnopolskich Finałów „Czwartków Lekkoatletycznych” reprezentują Polskę w Międzynarodowym Pucharze Lekkoatletycznym organizowanym od 2006 r.
- Dzięki działalności Stowarzyszenia dzieci zaczynają swoją przygodę ze sportem. Wiele dziewcząt i chłopców uprawia później nie tylko lekką atletykę, lecz także inne dyscypliny sportowe w grach zespołowych, sportach walki lub w sportach zimowych.
- Działalność Stowarzyszenia od lat wspiera Ministerstwo Sportu i Turystyki, samorządy lokalne oraz Orlen.
- Stowarzyszenie jest członkiem Polskiego Komitetu Olimpijskiego i Polskiego Związku Lekkiej Atletyki.

przez zawody te przewinęło się później wielu polskich medalistów największych lekkoatletycznych zawodów. Warto o tym pamiętać przy okazji odbywających się właśnie 19. Mistrzostw Świata w Lekkiej Atletyce w Budapeszcie.

Więcej informacji na temat programu i zawodów można znaleźć na stronie www.czwartki.pl

„Czwartki lekkoatletyczne” w 2023 r.

- Finały zawodów odbyły się na stadionie AZS w Łodzi w dniach 17–18 czerwca br. W zawodach uczestniczyło 1850 dziewcząt i chłopców z 101 miast i miasteczek, rywalizując w trzech kategoriach wiekowych 11, 12 i 13 lat.
- W trakcie zawodów pobite zostały trzy rekordy Polski „Czwartków”. Wyniki te uzyskali: Aleksandra Wiśniewska z Torunia w kategorii dziewcząt 11 lat w skoku w dal, uzyskując 500 cm; Gabrysia Biernacka z Jarocina, 12 lat w biegu na 300 m – czas 41,97 s. oraz Oskar Pawlak z Wrześni w pchnięciu kulą – 15,17 m. Najlepszy polski wynik wyrównała w skoku wzwyż 11-letnia Elena Knet z Tucholi, uzyskując 145 cm.
- W klasyfikacji punktowej i medalowej najlepiej wypadły ekipy z Krakowa, Siedlec, Poznania, Warszawy, Łowicza i Suwałk. Z mniejszych miejscowości warte wyróżnienia jest Bojano z woj. pomorskiego, które zdobyło trzy medale.

PARTNER DODATKU



MATEUSZ MIRCZYŃSKI*

Gotowałem dla Chopina

Rzadko komu zdarza się gotować dla wybitnych osobistości, a gotować dla... Fryderyka Chopina albo Napoleona Bonaparte... Mojemu bohaterowi to się przytrafiło. Dla Chopina z rozpędu zrobiłem hamburgera z sosem śliwkowym, co jest moją specjalnością w sitcomowym bistro „Rock & Roll Edek”. Pracujemy w nim pełną parą nad 26 odcinkami komediowego serialu dla młodzieży „Tylko nie piątek!” w reżyserii Tomasza Szafrąńskiego (premiera 6 października na kanale Alfa, VOD i w TVP ABC).

Można powiedzieć, że mój bohater zna sprawy bistro dosłownie od kuchni. Trafił tu z samego centrum... przedmieść Londynu, gdzie był zatrudniony w polskiej restauracji, jak się z czasem okazuje, na zmywaku. Ale, wiadomo, jak się pracuje za granicą, a potem wróci do Polski, to ranga jest inna, więc w barze u Edka mój bohater na dzień dobry dostał awans na kucharza. I faktycznie chce pokazać, że zasługuje na miano szefa kuchni.

Oczywiście ma do przygotowania określone potrawy. W menu „Rock & Roll Edek” na pierwszym miejscu widnieje hamburger z sosem śliwkowym. Ten sam, który zrobił takie wrażenie na muzycznym geniuszu z przeszłości. Z kolei Napoleon Bonaparte postanowił nawet zrezygnować z powrotu do wehikułu czasu, za którego sprawą pojawił się pewnego dnia na warszawskim Mokotowie, by m.in. dorabiać jako kelner w knajpie.

W kulinarnej ofercie – obleganego głównie przez młodzież – bistro jest tylko jeden rodzaj hamburgera, ale „Zmywak” potrafi go dopasować do indywidualnych potrzeb każdego zamawiającego. Wyznaje też zasadę – pod którą i ja się podpisuję – że dobry kucharz potrafi przygotować danie z tego, co ma pod ręką.

W pierwszym odcinku Edek, trochę roztrzępany właściciel knajpy, zamiast

30 kg nachosów zamawia 300 kg! „Zmywak” musi z tym coś zrobić, więc wsadza nachosy do naleśników, lodów, zup... i hamburgerów. Także w tym przypadku przydaje się kreatywność. Potrzebna będzie bohaterowi również w kolejnych odcinkach. Zwłaszcza tych z Napoleonem. Trzeba się będzie dowiedzieć, czym najlepiej podjąć francuskiego cesarza. I wymy-

ślić coś ekstra, poza menu, w którym są też m.in. frytki z ziemniaków lub batatów, grzanki z bazylią oraz szprotki smażone na głębokim tłuszczu.

Przy tej ostatniej pozycji muszę się do czegoś – jako Mateusz Mirczyński – przyznać: sam nigdy szprotkę nie smażyłem, ale uwielbiam te z puszek, doprawione musztardą (obok znajdziecie przepis na burgerszprotkę).

W kulinarnej ofercie baru „Rock & Roll Edek” są jeszcze salatkę, m.in. grecką, jest sok pomarańczowy i... woda z ogórków. Gdy przychodzi Oskar (student fizyki i z lekką szalony wynalazca), który wszystko bierze na kreczę, zamiast herbaty dostaje sok po kiszonych ogórkach. Kiszonki są zdrowe. I Oskarowi też zdecydowanie służą, bo to m.in. za jego sprawą w bistro u Edka dzieją się tak niesamowite rzeczy.

**W sitcomie „Tylko nie piątek!”*

gra kucharza o ps. Zmywak

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Hoodewitz/TVP

Burgerszprotka Mateusza

Butka brioszka, przekrojona, posmarowana musztardą, na to poszatkowana czerwona kapusta (z pudełeczka), kilka plastrów żółtego sera i szprotki z puszek, a na koniec jajko sadzone. Polecam serdecznie na śniadanie, obiad lub kolację. Nie tylko smakuje, lecz – dobrze podane – wygląda wykwintnie.





SŁODKO-SŁONY

Zgodnie z Księżycem

ANNA MONICKA

Co można ukusić? Pewna pani na moim ulubionym bazarze twierdzi, że wszystko. Można u niej kupić, oczywiście poza takimi klasykami gatunku jak ogórki czy kapusta, także rzodkiewki, kalarepy, papryki, marchewki, selery, buraki... No i kapustę pekińską, z której robi kimchi, podobno jedną z najstarszych kiszonek świata.

Ja jednak uważam, że warto się za kiszonki zabrać samodzielnie – znaleźć dobrego dostawcę i poświęcić dzień lub dwa na zapakowanie dóbr z ogrodu oraz zalanie ich solanką. Na każdym portalu widzę ostatnio mnóstwo porad z cyklu: co zrobić, żeby twoje ogórki były twarde. I całe mnóstwo lepszych lub gorszych wymysłów. A tak naprawdę liczy się wiele rzeczy. Doświadczeni ogrodnicy uważają, że kluczem do sukcesu jest zbieranie warzyw w odpowiednim czasie, zgodnie z kalendarzem księżycowym. Wiadomo przecież, że Ziemia i Księżyc raz się do siebie zbliżają, raz się od siebie oddalają, co wpływa na ruchy mórz. Raz mamy przypływ, raz odpływ. Oddziałuje to też na rośliny, które przecież w znaczącej części składają się z wody.

Kiedy więc Księżyc po nowiu zaczyna przybywać, soki w roślinach idą ku górze, warto zbierać pomidory czy ogórki, bo są bardziej soczyste. Z kolei po pełni, gdy Księżyc ubywa, soki gromadzą się w części podziemnej, czyli korzeniu. Wtedy powinniśmy zbierać marchewki, buraki czy selery. I na takie dni dobrze jest się umówić z zaprzyjawnionymi dostawcami po odbiór warzyw na przetwory. To, co zrywamy, bo dojrzała na krzakach niezależnie od zaleceń kalendarza księżycowego, po prostu na bieżąco zjadamy. Jeśli to was nie przekonuje, zróbcie eksperyment i sprawdźcie, robiąc przetwory w czasie korzystnym i niekorzystnym. Może wtedy znajdziecie odpowiedź, dlaczego robione tą samą metodą warzywa, ale w różnym czasie, smakują inaczej.

Oczywiście ogórki czy inne rośliny warto kilka godzin przed zbieraniem dobrze podlać, a te pierwsze, zwłaszcza w upały, namoczyć na noc w bardzo zimnej wodzie, najlepiej ze studni.

Przepis na solankę jest uniwersalny – czubata łyżka na litr przegotowanej wody. Do tego dużo czosnku, kopru z kwiatem, liści i korzeni chrzanu, do każdego słoja listek i ziele oraz kilka kulek pieprzu. Dobrze jest też dla smaku włożyć liście porzeczki, dębu i wiśni.



WILCZYM OKIEM

Z perspektywy rurkoczulkowca

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Systematyka rurkoczulkowców była i jest niejasna. Obecnie te morskie bezkręgowce uznaje się za jedną z rodzin gromady wieloszczety, zaliczanych z kolei do wyższej jeszcze jednostki – do typu pierścienice. Pytania, często bez jednoznacznych odpowiedzi, dotyczą nie tylko systematyki rurkoczulkowców. W ubiegłym wieku można było znaleźć informacje, że rurkoczulkowce żyją nawet 25 tys. lat. Czytając tę liczbę pierwszy raz pomyślałem, że przypadkowo dopisało się kilka zer. Wiek ten oszacowano, porównując głębokość zanurzenia rurkoczulkowców w morskim mule i czas osiadania osadów dennych.

Wydało mi się to wątpliwe, ponieważ powyższe założenia nie brały pod uwagę wielu czynników, np. możliwości aktywnego zanurzania się rurkoczulkowców w dno. Rzeki, oczywiście, późniejsze badania zweryfikowały tę niewiarygodnie wielką liczbę lat. Zwierzęta te rzeczywiście mogą żyć bardzo długo jak na bezkręgowce, jednak dawne fantastyczne szacunki należy podzielić przez 100: rurkoczulkowce dożywają ok. 250 lat (według obecnych ustaleń; kto wie, co pokaże przyszłość podmorskich badań).

Oprócz wielu innych aspektów życia tych stworzeń intrygująca wydaje się perspektywa, z jakiej widzą świat, dopuszczając spore nadużycie w tym określeniu, jako że mowa o zwierzętach, które bardzo dobrze opisuje ich nazwa: ogólnie mówiąc, ich plan budowy to czułki schowane w rurkach.

Rurkoczulkowce zamieszkują dno morskie na dużych głębokościach, dochodząc do największych głębin oceanicznych. Są zwierzętami osiadłymi, choć zapewne mogą rozprzestrzeniać się dzięki prądom morskim, np. pod postacią jaj. Część gatunków tworzy „łaki”, skupione wokół podwodnych gorących źródeł. Odżywiają się dzięki symbiozie z bakteriami zdolnymi do chemosyntezy, korzystającymi z siarkowodoru uwalnianego się z kominów termalnych. Rurkoczulkowce oferują bakteriom schronienie we własnych ciałach, w zamian korzystając z powstających w czasie chemosyntezy substancji odżywczych.

Wątpliwe, żeby rurkoczulkowiec wiedział o naszym istnieniu. Nawet jeżeli, to obojętne byłyby mu wydarzenia epokowe, a nawet upadki i pojawianie się cywilizacji. Być może kiedyś wraz z rosnącą ingerencją w środowisko się to zmieni, póki co jednak nasz świat jest tym zwierzętom bez porównania bardziej nieznany i interesuje je bez porównania mniej, niż nas najdalsze zakątki galaktyki.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Pytań jest więcej

*Kolejne pytania mogłyby brzmieć:
Czy jesteś za likwidacją IPN, CBA i mediów publicznych?*



www.wojciechreszczyński.pl

Poznaliśmy treść czterech pytań referendalnych. Od strony formalnej, językowej mają one charakter zamknięty, to znaczy, że na pytanie „czy”, można odpowiedzieć jedynie „tak” lub „nie”. Jeśli chodzi o pytanie o wyprzedzą państwowych przedsiębiorstw, kwestię podniesienia obowiązującego dziś wieku emerytalnego czy przymusowy mechanizm relokacji nielegalnych imigrantów – sprawa jest jasna.

Pewien problem może się pojawić z odpowiedzią na pytanie czwarte: Czy popierasz likwidację bariery na granicy RP z Białorusią? W pytaniu użycie dwóch słów aksjologiczne przeciwstawnych – „poparcie” i „likwidacja” – może utrudniać prawidłową odpowiedź. Żeby się nie rozwódzić z uzasadnieniem, proponowałbym, aby pytanie brzmiało: Czy jesteś za likwidacją... itd., bez słowa „popierasz”.

Jak należało się spodziewać, totalna opozycja nie będzie brała udziału w referendum, które dla ważności wymaga udziału ponad połowy wyborców uczestniczących w głosowaniu. Obstrukcja, czyli działanie na obniżenie frekwencji, nie zwalnia jednak opozycji od odpowiedzi na postawione pytania. Będą się one pojawiały w czasie kampanii wyborczej i podnosiły i tak już wysoką temperaturę ostrego sporu ideowego i światopoglądowego, jaki mamy w Polsce od lat.

Szkoda, że nie doszło do referendum konstytucyjnego, które przygotowywał prezydent RP Andrzej Duda w stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Była szansa na nową, lepszą konstytucję, w miejsce konstytucji III RP z 1997 r. Nowa konstytucja rozstrzygnęłaby wiele ważnych kwestii: prymatu polskiej konstytucji nad

uniijnym prawem, uznania chrześcijaństwa jako fundamentu polskiej kultury, prymatu prawa naturalnego przed stanowionym, jednoznaczną definicję małżeństwa jako związku jednego mężczyzny z jedną kobietą, powołanego do wychowania własnych dzieci, prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci, uznanie polskiego złotego za jedyną i oficjalną walutę narodową.

Wracając do obecnych pytań referendalnych. Choć tylko cztery, dobrze, że się pojawiły. Mogą sprzyjać frekwencji i poparciu dla partii rządzącej w wyborach 15 października br. Pytania te tylko w pewnym, bo ograniczonym zakresie oddają spór ideowo-polityczny między formacjami lewicowo-liberalnymi i narodowo-konserwatywną Zjednoczoną Prawicą. Dlatego warto w czasie kampanii wyborczej przypominać inne oficjalnie głoszone pomysły Platformy Obywatelskiej, które wywracają ośmioletnie osiągnięcia Zjednoczonej Prawicy. Trzeba zatem pytać o IPN, CBA, media publiczne, których likwidacji domaga się opozycja. Kolejne pytania mogłyby brzmieć: Czy jesteś za likwidacją IPN, CBA i mediów publicznych? A co z programami społecznymi, w tym 800+, co z postulatem Koalicji Obywatelskiej i jej akolitów likwidacji Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa, Prokuratury i KRRiTV? Trzeba pamiętać, że opozycja, gdy rządziła, w swoim szaleństwie likwidacji państwa polskiego poszła bardzo daleko. Gotowa była oddać wschodnią Polskę pod rosyjskie wpływy i bronić Niemców na linii Wisły. Oficjalnie negowała powołanie Wojsk Obrony Terytorialnej, zlikwidowała aż 629 jednostek wojskowych. W polityce międzynarodowej postulowała przywrócenie „realnej wartości

Wyszehradu” i „wskrzeszenie Trójkąta Weimarskiego”. Byłby to zatem koniec twórczej idei Trójomorza.

W 2017 r. Grzegorz Schetyna domagał się też likwidacji urzędów wojewódzkich i zastąpienia ich samorządami, gdzie opozycja ma swoją liczną polityczną reprezentację. W terenie nie rządziliby już wojewodowie reprezentujący państwo polskie, ale marszałkowie województw. Słyszeliśmy też zapowiedzi likwidacji jednym aktem prawnym wszystkich ustaw uchwalonych głosami PiS. Do stałego repertuaru opozycji należy też zamiar przywrócenia dawnym esbekom ich ponadprzeciętnych emerytur oraz postulat przywrócenia do służby oficerów zwolnionych z wojska za czasów PiS-u.

Z chwilą przejścia władzy przez opozycję nie byłoby też zaskoczeniem marginalizowanie związków zawodowych, szczególnie NSZZ „Solidarność”, a także wzmacnianie organizacji pozarządowych finansowanych z zagranicy oraz korporacji prawniczych, które od lat prowadzą otwartą walkę z polskim rządem.

Partia politycznego nihilizmu, jak nazywam Platformę Obywatelską, nie ustaje w mobilizacji swojego twardego elektoratu. Już z tego powodu można by nie wchodzić z nią w dyskusję, bo to przeciwnik nie tyle trudny, co bardzo przykry. Trzeba jednak wznieść się ponad podziałami i próbować polemizować z tymi zwolennikami opozycji, którzy zaczadzeni antyrządowymi mediami potrafią jeszcze spokojnie wysłuchać naszych argumentów. Trzeba przekonywać, że warto troszczyć się o Polskę.

Przed i po

Ogłoszenie daty wyborów powoduje u wielu obywateli uczucie ulgi. Budzi bowiem nadzieję, że tylko do 15 października potrwa ta cała wredna nawalanka polityczna, ta niekiedy wulgarna i knajacka agitka, pełna wyzisk, chamstwa i kłamstwa. To w rzeczy samej wojna buców z opozycji z bezradnymi wobec takich ataków konserwatystami. Lecz nadzieje, że to się skończy razem z wyborami, są najzupełniej płonne. Wybory bowiem pogłębią i utrwala podziały, a w razie zwycięstwa prawicy uruchomią znany nam dobrze przemysł pogardy i Niagarę nienawiści. Najgorsze dopiero przed nami. Nikt tak bardzo jak politycy nie potrafi obrzydzić życia, uczynić go nieznośnym.

Opozycja skrzętnie chowa w rękawie asa. To kurs na uznanie wyborów za sfałszowane. Nitras nie został powołany, aby pilnować uczciwości wyborów, lecz by stworzyć argumenty za ich nieuczciwością. Główny opozycyjny nurt medialny na czele z „Wyborczą” i TVN już zapewne szykuje się do ataku, pewnie już wytwarza fakty, organizuje bank argumentów, typuje miejsca, gdzie ma dojść do wskazania wydumanej nieuczciwości. Takie akcje bowiem nie bywają spontaniczne, są zwykle dobrze przygotowane i przemyślane. Może też dojść do prowokacji, świadomego i zaplanowanego działania mającego udowodnić, że coś było „nie tak”. Zanim sprawa zostanie wyjaśniona przez Państwową Komisję Wyborczą, to informacja pójdzie w świat i już się tego nie odkręci. A nawet jeśli się wyjaśni, to sprostowań i tak nikt nie czyta, nie słucha i nimi się nie przejmie.

Żyjemy bowiem w czasach, w których to słowa tworzą fakty, gdy rację ma ten, kto pierwszy poda informację, bez względu na to, czy zawiera ona chociażby drobinę prawdy. Nienawistne plotki, nazywane dzisiaj fake news, żywią się ludzką skłonnością do powierzchowności. Jako informacja wystarczy tytuł i nic poza nim. Czytamy „ksiądz zgwałcił nastolatkę”. I już wszystko wiadomo. Dopiero z tekstu, którego nikt prawie nie czyta, dowiadujemy się, że idzie o protestanckiego pastora, a wydarzenie miało miejsce dwie dekady temu w odległym od Europy kraju. Nie przeszkadza to w opluwaniu polskiego Kościoła i polskich duchownych. Tę specjalizację posiedli do perfekcji Sekielscy, którzy z nienawiści do księży uczynili swój znak firmowy i źródło dochodu. W tym zakresie mogliby być doradcami niejednego sztabu wyborczego opozycji, a zwłaszcza lewicy, która ma licencję nie tylko na głupotę niektórych



**Aleksander
Nalaskowski**

*Każde kolejne wybory
zwiększają podział wśród
Polaków. Każde następne
wybory stają się większą jatką
medialną*

swoich członków. Przykładem może być Scheuring-Wielgus, i jej ustawiczny i podsycany hejt wobec naszego Kościoła. Nikt też nie potrafi tak zelżyć i zmieszać z błotem tej instytucji, mającej ogromny wkład państwowotwórczy w rozwój Polski, jak robi to Zandberg czy Czarzasty. Nie dziwię się natomiast Biedroniowi, gdyż on oświadczył, w związku ze swoimi upodobaniami, jest w chrześcijaństwie na cenzurowanym. On walczy o to, co lubi najbardziej. Czy to zmieni się po wyborach? Ależ nie! Wybory będą jak siew kłosa pomiędzy pszenicą. Ten chwast wyrośnie szybko i bez skrępowań zniszczy zasiew, stłumi to, co pożyteczne ku uciesze naszych „elit”.

Polska z wyborów wyjdzie nie tylko podzielona, ale i poraniona. Do Sejmu wejdą starzy wyjadacze i trochę nowszych narcystycznych cyników, grających wyłącznie na siebie, takich jak Mentzen czy Wipler. Nie ma się co łudzić – nowy parlament nie będzie przybytkiem mędrców, lecz w dużej mierze rozsmakowanych w przywilejach dojną krową dietobiorców.

Istotę obecnego poselstwa i krzywość tych wyborów widzimy już na etapie ustalania list wyborczych. W moim rodzinnym, uniwersyteckim, średniowiecznym Toruniu PO

wystawia Kidawę-Błońską. To Petru w spódnicy. Lotna jak ołów i błyskotliwa jak zamsz kandydatka, której tak blisko do Torunia, jak mi do Saturna. Zrzucą ją nam w jednym desancie z Wiplerem, tak jak w poprzednich wyborach zrzucili Roberta Kwiatkowskiego, słynnego z „grupy trzymającej władzę”. Czy tutaj cokolwiek wybory zmienią? Oczywiście nie. Bo niestety profesorom, których w niewielkim Toruniu jest sporo, zapewne nie zadrży ręka w głosowaniu na Kidawę-Błońską.

Każde kolejne wybory zwiększają podział wśród Polaków. Każde następne wybory stają się większą jatką medialną. Widać wyraźnie, że Tusk nie cofnie się przed niczym, niczym się nie brzydzi i byłby nawet gotów publicznie zjeść własne wydaliny byle wygrać. Przyjechał do Polski z misją i musi misję wykonać. Inaczej popadnie w niebyt. Przystanie się liczyć na polskich i europejskich salonach. Zużyje się i „Europa” wypłuje go jak wysaną pestkę.

Żyjmy więc każdym dniem kampanii wyborczej jako wydarzeniem, którego łagodność i kulturę docenimy dopiero po wyborach, gdy podział osiągnie głębokość Rowu Mariańskiego i zacznie się niekontrolowany proces narastania agresji. *Carpe diem*, wyborcy.

Matematyk Donald Tusk

Zaprzyjaźniony z nami tygodnik „Peryskop Parlamentarny” (popularny w całej Polsce „PP”), prowadzony przez młodych specjalistów fizyki molekularnej, posiadających wszak już bogaty dorobek badawczy, przekazał nam nagrań w znanej prywatnej stacji telewizyjnej rozmowę z byłym nauczycielem Donalda Tuska. Termin emisji rozmowy aktualnie uzgadniany jest z Platformą Obywatelską, ponieważ pedagog ten stara się o dobre miejsce na liście kandydatów tej partii okręgu gdańskiego do Sejmu w zbliżających się wielkimi krokami wyborach.

TVM12: – Czy może się pan przedstawić?

Gość: – Tak, mogę.

TVM12: – Proszę.

Gość: – Nazywam się Jan Goły. Mam siedmioro rodzeństwa. Czterech braci i trzy siostry. Najstarszy brat Jurek do niedawna pracował w ogrodzie zoologicznym. Przy lwach. Niestety, wiosną tego roku podczas przypadkowego otwarcia bramki do legowiska...

TVM12: – Przepraszam, muszę zapytać. Jakiego przedmiotu uczył pan młodego Donalda Tuska?



Jerzy Jachowicz

JG: – Matematyki, od czwartej klasy do końca podstawówki. Dziś mogę powiedzieć, że jest moim wielkim sukcesem moralnym jako nauczyciela i pedagoga. Radość miesza się z dumą, bo mam w tym osobisty, choć bardzo skromny udział. Kiedy objąłem jego klasę jako wychowawca, sam byłem bardzo młody. Bez żadnego doświadczenia. Ale Donek, jak nazywali go wszyscy koledzy i nauczyciele, już jako chłopiec się wyróżniał. Zawsze chciał być pierwszy. Wyprzedzić innych. I to mu zostało do dziś. Podam pani przykład. Pamiętam np. nauczanie tabliczki mnożenia i dzielenia. Zdarzało się, że chcąc sprawdzić, jak moja klasa opanowała tę

umiejętność, rzucałem podczas lekcji np. „ile jest...”? Proszę sobie wyobrazić, że często nie zdążyłem wypowiedzieć liczb tego działania, kiedy zwykle podrywał się Donek, mówiąc: „Nie wiem”. Inną cechą, która kojarzy mi się z Donaldem Tuskiem, szczególnie ważną dla nauczanego przez mnie przedmiotu, to jego skłonność do liczenia. Czy szliśmy na wycieczkę do lasu, czy mieliśmy pograć w piłkę na boisku, Donek zawsze zaczynał od słów: „Policzmy się, ilu nas jest”.

TVM12: – To praktyczna cecha. Dziękujemy za spotkanie. ▀

Niewidomy geniusz

Niezwyczajną porcję emocji przynosi druga część nagrań Mieczysława Kosza z archiwów jazzowych Polskiego Radia

Swieżo minęła 50. rocznica śmierci genialnego niewidomego pianisty, przypomnianego w ostatnich latach przez książkę Krzysztofa Karpińskiego „Tylko smutek jest piękny. Opowieść o Mieczysławie Koszu” oraz film Macieja Pieprzycy „Ikar. Legenda Mietka Kosza”.

Jedyny wydany za życia winylowy longplay artysty „Reminiscence” został nagrany dla Muzy w marcu 1971 r. Znalazły się tu luźne, podbite swingiem parafrazy ulubionych „Tańców połowieckich” Borodina, Preludium c-moll Chopina, „Marzenia miłosnego” Liszta oraz „Yesterday” Beatlesów. Mamy też dwie autorskie kompozycje Kosza: „Wspomnienie” i „For You” oraz jedną kontrabasisty Bronisława Suchanka – „Spełnienie”. W interpretacjach pobrzmiewa free jazz, niebędący jednak celem samym w sobie, a środkiem przekazu indywidualnego języka solisty – talentu światowej skali.



Adam Ciesielski



Mieczysław Kosz,
Vol. 2 „Piano solo, duo, trio”
Polish Radio Jazz Archives nr 37,
Wyd. Agencja Muzyczna
Polskiego Radia

Warianty kilku wymienionych utworów znajdziemy na obecnie wydanym albumie z archiwizacjami nagrańmi w różnych miejscach i czasie. Dominuje jednak odmienny repertuar, wykonywany głównie solo, choć – zgodnie z tytułem – zdarzają się też duety i tria. Całość otwiera przebój Josepha Kosmy „Autumn Leaves” – zagrany balladowo, bez zbędnego sentymentalizmu. Standardów jest więcej, warto zwrócić uwagę na oryginalne ujęcia „Stella by Starlight” Victora Younga, „Solar” Milesa Davisa czy „Misty” Errola Garnera. Jak zwykle Kosz chętnie interpretuje przeboje muzyki pop: tu mamy m.in. niecodzienną wersję „Michelle” Lennona i McCartneya, „Cała jesteś w skowronkach” Skaldów czy „Dwie szklanki wina” Jerzego Abratowskiego. Intrygująco brzmi autorska „Elza”, wykonana przez kompozytora ze wsparciem wspomnianego już wybornego kontrabasisty Bronisława Suchanka.

Śluchamy nie tylko muzyki. Wyjątkową wartość mają fragmenty radiowych wywiadów z Mieczysławem Koszem, zarejestrowane przez Krystynę Melion i Andrzeja Jaroszewskiego. A także bardzo osobiste zwierzenia redaktora archiwalnej radiowej serii jazzowej Wojciecha Kwapisza, który w 1973 r. był sąsiadem Kosza. ▀

XXXII Forum Ekonomiczne

KARPACZ, 5-7 WRZEŚNIA 2023



NOWE WARTOŚCI STAREGO KONTYNENTU – EUROPA U PROGU ZMIAN



3 
DNI

+470 
DEBAT

+5000 
UCZESTNIKÓW



Organizowana od ponad 30 lat najważniejsza konferencja w Europie Środkowo-Wschodniej



Miejsce spotkań liderów ze świata biznesu i polityki z Europy, Azji i Stanów Zjednoczonych



Ponad 350 debat, paneli dyskusyjnych, prelekcji, spotkań autorskich i wydarzeń kulturalnych



Hotel Gołębiewski w Karpaczu – centrum konferencyjne w sercu polskich Karkonoszy

Rysuje **Jerzy Wasiukiewicz**



TRENDY I OWĘDY

Dwa cytaty

Październikowe wybory reklamowane są jako najważniejsze w historii III RP

Patrząc na to, co się dzieje w naszej polityce XXI w. ze smutkiem warto sięgnąć po cytaty sprzed lat. Adam

Jerzy Czartoryski:

„W ciągu całego mego życia widziałem w naszym kraju tylko dwie partie. Partię polską i antypolską, ludzi godnych i ludzi bez sumienia, tych, którzy pragnęli ojczyzny wolnej i niepodległej, i tych, którzy woleli upadające obce panowanie”. Czy to nie opisuje idealnie tego, z czym



Ryszard Makowski

stykamy się obecnie? Kiedyś wydawało mi się niepojęte, jak Polska mogła utracić państwowość po koniec XVIII w.? Teraz mam codziennie pogładową lekcję swobodnego manipulowania Polakami. Metody są dokładnie takie same jak niegdyś. Skłócanie, namaszczanie podporządkowanych elit, wyłuskiwanie i marginalizowanie niepokornych. Do tego doszło zakładanie partii. Był taki generał, który obnosił się z wiedzą, że Platformę założyły służby. Ale jakoś go wyciszyli. Z zakładania Nowoczesnej czy Polski 2050 też pewnie dałoby się nakręcić film sensacyjny. Jednak i tak na wszelki wypadek Państwowa Komisja Wyborcza jeździła za czasów PO na szkolenia do Moskwy.

Drugi cytat też jest niezwykle popularny. Józef Piłsudski: „Polacy, w czasach kryzysu strzeżcie się agentur!”. Rada bardzo cenna, ale pewnie Marszałek nie zdawał sobie sprawy, że przyjdą takie czasy, kiedy agentury będą działać jawnie i bezkarnie w ramach demokracji. Będą dysponowały telewizjami, portalami internetowymi czy prasą.

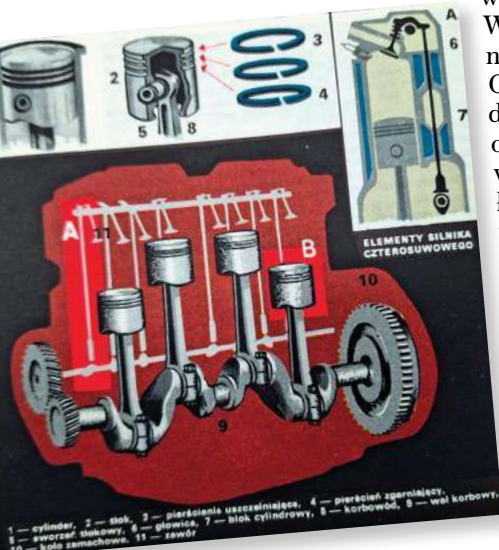
W każdym razie ciekawie zapowiada się, jak to ktoś określił, rywalizacja ośmiu gwiazdek z ośmioma słowami.

Michał Korsun prezentuje: **AgroTusk**



Wycinki z przeszłości

Wnajnowocześniejszych samochodach, sterowanych komputerami, kierowca zwykle nie otwiera nawet maski. Cokolwiek się stanie – do serwisu. Albo serwis przyjedzie. Nic dziwnego, że młodzi, poza pasjonatami, mało wiedzą o tym, jak to wszystko działa. Kiedyś bez wiedzy i podstawowych umiejętności mechanicznych użytkowanie pojazdu było niemożliwe. Oto ilustracja z bardzo dobrego podręcznika „Kierowca amator”, opublikowanego w 1971 r. przez Wydawnictwa Komunikacji i Łączności.



Obok zasad ruchu drogowego zawierał on liczne porady, w tym, jak prawidłowo wymienić olej w aucie. „Dbałość o dobre smarowanie silnika jest podstawowym obowiązkiem kierowcy!” – przypominali autorzy. Czytamy tę książeczkę z dużym wzruszeniem.

(mk)



Leszek **Długosz**

Norwid na pociechę

Tak bywa, że wielkie umysły i charaktery (więc i może zwłaszcza ten ich przekaz zapisany w słowach?) niespodziewanie przybywają z pociechą. Siegasz przypadkowo, zatrzymujesz wzrok, czytasz raz, potem drugi i zmienia się twój „teatrzyk” – nastrój, planowany scenariusz czy prawie podjęta decyzja. Ktoś jakby rękę położył na ramieniu. Do ciebie powiedział tych parę słów, jakbyś znalazł radę, pociechę przez przyjaciela podesłaną. I pomyśleć, dotyczy to obywatela, artysty, twórcy, który – zaniedbany, stary, bez grosza, bywało nie całkiem trzeźwy, postrzegany jako intelektualny ambicjonat z oczekiwaniami przewyższającymi poziom ówczesnych salonów – przez współczesnych był wręcz odpychany.

Kamil Cyprian Norwid (1821–1883)

*My tak już przed się patrzymy, wygnani,
Jak na te okna średniowiecznych murów,
Gdzie krata wstaje żelazna z marmurów
I samo słońce wzywa kwiatki z za niej.*

*Wola je rosa, jak z przyłbic komturów
Powychylane rano do litanji,
Gdy ty, laguną płynąc lub przez Arno,
Myślisz, że one ci w oczy się garną.*

*A kiedy wiośło cię od fal odpiera,
Piana ci w czoło piwa i idzie dalej,
Ty mówisz sobie, że to łzę ociera
Wiatr, co obejma glob i Boga chwali.
I ty masz słuszość, bo Bóg nie umiera.*

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Wyścig na patriotyzm

Jakby mało było cyfrowego infozgiełku, to jeszcze mamy nerwowe emocje wyborcze. Coraz trudniej odróżnić patriotę polskiego od osoby obojętnej czy nawet zdrajcy. Słowa są zużywane, ich znaczenia – ścierane i wykrzywiane. Do takiego zamieszania pojęciowego potrafią się przyczyniać politycy wszystkich ugrupowań. Mimo wszystko pokusimy się o uporządkowanie pewnych wyobrażeń.

Nasza propozycja jest taka: patriotcie zależy na suwerenności naszego kraju. Patriotą chce, byśmy w Polsce byli u siebie, byśmy czuli się gospodarzami tej ziemi. A za tym idzie m.in. prawo decydowania o tym, kogo i w jakim trybie chcemy przyjmować w gościnę.

Suwerenności potrzebujemy po to, by lepiej zabiegać o dobrostan swej wspólnoty. Polska to nie jest biedny kraj na dorobku, niezintegrowany, bez działających instytucji. Polska nie potrzebuje protektoratu. Może totalna opozycja tego potrzebuje, ale Polska jako państwo – w żadnym razie.

Jako że jesteśmy w NATO, UE i w dziesiątkach innych organizacji międzynarodowych, to nasza suwerenność jest współdzielona. W dzisiejszej cywilizacji żadne państwo nie może funkcjonować całkowicie niezależnie – choćby z uwagi na globalny rynek ekonomiczny. Suwerenność siłą rzeczy jest ograniczona. Ale to nie znaczy, że nie ma takich obszarów, którymi nie powinniśmy zarządzać samodzielnie. Na pewno decyzje o tym, z kim oraz wedle jakich zasad swą suwerenność współdzielimy, winny być podejmowane w Warszawie.

By tak faktycznie było, nasze państwo potrzebuje całej gamy instrumentów, za pomocą których o swą suwerenność się troszczy. Do instrumentów tych nadal należy posiadanie swojej własnej waluty, bo to ona daje nam większe pole manewru w polityce gospodarczej. In-



Patriotcie zależy na suwerenności naszego kraju. Patriotą chce, byśmy w Polsce byli u siebie, byśmy czuli się gospodarzami tej ziemi

strumentem takim jest też zaporą postawiona na granicy polsko-białoruskiej. Ta zaporą pozwala uchronić nasze społeczeństwo przed zalewem nielegalnych imigrantów, a tym samym destabilizacją ładu społecznego. Przecież te sztucznie generowane fale migracyjne to element wojny hybrydowej, którą już od dawna toczy Rosja.

Innym instrumentem suwerenności jest dywersyfikacja naszych zakupów uzbrojenia niezbędnego dla polskiej armii – wielkie zakupy robimy nie tylko w USA, lecz również w Korei Południowej.

Kolejnym instrumentem zabiegania o dobrostan Polaków jest oczekiwanie ze strony naszego najważniejszego gospodarczego partnera – Niemiec – że uczciwie rozliczy się ze swoją na-

zistowską przeszłością. Czy to dziwne, że wolna Polska oczekuje, iż nasz największy partner gospodarczy w sposób rzeczowy, negocjacyjny podejdzie do kwestii odszkodowań za straty wywołane przez rządzone przez Rzecząypopolitęj podczas II wojny światowej?

Nie mniej ważna dla naszego państwa jest rodzina – zakotwiczona w wartościach chrześcijańskich, towarzyszących Polakom od tysiąclecia.

Podsumujmy to cząstkowe wyliczenie: własna waluta, własna polityka gospodarcza, własna polityka migracyjna, intensywne i zróżnicowane zakupy uzbrojenia, podjęcie kwestii reparacji, wreszcie troska o rodzinę, dla której bliskie są wartości chrześcijańskie. To są właśnie instrumenty polityki suwerennościowej.

Patriotą nie jest – naszym zdaniem – ten, kto te wszystkie lub część z tych instrumentów podważa albo odrzuca.

Mamy wolność słowa. Kto chce, ten może lansować kosmopolityczną, postnarodową wizję Polski, Europy lub nawet całego świata. Jeśli chce, może wierzyć w naiwnie romantyczną wizję UE, gdzie na pierwszym planie są wartości, a skryte gry interesów biznesowych i państwowych są rzekomo bez znaczenia. Jak ktoś chce, może wielbić rozmaite okolołdenderowe ideologie, które traktują rodzinę bardziej jako źródło opresji niż społecznej stabilności. Jak ktoś chce, może traktować Kościół katolicki przede wszystkim jako źródło zła, a nie jako kościec wartości od dawna współtworzących polskość.

Tak, może to wszystko głosić. Może w swoje poglądy wierzyć. Ale niech jednocześnie nie robi wody z mózgu nam lub sobie samemu, twierdząc, że przy takim podejściu do spraw kraju, jak powyżej, nadal pozostaje polskim patriotą.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

E-prenumerata **SIECI** *50% taniej*



Wakacyjny e-book w prezencie

**18 pasjonujących opowieści,
dzięki którym dowiecie się:**

- Jak obserwować przyrodę na wakacyjnym szlaku?
- Jak ratować pisklęta i ranne ptaki?
- Co potrafią pająki?
- Jak korzystać z alpakoterapii?
- Czy walenie to szpieczy Rosji?
- Gdzie mieszkają nietoperze?
- Które góry są nadal dzikie?

112
stron

Zamów już dziś na

www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ





Z natury
DOBRA ENERGIA

Zamów **fotowoltaikę**
oraz **pompę ciepła**
z **bezpłatną wizją**
lokalną i zacznij
oszczędzać



Skorzystaj
z dofinansowania
Mój Prąd 5.0

Zadzwoń **555 555 505*** lub wejdź na **energa.pl**

*Koszt połączenia według stawek Twojego operatora